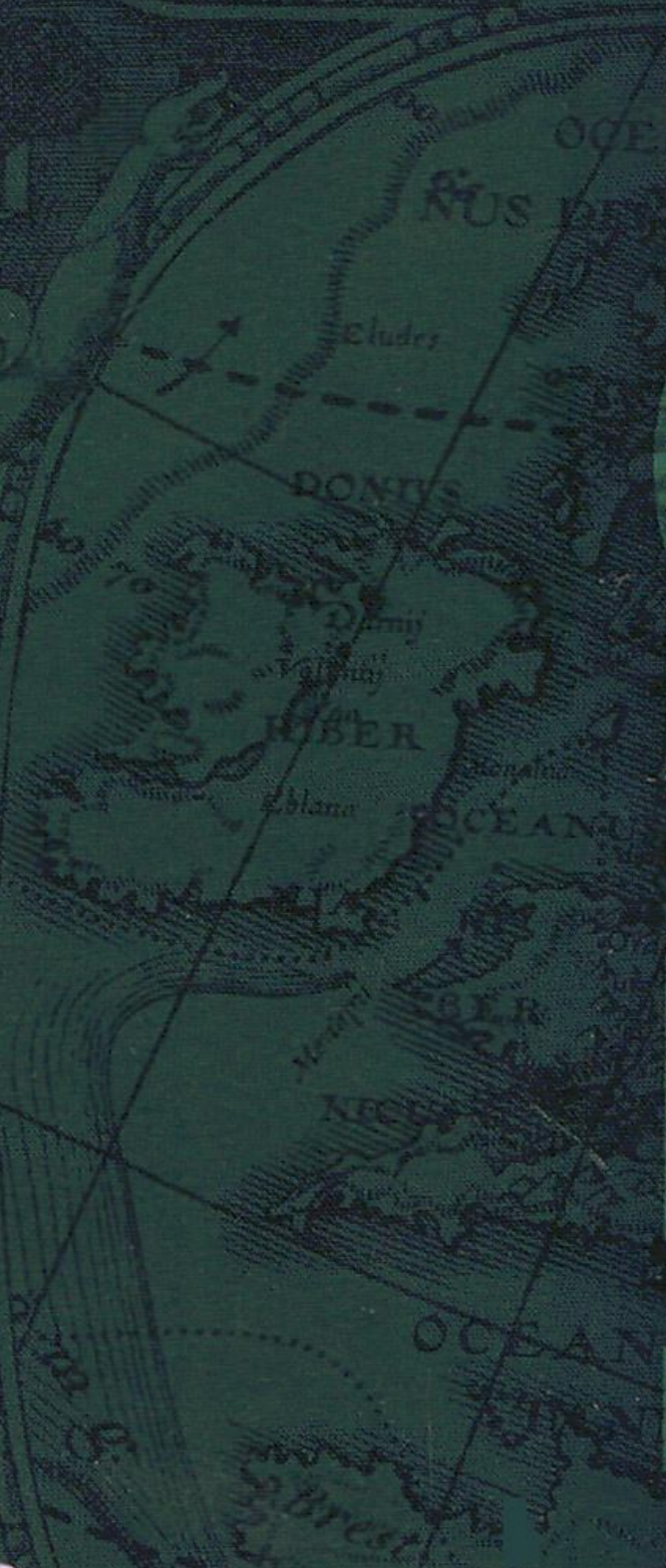


Norman Davies



BRITANNIA



Historia

Davies to ambitny historyk; pisze wielkie książki na wielkie tematy z zamiarem obalenia przyjętych interpretacji przeszłości i ułożenia ich zupełnie od nowa... Wyspami burzy te wersje historii, które nie uwzględniają wielonarodowości Brytanii i nie traktują ekspansji Anglii jak budowania tego, co Rosjanie nazywają „bliską zagranicą”. Świetnie napisane i fascynujące w szczegółach.

„Observer”

Publikacja Wysp Normana Daviesa jest historiograficznym kamieniem milowym, zwieńczeniem wieloletniej pracy pokolenia uczonych, których wspólnym celem stało się obalenie anglocentrycznej interpretacji historii brytyjskiej.

„Sunday Times”

Książka, która rzeczywiście sprawi, że Brytyjczycy zmienią sposób myślenia o swojej przeszłości... cudownie bogata i inspirująca.

„Evening Standard”

Historia opowiedziana z wielkim rozmachem – intelektualne wyzwanie i emocjonalne ożywienie; lektura, od której trudno się oderwać.

„Literary Review”

To niebezpieczna książka, napisana w niebezpiecznych czasach.

„Daily Mail”

Wyspy to prawdziwy superhit i bestseller... Zakres wiedzy Normana Daviesa jest nadzwyczajny, zapał godny podziwu, a styl pierwszorzędny. Umiejętność syntezy ogromnych ilości specjalistycznego materiału, obrazowania go poruszającymi przykładami i porównaniami, połączenia analizy politycznej, demograficznej, środowiskowej i kulturowej niezmiennie robi wielkie wrażenie... Każdy, kto się zabierze do tego megawoluminu, z pewnością będzie się dobrze bawił i z pewnością bardzo wiele się z niego nauczył.

„Times Literary Supplement”



Norman Davies
WYSPY
historia

przekład
Elżbieta
Tabakowska

Wydawnictwo Znak
Kraków 2003

Tytuł oryginału:
THE ISLES. A HISTORY

© Copyright by Norman Davies

Ilustracje pochodzą z wydania Macmillan Publishers Ltd, 2000

Opracowanie graficzne:

Joanna i Janusz Wysoccy

Na obwolucie:

fragment ilustracji z dzieła Williama Camdena *Britannia, 1607*

Fotografia Autora na skrzydełku:

Paweł Zechenter

Dodatek tłumaczyła:

Jadwiga Piątkowska

Weryfikacja całości:

Jadwiga Piątkowska, Józef Kozak

Współpraca:

Janina Ozga

Adiustacja:

Jadwiga Grellova

Korekta:

Beata Trebel, Urszula Horecka

Adiustacja i korekta Dodatku:

Julita Cisowska

Indeksy:

Artur Czesak, Józef Kozak, Joanna Rusinek

Opracowanie map i Dodatku na podstawie oryginału:

Daniel Malak, Bartłomiej Kuniczuk

Redakcja techniczna:

Edward Leśniak

Łamanie:

Irena Jagocha

Opieka redakcyjna:

Anna Szulczyńska

Współpraca:

Julita Cisowska, Małgorzata Biernacka, Barbara Poźniakowa

© Copyright for the Polish translation by Elżbieta Tabakowska, 2003

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Znak, Kraków 2003

ISBN 83-240-0276-6



Zamówienia: Dział Handlowy, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Bezpłatna infolinia: 0800-130-082

Zapraszamy do naszej księgarni internetowej: www.znak.com.pl

Pamięci Richarda Samsona Daviesa (1863–1939)
– Anglika z urodzenia,
Walijczyka z przekonania,
Lancasterczyka z wyboru,
Brytyjczyka z przypadku

Spis treści

Wstęp do polskiego wydania	7
Podziękowania	13
Od tłumaczki	15
Wstęp	19
I. Wyspy Północy	39
II. Wyspy Malowane, ok. 600 p.n.e.–43 n.e.	75
III. Wyspy (Po)Graniczne, 43–ok. 410	123
IV. Wyspy germańsko-celtyckie, ok. 410–800	163
V. Wyspy na zachodzie, 795–1154	223
VI. <i>Wyspy à l'Outremer</i> , 1154–1326	285
VII. Wyspy zangielszczone, 1326–1603	369
VIII. Dwie wyspy, trzy królestwa, 1603–1707	479
IX. Wyspy Brytyjskie(go imperium), 1707–1922	583
X. Wyspy postimperialne, od około 1900	761
Dodatek	923
Objaśnienia do ilustracji	1045
Indeks osób	1051
Indeks geograficzny	1079
Spis map w tekście	1097
Spis tabeli w tekście	1099
Spis zawartości Dodatku	1101
Ilustracje 1–35	między 240–241
Ilustracje 36–55	między 432–433
Ilustracje 56–75	między 624–625
Ilustracje 76–101	między 816–817

Wstęp do polskiego wydania

Angielski oryginał *Wysp* ukazał się w listopadzie 1999 roku, w Londynie, w brytyjskim wydawnictwie Macmillana, założonym w XIX wieku przez znaną szkocką rodzinę, która wydała wielu wybitnych Brytyjczyków – między innymi premiera rządu konserwatystów, Harolda Macmillana.

Z doświadczeń tamtego okresu zapamiętałem przede wszystkim niesamowity pośpiech ostatnich dni, żeby książka mogła się ukazać na czas. Tekst miałem oddać 1 czerwca. Datę pojawienia się gotowego tomu wyznaczono na 23 października. Wydanie katalogu Macmillana na rok 1999 prezentowało na okładce okładkę *Wysp*, wobec tego niedotrzymanie obiecane czytelnikom terminu równałoby się poważnej katastrofie marketingowej.

Wszystko szło świetnie aż do początków marca. Byłem z rodziną w Australii, z radością korzystając ze wspaniałych warunków do pracy. Mieszkaliśmy w niewielkim domu otoczonym drzewami eukaliptusowymi, nad rozległym jeziorem, w samym środku Canberry. Mój młodszy syn Christian, wówczas dwunastoletni, codziennie rano wkładał na głowę kapelusz od słońca z szerokim rondem i ochoczo wyruszał do szkoły. Moja żona Myszka wreszcie poczuła się wolna od tych rozlicznych, pełnych poświęcenia wspierających działań, dzięki którym w normalnych warunkach, na co dzień, funkcjonuje dom człowieka zajmującego się pisarstwem. Ja natomiast wstawałem codziennie o świcie, szedłem sobie spacerkiem przez kampus Narodowego Uniwersytetu Australii, płosząc papugi i skubiące trawę kangury, po czym na sześć czy siedem godzin zasiadałem przy biurku. Spotykałem się z żoną, żeby razem zjeść obiad na wolnym powietrzu, w ogródku przed profesorską kantyną, gdzie niespiesznie raczyliśmy się owocami mango i ki-

wi, popijając je kilkoma szklaneczkami najlepszego wina Barossa. Po południu szukałem miłego chłodu w klimatyzowanych wnętrzach uniwersyteckiej biblioteki, aby przygotować sobie materiały i dokumenty na następny dzień. W niedzielne poranki często szliśmy w palącym słońcu do kościoła, a potem zamawialiśmy sobie na obiad barszcz i pierogi w miejscowym Klubie Orła Białego. Powiadają, że historyk powinien zachowywać dystans w stosunku do przedmiotu swoich zainteresowań. A więc sytuacja była wręcz idealna: od Wielkiej Brytanii dzieliło mnie 20 000 kilometrów. Szybko powstawały kolejne rozdziały. Cała historia brytyjska – a ściślej mówiąc historie Anglików, Irlandczyków, Walijszyków i Szkotów – jak krew krążyła w moich w żyłach i niemal bez wysiłku sphywała atramentem ze stalówki pióra. Celtowie, Rzymianie, Anglosasi, Wikingowie, Duńczycy, Normanowie, Plantageneci – wszyscy na mój rozkaz przemaszerowywali pochodem przez biurko. Szli też święci: Patryk, Dawid, Andrzej i Jerzy, królowie: Arthur, Macbeth, Kanut i Cormac Mac Airt, królowe: Macha, Eleonora Akwitańska, Elżbieta Tudor i Maria Stuart, nawet sam potężny Cromwell. Znalazłem czas na jeszcze jeden cykl gościnnych wykładów na uniwersytecie w Adelajdzie, który ma pierwszorzędną bibliotekę prac z zakresu historii brytyjskiej, i leciałem tam co tydzień samolotem, pisząc na kolanie i jednocześnie zerkając w dół na czerwono-brunatne połacie południowej Australii lub czekając na połączenie na lotnisku w Melbourne.

A potem uderzył grom. Któregoś wieczoru zadzwonił telefon. Moja mieszkająca w Krakowie 91-letnia teściowa doznała paraliżu w następstwie rozległego wylewu. Myszka wyjechała zaraz następnego dnia o świcie, żeby w ciągu półtorej doby przebyć połowę drogi dookoła świata. W Sydney miała na przesiadkę z jednego samolotu na drugi 60 minut, w Bangkoku na rozprostowanie nóg – zaledwie 20 minut; w Oksfordzie udało jej się przespać pół nocy. Sama jedna, jakimś sposobem zdołała znaleźć dość sił, żeby zapewnić matce opiekę w tym ostatnim okresie, a potem, żeby zorganizować jej pogrzeb. Myślę, że wykazała niezwykle, polskie męstwo i oddanie dziecka dla matki. Nie widzieliśmy jej z Christianem przez dziewięć tygodni. Uratowała nas pomoc australijskich przyjaciół i rodziny, zwłaszcza Iana i Margaret Willisów, którzy nadzorowali nasz wyjazd z Canberry, Adriana Rudzińskiego, który zaprosił Christiana do swojej szkoły w Adelajdzie, a także moich krewnych, Jane i Chrisa, którzy wzięli nas do siebie w Darlington. Tego samego dnia kiedy dotarła do nas tamta wiadomość z Krakowa, akurat zaznaczyliśmy na framudze drzwi wzrost Christiana. Był wtedy jeszcze o jakieś dwa lub trzy centymetry niższy od Myszkki. Kiedy się znowu zobaczyli, to ona była o dwa lub trzy centymetry niższa od niego. Natomiast książka nie rosła równie szybko. Twórczy rytm uległ załamaniu. Praca wlokła się teraz w ślimaczym tempie. Zamiast się zabierać do rozdziału dziesiątego, wciąż jeszcze zmagalem się z fragmentem otwierającym rozdział ósmy i z upadkiem szkockiego imperium w Darién. Po pogrzebie na cmentarzu w krakowskim Podgórzu, który Myszka tak pięknie urządziła, z udziałem księdza Mieczysława Malińskiego, siedzieliśmy z przyjaciół-

mi i znajomymi u Hawelki na Rynku. Dobrze zapamiętałem tamten moment. Myślałem o powrocie do Anglii i o tym, żeby znów powiązać poprzerywane nitki naszego życia. Jedno wydawało mi się absolutnie jasne: nie było żadnych szans, abym zdążył skończyć *Wyspy* w przewidzianym terminie.

Kilka tygodni później spotkałem się w Londynie z moimi wydawcami. Poprosili mnie o dokładny plan pozostałej jeszcze do wykonania pracy, więc przeprowadziłem szczegółowe wyliczenia – tyle a tyle na poszczególne rozdziały, tyle na podrozdziały, tyle na skończenie całości. Wyszło na to, że w sumie potrzeba mi 81 dni roboczych, nie licząc niedziel i sobotnich popołudni. Jeśli plan się nie załamie, będę musiał pracować pełną parą do połowy sierpnia. Natomiast ze swojej strony ekipa Macmillana poinformowała mnie, że bezwzględnie musi zacząć pracę nad tekstem najpóźniej 15 sierpnia. Trzeba będzie zarezerwować maszyny w drukarni na określony dzień. Żeby wszystko skończyć, wydawcy, rysownicy, korektorzy, autorzy map oraz spece od dystrybucji i reklamy będą musieli pracować dzień i noc. Ale wszyscy zobaczyliśmy nikły promyczek nadziei. Zgodziłem się spróbować.

Przez następne trzy miesiące rygorystycznie przestrzegałem zaostrzonej wersji australijskiego reżimu. Dzień w dzień około siódmej rano wyruszałem pieszo albo na rowerze do Wolfson College, zasiadałem na swoim zwykłym miejscu za przepierzeniem i pisałem przygotowany poprzedniego dnia kawałek tekstu. Robiłem sobie kwadrans przerwy na wypicie kawy i przejrzenie gazety, a potem jeszcze pół godziny na obiad. Nigdy nie wyszedłem z biblioteki, póki nie skończyłem tego, co sobie na dany dzień zaplanowałem. Popołudniami lub wieczorami chodziłem do Bodleian Library i zamawiałem książki potrzebne do następnej porcji pisania, studiowałem źródła, sprawdzałem fakty albo siedziałem na galerii w Radcliffe Camera¹, gdzie często pracowałem za czasów studenckich. Stronice znów zaczęły wypływać spod pióra – pięć, dziesięć, piętnaście dziennie. W każdy piątek oddawałem to, co wyprodukowałem w ciągu tygodnia, do przepisania na komputerze, a asystentowi zapowiedziałem, że ma pilnować stale rosnącej liczby słów. Straciłem poczucie czasu. Po uszy pograżyłem się w pracy i zapomniałem o Bożym świecie. W formie utrzymywała mnie Myszka, podając mi znakomite kolacje i usuwając z drogi wszystkie problemy, a także moja pani redaktor, Georgina Morley, która posyłała mi bukiet róż za każdym razem, kiedy się jej wydawało, że zwalniam tempo. Poza nabożeństwem w niedzielę rano i krótkim spacerem w niedzielę po południu – zazwyczaj po parku Blenheim – żyłem zamknięty w czymś w rodzaju umysłowego kokonu – w otoczeniu jakobitów, niemieckich monarchów, „wściekłych psów i Anglików”. Kiedyś późno wieczorem Myszka przyszła z Christianem do Wolfson, aby sprawdzić, co się ze mną dzieje. A mnie się zdawało, że to pora na obiad.

¹ Radcliffe Camera – rotunda zbudowana w Oksfordzie w latach 1747–1774 według projektu Jamesa Gibbsa, słynnego architekta angielskiego. Część biblioteki uniwersyteckiej (Bodleian Library), mieszcząca dwie wielkie czytelnie (przyp. tłum.).

W ostatniej fazie zacząłem pisać także w niedziele. Ale koniec coraz wyraźniej się przybliżał. Wstęp ukończyłem w marcu w Adelajdzie. Podziękowania pisałem 11 sierpnia – w dniu całkowitego zaćmienia Słońca. Pozwoliłem sobie na godzinę przerwy, żeby w towarzystwie rodziny i sąsiadów przeżyć to niezwykle doświadczenie. Ptaki umilkły. Zrobiło się nienaturalnie ponuro. A mnie przez odwróconą lornetkę udało się zobaczyć kurczący się rogalik Słońca.

Wczesnym rankiem w piątek 13 sierpnia usiadłem przy biurku i napisałem: „Pod koniec długiej opowieści historyk może nabrać ochoty, żeby (...) przemówić jasno i »od siebie«”. Doszedłem do miejsca, w którym wypadało odnotować coś w rodzaju własnego *credo* na temat Wielkiej Brytanii. Zdecydowałem się pokazać, że mój opis wzrostu i upadku Zjednoczonego Królestwa, moja krytyka monarchii i mój niepokój w związku z obecną polityką świetnie dadzą się pogodzić z uczuciem wzruszenia i podziwu. „Nawet gdyby Wielka Brytania miała się rozpaść – myślałem – to, co ma prawdziwą wartość, i tak zostanie”. Korzystałem ze swojej znajomości historii Polski, wiedząc, że powtarzająca się utrata niepodległości i państwowości nigdy nie oznaczała utraty polskiej kultury i poczucia własnej godności. Podkreśliłem znaczenie Unii Europejskiej; pod jej egidą wszystkie nadchodzące przemiany będą mogły się odbyć w sprzyjających okolicznościach. Zacytowałem jednego z kolegów, Felipe Fernández-Armesto, który podziwiając „cudowny irracjonalizm” „rasy buldogów”², jednocześnie uważa, że powinna ona „odrzuć mit i stanąć twarzą w twarz z rzeczywistością, która mogłaby się przecież okazać o wiele lepsza”. Przytoczyłem słowa popularnego pisarza amerykańskiego Billa Brysona; jego „Notatki robione na pewnej Niewielkiej Wyspie” kończą się bezwstydnym wyznaniem: „Podoba mi się tu. Podoba mi się tak bardzo, że nawet nie umiem tego wyrazić”. Nim nadeszło południe, rozejrzałem się wokół siebie i ułożyłem ostatnie optymistyczne zdanie: „Nigdzie nie było widać ruin”.

Tego samego dnia po południu spakowałem i wysłałem końcowe partie dziesiątego rozdziału. Posprzątałem na biurku. Opróżniłem swoją półkę w bibliotece w Wolfson. Poszedłem do domu, żeby spakować walizki i przygotować się do wyjazdu z rodziną na wakacje: chcieliśmy odwiedzić nasze stare, dobrze znane miejsca w Owernii. Następnego ranka załadowaliśmy się do peugeota 405 estate i wyruszyliśmy do Francji. Kiedyśmy wjeżdżali do tunelu pod kanałem La Manche, miałem poczucie, że zostawiam *Wyspy* za sobą nie tylko w tym najoczywistszym sensie. (W dzisiejszych czasach nie widzi się nawet białych klifów, powoli znikających w oddali). Wreszcie można było zacząć myśleć o innych rzeczach. Christian był na dziennym obozie sportowym w Vichy i przyszedł, żeby razem z nami spędzić leniwy wieczór w hotelu. Wyruszyłem na miasto w poszukiwaniu mieszkania marszałka Pétaina, rozmyślając po drodze o ogromnym kontraście między wojenną Francją a wojenną Polską, którą tak dokładnie studiowałem. Razem

² *Bulldog breed* – wyrażenie używane na określenie przysłowiowej zażartej i nieustępliwej odwagi Anglików (przyp. tłum.).

z Myszka odbyliśmy pielgrzymkę na bulwar Gergovia w Clermont-Ferrand, gdzieśmy się spotkali tyle lat temu; całą trójką wdrapaliśmy się na szczyt Puy-de-Dôme. W drodze powrotnej ostatni wieczór spędziliśmy na wznoszącej się na szczycie klifów farmie w pobliżu Boulogne; nazywała się Aux Quatre Vents i było z niej widać Kanał. Moja francuska gospodyni, u której przed laty wynajmowałem pokój jako student w Oksfordzie, mieszkała tam po pierwszej wojnie światowej razem ze swoim mężem, angielskim żołnierzem. W 1940 roku stracili dom, ponieważ Niemcy urządzili sobie w nim punkt obserwacyjny, aby śledzić ruch jednostek na Kanale; męża aresztowano i wysłano do obozu. Zanim przekroczyliśmy Kanał, zatrzymaliśmy się jeszcze na cmentarzu wojskowym w Wimereux, gdzie leży brat mojej matki. Zginął jako dziewiętnastoletni chłopak rankiem 11 listopada 1918 roku. W księdze pamiątkowej napisałem: „Jego geny maszerują dalej”.

Wróciłem do domu i zastałem swoich wydawców w stanie czarnej rozpacz. Mój asystent zapomniał, że ma liczyć słowa, i podczas ostatnich tygodni gorączkowego pisania *Wyspy* straszliwie się rozrosły, czego ja sam zupełnie nie zauważyłem. Zamiast około 600 stron powstały 1182. Ale nikt się nie skarżył. Wszyscy pracowali po godzinach, włącznie z redaktorami, których najbardziej przyciskało. Na szczęście już wcześniej rozesłano niezszyte i niepoddane korekcie egzemplarze recenzentom, więc tryby maszyny reklamowej mogły się obracać bez zakłóceń. Jeśli się nie mylę, pierwsza oficjalna recenzja – napisana przez Andrew Merra – ukazała się w niedzielnym wydaniu „The Independent” 5 października, w czasie kiedy ja jeszcze poprawiałem ostatnie korekty. Oficjalnie książka pojawiła się na rynku 7 listopada, z zaledwie dwutygodniowym opóźnieniem. Jak mówi angielskie przysłowie, udało nam się wyciągnąć z ognia gorące kasztany.

Recenzje były krzepiąco przyjazne. Andrew Marr, który jest Szkotem i pracuje obecnie w BBC na stanowisku naczelnego redaktora do spraw politycznych, ustawił poprzeczkę, stwierdzając, że *Wyspy* są „pierwszą europejską historią Brytanii”. Zapewnił książce silną pozycję w debacie toczącej się tu obecnie na temat przyszłości Wielkiej Brytanii w Unii Europejskiej. Ogólnie rzecz biorąc, Szkoci, Walijczycy i Irlandczycy byli zachwyceni. Książkę powitano z radością w Edynburgu, w Cardiff i w Dublinie. Zadowolony był także proeuropejski odłam angielskiej opinii publicznej. Profesorka Linda Colley, pionierka w dziedzinie nowego podejścia do historii brytyjskiej, wyraziła swoje zadowolenie na łamach „Times Literary Supplement”: „Każdy, kto się zabierze za ten megawolumin, z pewnością będzie się dobrze bawił i z pewnością bardzo wiele się z niego nauczył”. Utyskiwali jedynie eurosceptycy, angielscy nacjonałiści oraz obrońcy konwencjonalnego programu studiów anglistycznych w Ameryce. Jeden z nich, arcykonserwatywny angielski historyk Andrew Roberts, ostrzegł: „To niebezpieczna książka, napisana w niebezpiecznych czasach”. Cytat natychmiast trafił na czwartą stronę miękkiej okładki następnego wydania.

W Polsce historia brytyjska w znacznej mierze pozostaje nieznaną. Jeśli ktoś ją w ogóle studiuje, to robi to z dawnej anglocentrycznej perspektywy. Więk-

szość Polaków myśli chyba, że „Brytania” jest tym samym miejscem co „Anglia”. Popędzają taki sam błąd jak ci, którzy uważają, że „Rzeczpospolita Obojga Narodów” była tym samym miejscem co „Polska”. *Wyspy* ukażą im inny obraz. Być może pomogą im też zrozumieć, że Polska nie jest jedynym krajem, którego historię trzeba napisać od nowa i którego miejsce w Europie trzeba na nowo określić.

3 maja 2001

Norman Davies

Podziękowania

W pracach nad przygotowaniem i produkcją każdej dużej książki autor odgrywa jedynie pomocniczą rolę. Chciałbym zatem wyrazić w tym miejscu moją wdzięczność dwóm instytucjom: Wolfson College i Bibliotece Wolfson, gdzie powstały obszerne partie tej książki, a także kierownikowi biblioteki, panu Adrianowi Hale. *Jestem również szczególnie zobowiązany Wydziałowi Historii Azji i Obszaru Pacyfiku Australijskiego Uniwersytetu Narodowego*, który przyznał mi status stypendysty, i co ważniejsze, stworzył niezwykle sprzyjające warunki do pracy oraz zapewnił znakomitą pomoc administracyjną. Mój wspaniały gospodarz z Canberry, profesor Hank Nelson, ma swój godny odnotowania udział we wszystkich sprawnie i skutecznie załatwionych sprawach. Dzięki życzliwości Instytutu Historii Uniwersytetu w Adelajdzie i jego dyrektora, profesora Rica Zuckermana, mogłem przez dłuższy czas pracować w doskonałych warunkach w uniwersyteckim kampusie oraz swobodnie korzystać ze zbiorów znakomitej Biblioteki Barra Smitha.

Na liście osób, którym pragnę podziękować, na pierwszym miejscu chciałbym wymienić moją żonę Myszkę; dysponując niemałym literackim talentem, potrafi ona w pełni zrozumieć potrzeby i słabostki pisarza. Stałej i niezawodnej pomocy, wykraczającej poza granice obowiązku, udzielali mi mój główny asystent naukowy Roger Moorhouse oraz moja osobista sekretarka Ewa Huggins. Do powstania tej książki przyczynili się także niezliczeni koledzy i przyjaciele – między innymi niezrównani Ian i Margaret Willisowie, profesor Keith Brown, profesor Keith Robbins, profesor Henry Loyn, Jude Shanahan, Cathy Brocklehurst, Lewis Mayo, Rhoda Macdonald, Alistair Moffat, Manon Williams, Rieko Karatani, Iain

Smith, Athena Syriatou, M.R.D. Foot, Robert Griffiths, Paul Standring, David Morgan, Deanna Gallagher, Ray Chubb, Kevin Donnelly, Gavin Parsons, doktor Anthony Faulkes, Ceri Wyn-Richard, Pat Maclean, wielebna Janet Ridgeway, Jackie Robinson, Jos Poels, Philip Skingley, Graham Caie, Szkockie Towarzystwo Miłośników Języka oraz wielu, wielu innych.

Moje wydawnictwo, Macmillan, świetnie wie, co trzeba robić, żeby autor nie tracił otuchy i nie zbaczal z wytyczonej ścieżki. Chciałbym podziękować moim wydawcom za skuteczność i elastyczność w działaniu; szczególną wdzięczność chcę wyrazić pełnemu entuzjazmu redaktorowi technicznemu Nicholasowi Blake'owi, grafikowi Wilfowi Dickie oraz głównym redaktorkom tomu – Tanyi Stobbs i Georginie Morley. W najczarniejszych momentach największego stresu Georgina Morley okazywała się nieugiętym kapitanem drużyny, cudownym menedżerem i utalentowaną psychoterapeutką. Autorzy składu, SetSystems z Saffron Walden, reagovali na niezwykle napięte terminy wspaniałym tempem i precyzją. Mój agent, David Godwin, także był mi niezłomną ostoją.

Każdy rozdział został przedstawiony grupie naukowców z prośbą o komentarze. Uwagi specjalistów okazały się wręcz nieocenione. O przyjęcie wyrazów wdzięczności proszę profesora Barry'ego Cunliffe'a, profesora Johna Gillinghama, doktor Halinę Hamerow, doktora Edwina Jonesa, profesora Iaina McCalmana, Martina Meanougha, doktor Heather O'Donoghue, profesor Wilfrid Prest, profesora Petera Salwaya, doktora Johna Stevensona oraz doktora Bjørna Weilera. Pono-szę wyłączną odpowiedzialność za to, do jakiego stopnia ostatecznie uwzględni-łem ich rady. Wszystkie braki i niedociągnięcia są wyłącznie moją winą. Chciał-bym natomiast móc przyznać sobie zasługę tam, gdzie to, co napisałem, przypadkiem okazało się trafne.

w dniu całkowitego zaćmienia Słońca,
11 sierpnia 1999

Norman Davies

Od tłumaczki

Stało się już niemal tradycją, że swoje przekłady książek Normana Daviesa poprzedzam listem do polskich czytelników i że każdy taki list to próba wytłumaczenia się z takich czy innych translatorskich decyzji, a zarazem prośba o zrozumienie i cierpliwość. Wiem, tłumacz nie powinien stawać między Autorem a Czytelnikiem, ale w przypadku *Wysp* raz jeszcze okazało się to konieczne.

Wyspy są kolejną – po *Europie* – próbą obalenia przyjętych historiograficznych konwencji. W *Europie* Davies rzucił wyzwanie utrwalonemu przekonaniu, jakoby historia Europy i historia Wielkiej Brytanii stanowiły dwa różne światy, dwie odrębne dziedziny badań, *Wyspy* natomiast pokazują, że każdy z wyróżnianych przez historyków okresów w dziejach Wysp Brytyjskich można w pełni ukażać – i zrozumieć – jedynie na tle szerszego, europejskiego kontekstu. Co więcej, „Wielka Brytania” to nie to samo co „stara, dobra Anglia”, „angielskość” zaś nie jest synonimem „brytyjskości”. Kluczem do zrozumienia „brytyjskości” jest, według Daviesa, pojęcie „wielorakich tożsamości”. Stąd przesunięcie tradycyjnego historiograficznego punktu widzenia: zdaniem Daviesa, większość brytyjskich historyków zajmuje punkt obserwacyjny położony gdzieś w pobliżu geograficznego centrum Anglii, a ich wzrok rzadko sięga kontynentu czy nawet wybrzeży Irlandii. On sam natomiast wznosi się wysoko ponad kontynent, ogarniając go szerokim spojrzeniem, a dopiero potem stopniowo zawęża pole widzenia do Wysp.

Obie skale – zarówno „makro”, jak i „mikro” – stawiają przed tłumaczem nie lada wyzwanie. Merytorycznie wymagają od niego zmierzenia się nie tylko z europejską historią w ogóle, ale i z mnogością faktów z dziejów samych Wysp. W tej drugiej kategorii – jak zwykle u Daviesa, który narracyjny rozmach łączy

z wyjątkową wrażliwością na szczegóły – znalazły się tysiące rzeczy, których „ob „musi się z wielkim trudem uczyć, a które nawet niewykształcony Anglik wie prostu na zasadzie instynktu”¹. Był tego świadom historyk Anglii, Francuz É. Halévy, od którego pochodzi ten cytat, starałam się być świadoma i ja. Stąd m stwo przypisów, wyjaśniających polskiemu czytelnikowi to, co przeciętny Bry czyk pamięta (lub jak zauważa z przekąsem Davies, powinien pamiętać) ze sz ty; mam nadzieję, że trud przebrnięcia przez nie nie okaże się zbyt wielki.

Ale nie w faktach tkwił główny powód wielkiego trudu tłumacza. Jak z kle, problemy stwarzał język – niepokorne tworzywo, nieuchronnie subiektyw medium przekazu. Po pierwsze, słynny „styl Daviesa”, który bywał przedmio zarówno ataków, jak i najwyższej pochwały: tak się nie pisze historii, ale i historię się czyta. Cytując Henryka Wańka, „zerwanie z konwencją nużącego kładu jest na wagę złota”², ale w polskiej tradycji lekki, niemal potoczny, p przewrotnego humoru język w połączeniu z powagą historycznej materii w ma raczej wagę tombaku. Rola tłumacza jako pośrednika między różnymi tra cjami i różnymi kulturami nie jest więc wolna od ryzyka.

Davies pisze naukowe dzieło historyczne, ale jednocześnie tworzy dzieło literackie – ze wszystkimi tego konsekwencjami: jak w literaturze, medium s się przekazem. Język jest wyrazem historycznej, narodowej i kulturowej to mości; wielorakość tożsamości znajduje odbicie w różnorodności językowej oczywiście teza powszechnie znana; w *Wyspach* (jak wcześniej w *Europie*) j kowa mozaika staje się znaczącym elementem przekazu. Dlatego też, obok skich przekładów, podano oryginalne cytaty z literatur narodów Wysp wszę tam, gdzie ich forma w istotny sposób odbiega od standardowej współczesnej gielszczyzny. Główny problem polegał jednak na zachowaniu tożsamości h rycznych postaci. Przyjęta przez Daviesa zasada wpisuje się w jego ogólną i jest równie prosta, co kontrowersyjna: skoro anglicyzacja obcych imion i zwisk okazuje się jednym z najoczywistszych zabiegów prowadzących do za rania nieangielskich aspektów w dziejach Wysp³, należy owym postaciom p wrócić imiona i nazwiska w takiej formie, w jakiej wszyscy ci ludzie sami używali. *William the Conqueror powraca zatem do swojego oryginalnego i nia: Guillaume le Conquérant, ponieważ nie był ani Anglikiem, ani tym barc Brytyjczykiem, lecz Normanem. Ale nie był też polskim Wilhelmem Zdobyw* Decydując się na „powrót do źródeł”, który jest w *Wyspach* najważniejszą tra torską dominantą, musiałam więc odebrać Zdobywcy jego spolonizowaną s ską tożsamość – podobnie jak setkom innych postaci występujących w tej roz łej historycznej panoramie. Ponieważ nie tylko nie są to dokładnie te post

¹ É. Halévy, *A History of the English People in the Nineteenth Century*, Londyn 1961, t. 1, s. XII.

² H. Waniak, *Refutacja Mikrokosmosu*, „Przegląd Polityczny” 56/2002, s. 56–65.

³ N. Davies, *The decomposing of Britain. How Anglocentricity distorts our islands' changing story*, „Times Literary Supplement”, 6 października 2000.

które pojawiają się w angielskich czy brytyjskich podręcznikach historii, ale także nie te, które znamy z naszych polskich źródeł. Zabieg, który jeden z krytyków (trafnie) nazwał „językowo-nazewniczymi akrobacjami”⁴, stosowałam jednak tylko tam, gdzie wybór prostszych nazewniczych figur oznaczałby odstępstwo od autorskiego zamysłu. Liczę na cierpliwość Czytelnika, który w razie identyfikacyjnych wątpliwości zechce sięgnąć do indeksu. Warto może jeszcze w tym miejscu zauważyć, że próbując dociec, jak właściwie zwracały się do siebie historyczne postacie odległych epok i jak powinni o nich mówić polskojęzyczni potomni, polscy autorzy sami często bronią różnych konkurencyjnych transkrypcji⁵.

Swoiste apogeum stanowią onomastyczne fikcje, których Davies używa jako broni w walce z historycznym anachronizmem. Wbrew temu, co zwykło się mówić, Juliusz Cezar nie wylądował „w Anglii”, Piktowie nie mieszkali „w Szkocji”, a 4700 lat temu Stonehenge nie mogło się ani nazywać „Stonehenge”, ani stanąć w pobliżu „Salisbury”, ponieważ Salisbury po prostu jeszcze nie było. Historyk nie wie nic o nazwach miejscowych tamtych odległych epok. O Wyspach z tamtych czasów da się z pewnością powiedzieć tylko jedno: że nie były ani „angielskie”, ani „brytyjskie”. Wobec tego Davies rezygnuje ze wszystkich anachronicznych nazw, zastępując je własnymi. Próbuje patrzeć na ląd i otaczające go wody oczyma dawnych mieszkańców Wysp, nadaje rzeczom imiona, jakie dyktuje mu wyobraźnia. Forma staje się treścią; tłumacz znów musi pójść śladem Autora.

Wyobraźnia jest jednym z kluczy do pisarstwa Daviesa. Ale wyobraźnia musi się poddać rygorom gramatyki. Jak odmalować wyobrażony świat, w którym historyk cofa się w czasie, aby z pozycji obserwatora dawnych zdarzeń przewidywać przyszły rozwój wypadków, które z dzisiejszego punktu widzenia są już przeszłością? Jak oddać owo mozaikowe nakładanie się różnych płaszczyzn czasoprzestrzeni w języku, który nie ma gramatycznego czasu *Future in the Past*? W jaki sposób wyrazić obecne implikacje historycznych faktów, nie dysponując czasem *Present Perfect*? Jak przy jakiejś okazji powiedział sam Davies, przekład musi pozostać „symfonią na dwa fortepiany”...

Zdając sobie sprawę, że przekład jest równie niekonwencjonalny (a zatem równie kontrowersyjny) jak oryginał, tam, gdzie to było możliwe, starałam się stosować przyjęte konwencje. Wszędzie, gdzie udało się odnaleźć polskie przekłady cytowanych tekstów, przytaczam odpowiednie fragmenty za polskimi źródłami, których tytuły zapisane są kursywą; w pozostałych przypadkach podano tytuł oryginalny oraz jego polską wersję ujętą w cudzysłów lub tylko wersję polską. Elementy obcojęzyczne wyróżniono w tekście kursywą, czasem od-

⁴ H. Waniek, *op. cit.*

⁵ Por. np. transkrypcje imion celtyckich w: W. Lipoński, *Narodziny cywilizacji Wysp Brytyjskich*, Poznań 1995; S. Botheroyd, P. Botheroyd, *Słownik mitologii celtyckiej*, tłum. P. Latko, Katowice 1998.

biegając od polskich norm – dla wzmocnienia zamierzonego przez Autora „efektu obcości”.

Tekst pióra Daviesa jest dla tłumacza źródłem wielkiej satysfakcji, ale był też źródłem czarnej rozpacz. Tym gorętsze moje podziękowania dla wszystkich którzy służyli mi pomocą i radą: Janina Ozga raz jeszcze okazała się źródłem informacji pewniejszym od Internetu; Jadwiga Piątkowska uchroniła mnie od wielu historycznych wpadek; Józef Kozak – jak zawsze – wspierał mnie swoją ogromną erudycją i wiedzą; trud i cierpliwość Anny Szulczyńskiej okazały się nieocenioną pomocą w zapanowaniu nad nieogarnioną rozległością *Wysp*; Beata Trebel wnikliwym okiem wychwyciła dziesiątki językowych potknięć. *Last but not least*, chciałbym serdecznie podziękować pani Jadwidze Grelowej, dzięki której uwierzyłam, że warto podjąć próbę przekazania polskiemu czytelnikowi nie tylko zawartości treści *Wysp*, ale także osobistego, niekonwencjonalnego pomysłu Daviesa na zapisywanie dziejów.

Kraków, 22 listopada 2002

E

Wstęp

Ktoś, kto postanawia napisać całą historię własnego kraju, podejmuje się obzładniającą trudnego zadania. Materiał jest obszerny i złożony. Nuty emocji, zrodzone z życia osobistego i rodzinnego, łatwo mogą zakłócić podstawowy ton. Myśl o owych wszystkich wielkich ludziach – olbrzymach historii, którzy wcześniej przemierzali tę samą drogę, może przyprawić o drżenie. Gdzie tylko okiem sięgnąć, oni i ich dzieła wypełniają półki – od Hume’a po Trevelyana.

Na szczęście nigdy nie byłem świadom tych wszystkich względów tak dalece, żeby się nimi przejąć. Kiedyś, przypadkiem, wynająłem na jedno lato mieszkanie w domu należącym swego czasu do G. M. Trevelyana. Nad frontowymi drzwiami wmurowano tablicę pamiątkową; w holu wciąż jeszcze wisiało kilka portretów wielkiego starca. Szczególnie dobrze zapamiętałem jeden, na którym służąca podaje herbatę w ogrodzie, gdzie Trevelyan siedzi nad swoimi książkami. „Pisanie historii to musi być piękne życie”, pomyślałem. Właśnie zrobiłem dyplom i byłem słuchaczem intensywnego kursu języka rosyjskiego w Cambridge. Trevelyan natomiast był „najbardziej wpływowym i najpopularniejszym historykiem swojego pokolenia”¹. Ani na moment nie przyszło mi do głowy, że kiedyś mógłbym sam pisać historię, a tym bardziej, że mógłbym się przymierzać do tematu, którego Trevelyan był ostatnim wielkim mistrzem.

A jednak to właśnie w tamtym roku zrodziła się myśl przynosząca owoce dopiero dziś – po ponad trzydziestu latach. W 1965 roku mój dawny opiekun na-

¹ D. Cannadine, *G. M. Trevelyan: a Life in History*, Londyn 1992, s. XII.

ukowy z Oksfordu, A. J. P. Taylor, wydał piętnasty i zarazem ostatni tom swojej *The Oxford History of England*, obejmujący okres od 1914 do 1945 roku. W przedmowie wyjaśniał w charakterystyczny dla siebie przewrotny sposób, że skoro miał za zadanie napisać „historię Anglii”, to w książce nie będzie bezpośrednio mowy o „Walijczykach, Szkotach², Irlandczykach i Brytyjczykach mieszkających poza Wyspami”³. Był to typowo taylorowski strzał. Ale dał mi do myślenia. Najwyraźniej żaden ze znakomitych wydawców Taylora nigdy nie udzielił sobie jasnych odpowiedzi na pewne istotne pytania. Historii jakiego kraju miała właściwie dotyczyć wydawana w Oksfordzie seria? Jak właściwie brzmi werdykt w sprawie tego, co jest historią Anglii, a co historią Brytanii? Gdzie właściwie kończy się historia Anglii, a zaczyna historia Brytanii? A może to jest to samo? Jak wstawić w tę układankę elementy walijski, szkocki i irlandzki? Odpowiedzi wymagają czegoś o wiele więcej niż tylko zabawy słowami. Prawdę mówiąc, wygląda na to, że mogłyby zająć ponad tysiąc stron.

Wiele lat później, kiedy skończyłem *Europę. Rozprawę historyka z historią*, poproszono mnie o wykład w University College w Dublinie. Po wykładzie ktoś z publiczności zapytał o moje dalsze plany. Już chciałem powiedzieć, że zamierzam napisać historię „Wysp Bry...”, ale w ostatniej chwili ugryzłem się w język: uprzytomniłem sobie, że gdzie jak gdzie, ale w Dublinie nie powinno się mieć prawa mówić o „Wyspach Brytyjskich”. Wyspy przestały być „Brytyjskie” dokładnie pięćdziesiąt lat temu, kiedy Republika Irlandii odłączyła się od Wspólnoty, chociaż niewielu mieszkańcom brytyjskiej pozostałości chciało się, jak dotąd, ten fakt zauważyć. Toczyły się dyskusje nad rozmaitymi niezręcznymi sformułowaniami: „Wyspy Brytyjskie i Irlandzkie”, „Wyspy u Wybrzeży Europy”, „Archipelag Anglo-Celtycki”. W końcu postanowiono, że przyzwoitym tytułem mającej powstać książki byłby „Jedna z możliwych historii Wiadomych Wysp”. I tak właśnie brzmiał któryś z tytułów roboczych, zanim wreszcie, po wielu próbach i błędach, ostatecznie zdecydowałem się po prostu na „Wyspy”.

A dziś, kiedy sobie siedzę pośród moich papierzysek w cieniu figowca na przyjaznym australijskim kampusie, jedyne, czego mi brakuje, to służąca z filiżanką herbaty. Nigdy nie zdołał dorównać Trevelyanowi.

Ta książka z konieczności zawiera bardzo osobisty pogląd na historię. Prawdę mówiąc, według niektórych akademickich standardów, można by ją zapewne uznać za błędną do gruntu. Jak kiedyś pisałem o jednej ze swoich wcześniejszych prac, przedstawia ona przeszłość „widzianą jedną parą oczu, przefiltrowaną przez jeden

² Warto zauważyć, że używał pisowni „Scotch”; sami Szkoci chętniej wybierają wariant „Scots”.
W oryginalnym cytacie Davies zwraca uwagę na ten szczegół (przyp. tłum.).

³ A. J. P. Taylor, *English History 1914–1945 (The Oxford History of England)*, Oksford 1965, t. 15: „Przedmowa”, s. V.

umysł, zapisaną jednym piórem”. Stworzył ją autor, który jest wprawdzie Brytyjczykiem i zawodowym historykiem, ale który nigdy nie był specjalistą w dziedzinie historii brytyjskiej. Chociaż każdy rozdział został przeczytany i opatrzony komentarzem przez specjalistów, prawie cały materiał faktograficzny pochodzi ze standardowych źródeł i opracowań, jakie można znaleźć w każdej przyzwoitej bibliotece. Jak zwykle, zawsze miałem pod ręką jedenaste wydanie *Encyclopaedia Britannica*, podobnie jak dwa inne źródła: *The History Today Companion to British History* i *The Oxford Companion to Irish History*. We wczesnych etapach dodawało mi odwagi dzieło Hugh'a Kearneya *The British Isles – A History of Four Nations* („Wyspy Brytyjskie – historia czterech narodów”, 1989), które bywało przewodnikiem wielu historyków szukających nowego podejścia do historii. Wielokrotnie sięgałem do historii Szkocji Michaela Lyncha (*Scotland: a New History*, 1991), do historii Walii Johna Daviesa (*A History of Wales*, 1993) i do historii Irlandii pod redakcją Roya Fostera (*The Oxford History of Ireland*, 1989). Uznaję także swój szczególny dług wobec Edwina Jonesa i jego historii narodu angielskiego (*The English Nation: the Great Myth*, 1998), na którą się natknąłem dopiero pod koniec pracy, i to czystym przypadkiem – dzięki szlachetnej polityce otwartych półek Biblioteki Barra Smitha w Adelajdzie. Nie da się jednak zadowolić wszystkich. Jeden z moich najznakomitszych czytelników, któremu od samego początku bardzo się nie spodobał rozdział, jaki mu przypadł w udziale, poradził mi, abym „to wszystko wyrzucił na śmietnik”. Podejrzewam, że wielu profesjonalistów cierpi na podobną alergię.

Albowiem, w odróżnieniu od innych nowych przeglądowych opracowań tematu, ta książka nie stawia sobie za cel streszczania panujących przekonań. Zdecydowanie podzielam powszechny niepokój, jaki budzi grząskie bagno superspecjalizacji, nadmiar teoretyzowania w dydaktyce oraz brak zainteresowania publiczności, które stały się udziałem Historii; chciałbym też dorzucić własne trzy grosze do dzieła rehabilitacji naszej dyscypliny. Ale w moim przekonaniu, rozwiązania nie należy szukać w dalszym walcowaniu specjalistycznych problemów, i wobec tego starannie unikam wszelkich postmodernistycznych dyskursów, których uczestnicy starają się zdyskredytować wszelki dyskurs, poza własnym. Przynajmniej raz mam zamiar uciec od profesjonalnych rozgrywek, bardziej bezpośrednio przyjrzeć się uznanym zapisom przeszłości, a zwłaszcza na nowo przeanalizować ogólne ramy, w jakie wpisują się wszystkie bardziej szczegółowe opracowania.

Jako autor prac historycznych w coraz większym stopniu poświęconych problemom ogólnej syntezy, nie waham się wyrazić podziwu i szacunku tym spośród moich kolegów, którzy uprawiają historię na przeciwnym końcu skali, „pod mikroskopem”. Żaden autor historycznej syntezy nie mógłby nawet zacząć pracy, gdyby nie znajdował oparcia w monografiach i artykułach pisanych przez ludzi stosujących zupełnie odmienną skalę wielkości. Życzyłbym sobie tylko, aby niektórzy spośród tych specjalistów wykazywali podobne zrozumienie dla zdolności

i trudu popularyzatorów i *simplificateurs*. W niczym interesie nie leży utrzymywanie fałszywego podziału na historię „popularną” i historię „naukową”.

Mimo to wydaje się, że wśród profesjonalistów panuje niemal powszechne przekonanie, iż ogólne ramy historii Brytanii zostały wyryte w kamieniu przez wielkich uczonych minionych pokoleń i że współcześni historycy mają je zostawić w spokoju. Cały swój czas i zdolności powinni natomiast poświęcić bezustannie kurczącym się skrawkom dziewiczych terenów. W miarę jak wzbiera w postępie geometrycznym potężny strumień historycznych danych, wzrasta także pokusa, aby utkwic wzrok w tych maleńkich splachetkach. Już od pięćdziesięciu lat owa skłonność sprawia, że historia staje się w coraz mniejszym stopniu sztuką, a w coraz większym – pseudonauką, ci zaś, którzy ją zawodowo uprawiają, mają coraz szerszą wiedzę na coraz węższy temat. W efekcie hasło „przepraszam, to nie moja działka” stało się używanym na co dzień sloganem. Młodym historykom każe się wierzyć, że roztrząsanie zawitych kwestii we własnym gronie i za pomocą uczonego żargonu jest ważniejsze niż porozumiewanie się zwykłym językiem z szeroką publicznością. Studentów karmi się daniami *à la carte* z menu, które nigdy nie dostarcza im spójnego obrazu czegokolwiek; nauczycielom pozwala się dobierać receptury według własnego widzimisię. Szeroka publiczność w ogóle się wyłączała.

A przynajmniej istnieje niebezpieczeństwo, że się wyłączy. Celowo przerysowuję ten obraz. Sprawy nie wyglądają aż tak źle, jak je przedstawiają pesymiści. Wiem dobrze, że w ostatnich latach wielu odważnych historyków zdecydowało się popłynąć pod prąd i że udało im się wspiać na szczyty list bestsellerów – jako autorom pełnych rozmachu, ambitnych książek historycznych o szerokich horyzontach. Żaden z nich nie mógł być pewien sukcesu, dopóki ich prace, z pozoru pozbawione szans zwycięstwa w konkursie na bestseller, nie trafiły do księgarń. Tacy autorzy jak Simon Schama, Felipe Fernández-Armesto czy Orlando Figes zyskali sobie w pełni zasłużony poklask oryginalnością podejścia do tematu, oczywistą pasją i pisarskim talentem⁴. Czytelnicy mają, jak się okazuje, nienasycony apetyt na historię ciekawą i napisaną z polotem. Pewien ważny artykuł w „New York Times” ujawnił, ku wyraźnemu zdziwieniu jego autora, że wielkie historyczne przeboje mogą trafiać na listy bestsellerów⁵.

Wiem też, że niektórzy z najlepszych historyków na brytyjskim polu odłączyli od stada i wyruszyli na poszukiwanie nowych, ekscytujących ścieżek. Stary anglocentryczny kaftan bezpieczeństwa zaczyna pękać w szwach. Podstawowe pytanie o „brytyjską tożsamość” poddawane jest skrupulatnej analizie. Tacy auto-

⁴ S. Schama, *The Embarrassment of Riches: an Interpretation of Dutch Culture in the Golden Age*, Londyn 1988, i *Citizens: a Chronicle of the French Revolution*, Nowy Jork 1989; F. Fernández-Armesto, *Millennium*, Londyn 1996; O. Figes, *A People's Tragedy: the Russian Revolution 1891–1924*, Londyn 1997.

⁵ J. Shapiro, *Yes, a big seller can have footnotes*, „The New York Times Book Review”, 15 lutego 1997.

rzy jak David Cannadine i Linda Colley, Hugh Kearney, Patrick O'Brien czy Rees Davies przekonująco dowiedli, że stare sposoby już nie wystarczą. Miałem szczęście uczestniczyć w przełomowej Konferencji Anglo-Amerykańskiej, która odbyła się w Londynie w 1994 roku i która, mimo nieprzystającego do treści obrad tytułu, wykazała, że dawne „anglo-ramy” wyspiarskiej historii nie dadzą się już dłużej utrzymać. Jako absolwent oksfordzkiego Magdalen College, wiedziałem również, że uczeni i wpływowi mentorzy w rodzaju nieżyjącego już Angusa McIntyre (który sam był irlandzko-australijским Szkotem) stali się źródłem inspiracji dla grupy uczniów zainteresowanych „wielością tożsamości” i „złożonością królestw” Wielkiej Brytanii⁶. Ich wysiłek doczeka się nagrody.

Mimo to można popaść w przygnębienie, gdy się patrzy na połączenie samozadowolenia z zamętem w głowie, jakie często przeważa w podejściu do najprostszych nawet spraw dotyczących historii. Któż nie zna anegdotek o kasjerkach z supermarketów, które na widok sumy 10,66 wyskakującej na ekranie kasy fiskalnej wykrzykują: „No i proszę – bitwa pod Waterloo”⁷. Za niejedno odpowiedzialność ponosi system oświaty. Pięćdziesiąt lat temu wszystkie dzieci uczyły się jeszcze historii i rozwoju tego, co nazywano „Anglią” – to znaczy Zjednoczonego Królestwa wraz z jego imperium i z jego koloniami. Uczyły się tej historii w duchu dumy i patriotyzmu i karmiono je relacjami o królach i królowych, bohaterach i bohaterkach, o zwycięstwach i chlubnych porażkach i o narodowych osiągnięciach. Rozumiały, co to wszystko znaczy i jakie są tej nauki obywatelskie i patriotyczne cele. Po pięćdziesięciu latach bardzo niewiele zostało z dawnego podejścia do sprawy. Niewątpliwie miało ono swoje wady. Ale nigdy nie zostało zastąpione niczym godnym uwagi. Z chwilą upadku imperium patriotyczna historia wyszła z mody. Wojny i bitwy znajdowały niewielu amatorów, zwłaszcza wśród nauczycieli. Daty i fakty dotyczące królów i królowych uznano za szkodliwe dla zdrowia młodych umysłów. Ich miejsce w szkolnej klasie zajęły krytyczne debaty na temat źródeł „sprawności w zakresie historii”, a jeszcze częściej – ćwiczenia z empatii. Historia polityczna straciła swoje tradycyjne powiązania z geografiami i ustąpiła miejsca studiom społecznym i ekonomicznym. W gruncie rzeczy z chwilą pojawienia się nowych przedmiotów – techniki, ekologii czy ekonomii – historia stała się w obliczu niebezpieczeństwa degradacji do roli drugorzędnej opcji w ogólnonarodowych programach szkół państwowych Anglii i Walii. Według doniesień prasowych z marca 1999 roku, plany rządowe, gdyby weszły w życie, jeszcze bardziej obniżyłyby i tak już niski status historii jako przedmiotu nauczania. Szkoły podstawowe, którym kazano poświęcać więcej niż dotąd czasu na podnoszenie poziomu nauczania języka angielskiego i matematyki, miały porzucić wszelkie

⁶ L. Brockliss, D. Eastwood (red.), *A Union of Multiple Identities: the British Isles, c.1750–c. 1850*, Manchester 1997.

⁷ 1066 – data bitwy pod Hastings, która przesądziła o podboju Anglii przez Normanów (przyp. tłum.).

próby wykładania zarysu dziejów narodowych. Nauczycieli nakłaniano, aby jeszcze mocniej niż dotychczas koncentrowali się na wszczepianiu „sprawności w zakresie historii” uczniom, którym brakowało systematycznej wiedzy historycznej. Szkoły średnie miały całkowicie zaniechać nauczania wszelkiej historii opartej na faktach. Uczniowie mieli teraz „badać, w jaki sposób w procesie wędrówek i osadnictwa różnych ludów kształtowało się społeczeństwo brytyjskie”. W programach lekcji dotyczących XX wieku jedynym tematem obowiązkowym byłby nazistowski Holocaust – który bezpośrednio nie należy nawet do tematów brytyjskich. Zdaniem dyrektora Komisji do spraw Programu Nauczania Historii, innowacje te stałyby się potwierdzeniem „zniknięcia kamieni milowych na drodze dziejów historii brytyjskiej”⁸. Można tylko mieć nadzieję na zmianę stanowiska lub czekać na potwierdzenie, że raporty w prasie były przesadzone.

Jednak już sam fakt, iż plany tego rodzaju w ogóle poddano pod dyskusję, wskazuje na alarmujący upadek historii jako przedmiotu nauczania w ostatnich dziesięcioleciach. Jeśli wierzyć raportom, proces rozkładu musiał być bardzo zaawansowany. Całe pokolenie wychowano bez wyrobienia w młodych ludziach jakiegokolwiek podstawowej świadomości historycznej. A społeczeństwo nieświadome własnej historii jest jak człowiek cierpiący na amnezję. Po prostu nie jest w stanie skutecznie działać. Nic więc dziwnego, że na każdym kroku spotyka się ludzi, których nie obchodzi różnica między „Anglią” i „Brytanią” ani między „Wielką Brytanią” i „Zjednoczonym Królestwem”. Takich różnic, zakorzenionych w historycznych przemianach, po prostu nie dostrzegano.

Prawdziwe rozmiary owych grząskich obszarów pomieszania z poplątaniem wprawiają w osłupienie. Jednym z najbardziej zadziwiających aspektów dzisiejszej sytuacji jest liczba obywateli Zjednoczonego Królestwa nieświadomych – jak się wydaje – podstawowych parametrów określających państwo, w którym żyją. Często nie wiedzą oni, jak to państwo się nazywa; nie odróżniają całości od części składowych, nigdy też nie udało im się pojąć najbardziej podstawowych faktów na drodze jego rozwoju. Zamęt panuje dosłownie na każdym kroku. W dodatku nie ogranicza się bynajmniej do mocno zakorzenionego złego obyczaju używania etykiety „Anglia”, stanowiącego swego rodzaju skrótowe wyrażenie na oznaczenie Zjednoczonego Królestwa jako całości, ani też do przekonań podróżnych, którzy myślą, że ich paszporty nie są „brytyjskie”, lecz „angielskie”. Takie lapsusy są na porządku dziennym. Ale to tylko czubek góry lodowej. Prawdziwa skala problemu zaczyna się rysować dopiero wtedy, kiedy człowiek zda sobie sprawę, jak dalece nawet wielkie autorytety okazują się niezdolne do przedstawienia historii naszych Wysp w sposób prawdziwy i jednoznaczny.

⁸ *Churchill may fall victim to history shape-up* („Churchill może paść ofiarą historycznego wstrząsu”), „The Advertiser” (Adelajda), 30 marca 1999, cyt. za: „Daily Mail”. Por. P. Hitchens, *Born Yesterday* („Urodzeni wczoraj”), [w:] *The Abolition of Britain*, Londyn 1999, s. 33–55.

Aby przeprowadzić wstępny sondaż, wystarczy wejść do którejkolwiek księgarni i przejrzeć pierwsze akapity najpopularniejszych prac z historii Wielkiej Brytanii. Sam wykonałem taki eksperyment; na moje pytanie o najlepsze dostępne na rynku książki sprzedawczyni wskazała na trzy tytuły: *The Story of Britain* („Dzieje Wielkiej Brytanii”, 1992, 1998) Roya Stronga, *The Oxford History of Britain* („Oksfordzka historia Wielkiej Brytanii”, 1999) i *The Lives of the Kings and Queens of England* („Życiorysy królów i królowych Anglii”, wydanie poprawione, 1997) Antonii Fraser. Wszystkie trzy książki mają niewątpliwie wiele zalet w zakresie tych aspektów, które stanowią przedmiot zainteresowania ich autorów. Nie dokonywałem całościowej oceny owych dzieł. Celem eksperymentu było po prostu sprawdzenie, w jaki sposób definiuje się w nich ogólny przedmiot rozważań i jak się go wprowadza.

Na przykład, inspiracją książki Roya Stronga była godna podziwu i namiętna wiara, że dzisiejsze pokolenie odczuwa potrzebę prostej historii o charakterze narracyjnym. Mimo to książkę otwiera zadziwiające stwierdzenie: „Brytania jest wyspą”⁹. Ma się ochotę mruknąć: „no cóż, i tak, i nie”. Na sąsiedniej stronie Strong oferuje czytelnikowi mapę fizyczną ukazującą bezimienny archipelag złożony z dwóch dużych wysp i kilku mniejszych wysepek. Niewtajemniczonym czytelnikom – powiedzmy z Marsa czy z Japonii – zostanie wybaczone pytanie, która z tych wysp nazywa się „Brytania”. I nie pomoże im odpowiedź: „zależy, o co ci chodzi”.

Czytelnicy wtajemniczeni oczywiście szybko rozpoznają znajome zarysy „Wysp Brytyjskich”. W ich przypadku wybaczone będzie pytanie, czy w książce mówi się o historii jednej z tych wysp, czy też wszystkich. Na podstawie zawartości można by założyć, że Strong używa etykiety „Brytania” jako przyjętego skrótu na oznaczenie Zjednoczonego Królestwa. Problem polega jednak na tym, że Zjednoczone Królestwo składa się z dwóch części: z Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej. Wobec tego nie jest to wyspa w liczbie pojedynczej w czasie teraźniejszym. Ściśle rzecz biorąc, to nie jest jedna wyspa od 31 grudnia 1800 roku.

Wprowadzając owo nieporozumienie, Roy Strong idzie śladem wielu swoich poprzedników. Jednym z nich był A. L. Rowse, którego praca nosi taki sam tytuł jak książka Stronga. *The Story of Britain* („Dzieje Wielkiej Brytanii”, 1979, 1993) Rowse’a zaczyna się w niemal identyczny sposób:

Dzieje Wielkiej Brytanii to dzieje wyspy, która wywarła silniejszy wpływ na świat zewnętrzny niż jakakolwiek inna wyspa w historii¹⁰.

No i proszę: znowu fiksacja na temat jednej wyspy, owiana delikatnym powiewem imperialnej atmosfery. Czuje się ją jeszcze w ostatnim zdaniu epilogu:

⁹ R. Strong, *The Story of Britain*, Londyn 1998, s. 1.

¹⁰ A. L. Rowse, *The Story of Britain*, Londyn 1979 (wydanie poprawione 1993), s. 7.

Dopiero się okaże, w jaki sposób ludzie (...) pokierują swoim losem i czy na tej szczęśliwej wyspie będzie to los godny tak wspaniałej historii¹¹.

W tym miejscu niejedynemu czytelnik zechce zapewne sięgnąć po słownik. Otóż ostatnie wydanie najwyższego autorytetu w tej dziedzinie, *The Oxford English Dictionary*, podaje następującą definicję:

Brytania: nazwa własna całej wyspy, na której leżą Anglia, Walia i Szkocja oraz obszary im podlegające; pełna nazwa „Wielka Brytania”; obecnie używana także na określenie państwa brytyjskiego lub całego imperium¹².

Dla przymiotnika *britisch* („brytyjski”) ten sam słownik podaje pięć podstawowych znaczeń:

1. należący lub odnoszący się do starożytnych Brytów;
2. należący lub odnoszący się do Wielkiej Brytanii lub jej mieszkańców;
3. należący lub odnoszący się do Bretanii; bretoński (przestarz.);
4. eliptycznie – jako rzeczownik w liczbie mnogiej (*the British*): Brytyjczycy;
5. w połączeniach – przymiotniki: *British-born* („urodzony w Wlk. Brytanii”), *British-built* („zbudowany w Wlk. Brytanii”), *British-owned* („będący własnością Wlk. Brytanii a. Brytyjczyków”); rzeczowniki: *Britishman* („Brytyjczyk”) itp.¹³

Dowiadujemy się z powyższego, że słowo „Brytania” może się odnosić do jednej z trzech różnych rzeczy (lub do nich wszystkich jednocześnie): do jednostki geograficznej zwanej „Wielką Brytanią”, do państwa brytyjskiego i wreszcie do Imperium Brytyjskiego. Natomiast – co wydaje się dość absurdalne – przymiotnik „brytyjski” ma nieco odmienne geograficzne konotacje. Najwyraźniej może się odnosić tylko do starożytnej Brytanii, do Wielkiej Brytanii lub do Bretanii. Nie odnosi się natomiast do Zjednoczonego Królestwa – poza krótkim okresem w historii, gdy „Królestwo” było równoznaczne z „Wielką Brytanią”, czyli obejmującym lata 1707–1800. To z całą pewnością nie jest w porządku jak na słownik wydany w roku 1994.

Jeśli poszukać wyjaśnienia w *The Shorter Oxford English Dictionary*, fabuła jeszcze bardziej się zagęszcza. Znaczenia przymiotnika „brytyjski” są w zasadzie takie same jak w *OED*, jeśli nie liczyć punktu 5., który tym razem został pominięty. Podstawowa definicja rzeczownika „Brytania” też jest w zasadzie taka sama, z wyjątkiem jednej interesującej poprawki. Otóż podczas gdy w *OED* czytamy, że nazwa „Brytania” jest „obecnie używana także na określenie państwa brytyjskiego lub całego imperium”, w odpowiednim miejscu *SOED* znajdujemy informację, iż jest ona „obecnie używana na określenie całego imperium”¹⁴. Z jakiegoś powo-

¹¹ *Ibid.*, s. 178.

¹² *Oxford English Dictionary*, Oksford 1994, s. 561.

¹³ *Ibid.*, s. 562–563.

¹⁴ *Shorter Oxford English Dictionary*, s. 223.

du autorzy *SOED* postanowili usunąć z listy definicji słowa „Brytania” znaczenie „państwo brytyjskie”. Jeśli ta decyzja jest poprawna, to *The Story of Britain* Roya Stronga mogą być historią albo wyspy Wielkiej Brytanii, albo Imperium Brytyjskiego, ale nie Zjednoczonego Królestwa.

Niekonsekwencje trudno zliczyć. Oscylują one wokół drażliwego pytania, co wchodziło w skład Zjednoczonego Królestwa w danym momencie dziejów. Dalsze wyjaśnienia definicji „Brytanii” w obu słownikach przynoszą podobne formuły. *OED* stwierdza:

Po okresie staroangielskim nazwy „Brytania” używano jedynie jako nazwy historycznej, mniej więcej do czasów Henryka VIII i Edwarda VI, kiedy to weszła ona ponownie do języka polityki w związku z wysiłkami zmierzającymi do zjednoczenia Anglii i Szkocji; w roku 1604 Jakub I został ogłoszony „królem Wielkiej Brytanii”; nazwę tę przyjęto dla Zjednoczonego Królestwa od momentu podpisania unii z 1707 roku...¹⁵

SOED podaje tę informację w wersji skondensowanej, podczas gdy *OED* wzbogaca ją o dalsze szczegóły:

Począwszy od tego wydarzenia [czyli unii z roku 1707], nazwy „Brytania Południowa” (*South Britain*) i „Brytania Północna” (*North Britain*) pojawiają się często w aktach parlamentu jako określenie Anglii (pierwsza) i Szkocji (druga); druga nazwa występuje także sporadycznie w kontekstach dotyczących usług pocztowych. (Podobnie jak nazwa „Brytania Zachodnia” – *West Britain* – jako humorystyczne lub ironiczne określenie Irlandii). „Większa Brytania” (*Greater Britain*) to we współczesnej retoryce określenie „Wielkiej Brytanii wraz z koloniami”, „Imperium Brytyjskiego”, które weszło w modę w 1868 roku¹⁶.

Komentarze te są, oczywiście, interesujące same w sobie. Trudno się jednak oprzeć uczuciu, że oksfordzcy wydawcy zablakali się w jakimś dość odległym okresie historii. Łatwo odnieść wrażenie, iż właściwie prawie nie wyszli poza rok 1707. Nie zdradzają swoim czytelnikom faktu, że na przestrzeni minionych dwóch stuleci nazwa i terytorium Zjednoczonego Królestwa dwukrotnie uległy zmianie. Na przykład nazwy „Brytania Zachodnia” można było używać tylko w okresie między rokiem 1801 a 1922, kiedy Irlandia stanowiła część Zjednoczonego Królestwa. Nazwa „Brytania”, jako skrótowe określenie zarówno „Wielkiej Brytanii”, jak i „Zjednoczonego Królestwa”, była jednoznaczna tylko za życia zjednoczonego „Królestwa Wielkiej Brytanii”, czyli od roku 1707 do roku 1800. Natomiast poczynając od roku 1800, „Brytania” musiała przyjąć inne znaczenia, na co zresztą zwracają uwagę definicje w słownikach.

Niewiele wyjaśnia także odwołanie się do słownikowych definicji nazwy „England” („Anglia”). Z pozoru *SOED* oferuje czytelnikowi trzy definicje:

¹⁵ *OED*, *op. cit.*, s. 561.

¹⁶ *Ibid.*

1. Terytorium należące do Angłów. Tylko w jęz. staroangielskim.
2. Południowa część wyspy Wielkiej Brytanii (...). Często jako określenie narodu lub państwa angielskiego (lub brytyjskiego) (...)
3. Skrót tytułu „Król Anglii” (*The King of England*), także określenie Anglików lub grupy Anglików...¹⁷

Dokładniejsza lektura pokazuje, że w gruncie rzeczy *SOED* podaje siedem definicji nazwy „Anglia”. Sam tylko punkt 2. zawiera ich pięć, a mianowicie:

- południowa część wyspy Wielkiej Brytanii – tj. jednostka geograficzna lub terytorialna;
- naród angielski – tj. społeczność ludzka;
- państwo angielskie – tj. byt polityczny;
- naród brytyjski;
- państwo brytyjskie.

Nie jest dobrze, że wydawcy włączają wszystkie pięć definicji w ramy pojedynczego hasła. Jako jeden z powodów można by podać, iż uznali oni przymiotniki „angielski” i „brytyjski”, podobnie jak rzeczowniki „naród” i „państwo”, za synonimy i że wszystkie cztery terminy znaczą dla nich to samo co „południowa część (...) Wielkiej Brytanii”. Jeśli tak jest w istocie, to wystawili się w ten sposób na wiele poważnych zarzutów.

W tym świetle – czy też raczej w tym mroku – warto przedstawić z kolei „Oksfordzką historię Wielkiej Brytanii” (1999). Przedmowa wydawcy zaczyna się, jak następuje:

Odmiennosc, czy też nawet niepowtarzalność, Brytyjczyków jako narodu od dawna uważano za rzecz oczywistą (...). Przybysze z zagranicy – poczynając od owych wszędobylskich weneckich ambasadorów z końca XV wieku, przez intelektualistów w rodzaju Woltera czy Tocqueville’a, aż po amerykańskich dziennikarzy z XX wieku – byli nieodmiennie przekonani o szczególnym charakterze brytyjskiego społeczeństwa¹⁸.

Kluczowe frazy tego fragmentu to „Brytyjczycy jako naród” i „brytyjskie społeczeństwo”. Natychmiast budzą podejrzenie o anachronizm. Nie ma żadnej wątpliwości, że zarówno Wolter w wieku XVIII, jak i Tocqueville w wieku XIX oraz amerykańscy dziennikarze w wieku XX pisali o narodzie i o społeczeństwie, które istotnie można było nazywać „brytyjskimi”. Natomiast powstaje pytanie, co właściwie było celem odwiedzin owych wszędobylskich weneckich ambasadorów pod koniec XV wieku. Rzecz działa się ponad dwieście lat przed utworzeniem państwa brytyjskiego, więc można podejrzewać, że weneccy ambasadorowie odwiedzali jedynie Anglię i że ich komentarze ograniczały się do szczególnych cech narodu angielskiego oraz angielskiego społeczeństwa. I z pewnością

¹⁷ *SOED*, *op. cit.*, s. 611.

¹⁸ K. O. Morgan (red.), *The Oxford History of Britain*, Oksford 1999, s. V.

nie jest tu na miejscu sugestia, iż „angielskie społeczeństwo” z XV wieku było po prostu wcześniejszą wersją „społeczeństwa brytyjskiego” z wieku XVIII i z wieków następnych.

Kontynuując lekturę, czytelnik natrafia na jeszcze większy zamęt i traci wszelką nadzieję na wyjaśnienie sprawy:

Podstawowe założenie tej książki jest takie, że ma to być historia Wielkiej Brytanii, czyli dwóch podzielonych, wielokulturowych wysp, a nie wyłącznie Anglii¹⁹.

A więc książka nie dotyczy „wyłącznie Anglii”. W porządku. Traktuje ona zatem zapewne o „historii Wielkiej Brytanii”. Ale przecież „Wielkiej Brytanii” żadną miarą nie da się utożsamić z „dwoma podzielonymi, wielokulturowymi wyspami”. Jak potwierdza *OED*, „Wielka Brytania” to pełna nazwa „całej wyspy, na której leżą Anglia, Walia i Szkocja oraz obszary im podlegające”. Nie należy do nich Irlandia. W odróżnieniu od nazwy „Brytania”, nazwą „Wielka Brytania” nie można określać „dwóch wysp” – ani „podzielonych”, ani „wielokulturowych”, ani żadnych innych. Wobec tego mamy tu do czynienia nie tylko z anachronizmem czy niejednoznacznością, ale także z podstawowym błędem. Jest to dość niepokojące. Można odnieść wrażenie, że zamieszanie szerzą właśnie te prace, których celem powinno być usuwanie zamieszania.

Analiza poszczególnych rozdziałów „Oksfordzkiej historii Wielkiej Brytanii” nie przynosi większego poczucia pewności. Mimo deklaracji wydawcy „podstawowe założenie” jest w dużej mierze ignorowane. Na przykład rozdział poświęcony XVI wiekowi nosi tytuł „Epoka Tudorów”. Zaczyna się od podrozdziału „Zmiany zaludnienia”, w którym brak jakichkolwiek informacji o ludności jakichkolwiek obszarów poza Anglią; na wstępie znajdujemy następujące zdanie:

Epoka Tudorów utrwaliła się w umysłach Anglików i Amerykanów jako punkt zwrotny w dziejach Wielkiej Brytanii²⁰.

Epoka Tudorów – którzy panowali w Anglii, Walii i Irlandii, ale nie w Szkocji – jest z pewnością ważnym okresem w historii Anglii. Natomiast trudno byłoby ją uznać za punkt zwrotny w dziejach Wielkiej Brytanii.

Dalszy rozdział, zatytułowany „Stuartowie, 1603–1688”, okazuje się niewiele lepszy. Znowu nie wspomina się o Szkocji ani o Irlandii, a rozdział otwiera stwierdzenie, że Stuartowie byli „jedną z najmniej udanych dynastii Anglii”²¹. Tego rodzaju ocena starej szkockiej dynastii, która tylko przez krótki okres panowała w Anglii, wydaje się, delikatnie mówiąc, nie na miejscu.

¹⁹ *Ibid.*, s. VI.

²⁰ J. Guy, *The Tudor Age* („Epoka Tudorów”), *ibid.*, s. 257.

²¹ J. Morrill, *The Stuarts* („Stuartowie”), *ibid.*, s. 327.

W swojej przedmowie wydawca „Oksfordzkiej historii...” gorąco apeluje do brytyjskiego patriotyzmu. „Ten głęboko zakorzeniony patriotyzm – pisze – od stuleci obejmujący Walijczyków, Szkotów i mieszkańców Ulsteru – ale, rzecz charakterystyczna, nigdy nie Irlandczyków z południa – przetrwał i zachował się w niezmienionym kształcie”²². Trzeba przyjąć, że południowi Irlandczycy, jak na przykład książę Wellington, nie wchodzi w rachubę. Ale kiedy czytelnicy będący Walijczykami, Szkotami czy Ulsterczykami zadadzą sobie trud sprawdzenia, co się mówi, a czego się nie mówi o ich krajach, podziała to na ich patriotyczne uczucia jak kubeł zimnej wody. Jeśli brytyjscy historycy mają się nadal odwoływać do patriotyzmu nie-Anglików, to będą musieli podchodzić do uczuć nie-Anglików z większą starannością i wrażliwością.

Przejdźmy następnie do „Życiorysów królów i królowych Anglii” – tu znajdziemy jeszcze więcej źródeł zamieszania. Lady Antonia Fraser zaczyna od stwierdzenia, że „w pewnym sensie (...) ta książka (...) nie wymaga żadnego wstępu”²³. Rzut oka na spis treści pokazuje jednak, iż jest przynajmniej jedno miejsce, które głośno domaga się jakiegoś wstępnego wyjaśnienia. Albowiem spis ten zaczyna się od Wilhelma Zdobywcy, a kończy na Elżbiecie II. Z niewiadomego powodu wyłączono dziesięciu władców z epoki poprzedzającej podbój Anglii – od Edwar-da Starszego po Harolda II, syna Godwina – którzy niewątpliwie byli królami Anglii, włączono natomiast jedenastu przedstawicieli dynastii hanowerskiej, Sachsen-Coburg und Gotha oraz Windsorów, którzy byli władcami nie Anglii, lecz Zjednoczonego Królestwa. Wszyscy lojalni, choć nieangielscy poddani Jej Królewskiej Mości mają prawo poczuć się dotknięci.

Tytuł *This Sceptred Isle* („Ta wyspa berło dzierżąca”²⁴) nosi książka, którą wydano jako uzupełnienie bardzo popularnej w programie radiowym BBC serii audycji nadawanych w latach 1995–1996²⁵. Jest ona bogato inkrustowana cytata-mi stanowczych wypowiedzi Winstona Churchilla, pochodzących z jego *History of the English Speaking Peoples* („Historia narodów mówiących po angielsku”, 1954–1956); składających się na nią pięćdziesiąt pięć epizodów obejmuje okres dwóch tysięcy lat, od Juliusza Cezara po królową Wiktorię. Zarówno książka, jak i wspomniany cykl audycji pokazały, że ludzie mają ochotę na historyczną narrację w dawnym stylu oraz że czują potrzebę ogólnych ram chronologicznych, w które można by wbudować historyczną wiedzę. Mimo to, jak wskazuje przyjęcie sloganu zaczerpniętego z Shakespeare’a (por. s. 458), interpretacja jest aż do przesady anglocentryczna. Bez chwili wahania przyjmuje się, że Anglia stanowi jedyną część wyspy, która się liczy, oraz że historia Wielkiej Brytanii jest po prostu dalszym ciągiem historii Anglii.

²² *Ibid.*, s. X.

²³ A. Fraser, *The Lives of the Kings and Queens of England*, Londyn 1997, s. 9.

²⁴ Angielski tytuł jest cytatem z *Ryszarda II* W. Szekspira; w tłum. S. Koźmiana: „ta koronna wyspa” – por. Rozdz. VII, s. 458.

²⁵ Ch. Lee, *This Sceptred Isle*, Londyn 1997.

Na koniec wypada wspomnieć o jeszcze jednej pozycji. Książka *Offshore Islanders* („Wyspiarze z pełnego morza”, 1995) Paula Johnsona nosi podtytuł „Historia narodu angielskiego”. Zaczyna się od umieszczonego na karcie tytułowej cytatu z dzieła *Aeropagitica* Milтона:

Lordowie i Gminie Anglii – rozważcie, jakież jest ten naród, którego część stanowicie i którego jesteście panem i władcą...²⁶

Wypada tylko powiedzieć „amen”.

Panujące zamieszanie widać najlepiej w systemach klasyfikacji większych bibliotek. Ktoś, kto poszukuje prawdy w bibliotekach uniwersyteckich w Oksfordzie, musi rozwiązać kilka osobliwych zagadek. W uniwersyteckim katalogu komputerowym (OLIS) przedmioty historyczne są na ogół uporządkowane według krajów. Historii Francji szuka się pod hasłem FRANCJA – HISTORIA; historii Włoch pod hasłem WŁOCHY – HISTORIA itd. Wobec tego, zgodnie z wszelką logiką, można by oczekiwać, że historia Wielkiej Brytanii będzie skatalogowana pod ZJEDNOCZONE KRÓLESTWO – HISTORIA. Nic podobnego. OLIS nie ma pojęcia o tym, że Zjednoczone Królestwo w ogóle ma własną historię. Gdy się wystuka hasło ZJEDNOCZONE KRÓLESTWO – HISTORIA, nie otrzyma się żadnej odpowiedzi, jeśli nie liczyć rzędu strzałek na ekranie, pokazujących miejsce, w którym powinno się znajdować nieistniejące hasło, gdyby istniało, tj. między ZJEDNOCZONE KRÓLESTWO – HARFIARZE, STOWARZYSZENIE a ZJEDNOCZONE KRÓLESTWO – I. T. A., FEDERACJA²⁷. Brak nawet odnośników do jakichkolwiek innych pokrewnych haseł, takich jak WIELKA BRYTANIA – HISTORIA czy IRLANDIA PÓŁNOCNA – HISTORIA. A przecież w końcu – jak wiedzą dobrze poinformowani – państwo, w którym istnieje i działa Uniwersytet Oksfordzki razem ze swoimi bibliotekami, nazywa się „Zjednoczone Królestwo Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej”.

Przeglądając katalog z dołu do góry, dochodzi się do hasła ARABSKIE, ZJEDNOCZONE EMIRATY – HISTORIA, a z góry na dół – do haseł ZJEDNOCZONE, NARODY – HISTORIA oraz ZJEDNOCZONE, STANY – HISTORIA. Co więcej, o ile można stwierdzić, dosłownie każdy członek ONZ, od AFGANISTANU po ZIMBABWE, ma własne główne hasło z podhasłem HISTORIA. Ale nie Zjednoczone Królestwo.

Można zdać się na los szczęścia i spróbować odszukać hasło WIELKA BRYTANIA – HISTORIA. W końcu wielu ludzi utożsamia „Zjednoczone Królestwo” z „Wielką Brytanią”. Tym razem reakcja komputera jest pozytywna. Hasło WIELKA BRYTANIA – HISTORIA pojawia się na ekranie między hasłem WIELKA BRYTANIA – HISTORIOGRAFIA – CZASOPISMA a bardzo długą listą podhaseł hasła WIELKA BRYTANIA – HISTORIA, uporządkowanych według poszczególnych okresów. Zgodnie z niedaw-

²⁶ P. Johnson, *Historia Anglików*, tłum. J. Mikos, Gdańsk 1995.

²⁷ I. T. A.: *Initial Teaching Alphabet* – Alfabet Nauczania Początkowego; uproszczona wersja alfabety angielskiego, wprowadzana podczas nauki czytania (przyp. tłum.).

nymi obliczeniami, było tych haseł w sumie 641. Można przyjąć, że odnoszą się do ogólnych prac z historii Brytanii. Całość jest dość niechlujna, ale zrozumiała. Jeśli się jednak zacznie drażyć sprawę głębiej i wystuka się ANGLIA – HISTORIA, następuje szok. Hasło ANGLIA – HISTORIA nie tylko odsyła do hasła WIELKA BRYTANIA – HISTORIA, ale w dodatku pokazuje tę samą listę 641 pozycji. Po bliższej analizie okazuje się, że wszystkie hasła umieszczone pod hasłami głównymi WIELKA BRYTANIA – HISTORIA oraz ANGLIA – HISTORIA są identyczne. W obu przypadkach listę otwiera numer 1, *Kroniki św. Brygidy*, a zamyka numer 641, *Zins, Henryk, Historia Anglii, Wrocław 1979*. Wniosek może być tylko jeden. Nie wiadomo, kto ustalił zasady klasyfikacji książek historycznych w bibliotekach jednego z najstarszych uniwersytetów Zjednoczonego Królestwa, ale bez względu na to, kim była ta osoba, zdecydowała ona, że WIELKA BRYTANIA i ANGLIA to jedno i to samo. W tym konkretnym zakątku administracyjnego mózgu „historia Wielkiej Brytanii” nie wiąże się ze Zjednoczonym Królestwem i niczym się nie odróżnia od „historii Anglii”²⁸.

Oksfordzcy bibliotekarze zawsze się pilnują, żeby się nie dać takim, co stwarzają problemy. Udują zdziwienie. Ale potem, jeśli się nie przestaje zadawać pytań, ten czy ów wyzna, że Bodleian Library kieruje się taką samą polityką jak Biblioteka Kongresu w Waszyngtonie – nawet w kwestiach dotyczących Zjednoczonego Królestwa. Dawno temu, chyba na długo przed nadejściem epoki komputerów, przebiegli bibliotekarze z amerykańskiego Kongresu zapewnili sobie dominację na rynku, sprzedając kompaktowe zestawy haseł rzeczowych wydrukowane na fiszkach. Wobec tego dziś niemal wszystkie biblioteki w anglojęzycznym świecie przyjęły system amerykański. Jest to wspaniały przykład imperializmu w dziedzinie informacji. Kiedy fiszki przekształcono w hasła katalogów komputerowych, kompatybilność haseł stała się jeszcze bardziej pożądana – co pociągnęło za sobą oczywiste skutki.

Hasła przedmiotowe Biblioteki Kongresu wydawane są w formie trzech wielkich tomów w czerwonej oprawie razem ze wspaniałym podręcznikiem sztuki katalogowania. Możemy teraz powtórzyć nasze wcześniejsze doświadczenie. I znowu po wystukaniu hasła ZJEDNOCZONE KRÓLESTWO – HISTORIA komputer nie pokazuje nic. Co więcej, tym razem nie istnieje już nawet samo „Zjednoczone Królestwo”. Między ZJEDNOCZONA, SPÓŁKA HANDLU OWOCAMI a ZJEDNOCZONE, NARODY nie ma już nawet linii strzałek. Jakim sposobem Stany Zjednoczone mogą pozostawać w „szczególnych stosunkach” z politycznym sprzymierzeńcem, który nie istnieje?

Zajrzyjmy wobec tego do pierwszego z opasłych czerwonych tomów i poszukajmy hasła WIELKA BRYTANIA. Nie tylko jest, ale w dodatku opatrzone je wyjaśnieniem:

²⁸ OLIS – katalog komputerowy bibliotek uniwersyteckich w Oksfordzie, stan z maja 1999 roku.

Tu wprowadza się dzieła dotyczące Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej, w którego skład wchodzi Anglia, Irlandia Północna, Szkocja i Walia, oraz prace traktujące o wyspie Wielkiej Brytanii (...). Prace dotyczące położonej poza jurysdykcją grupy obejmującej wyspy Wielkiej Brytanii, Irlandię oraz mniejsze wyspy leżące w ich pobliżu należy katalogować pod hasłem „Wyspy Brytyjskie”²⁹.

To robi wrażenie i podnosi na duchu. Ci Amerykanie chyba wiedzą, o czym mówią. Podają dokładne definicje zarówno „Zjednoczonego Królestwa”, jak i „Wysp Brytyjskich”; wiedzą też, że Wielka Brytania to tylko jedna wyspa.

Kiedy jednak przejdziemy do szczegółowego hasła, „WIELKA BRYTANIA, Historia”, znów wyszczerza na nas zęby stary zły duch. Otóż po hasle „WIELKA BRYTANIA, Historia” pojawia się instrukcja „szukaj ANGLIA, Historia”. Nie „szukaj ANGLIA, Historia, i szukaj SZKOCJA, Historia”, ale po prostu „szukaj ANGLIA, Historia”. Cóż za bałagan! Mimo całej swojej przewagi informacyjnej Amerykanie mają w głowach dokładnie taki sam zamęt jak Brytyjczycy. Podobnie jak w Oksfordzie, bibliotekarze w Waszyngtonie zdecydowani są przedstawiać historię Wielkiej Brytanii i historię Anglii jako jedno i to samo. W obu wypadkach brak świadomości, że historia Wielkiej Brytanii obejmuje dzieje Szkocji oraz Anglii (a także, w wieku XIX, Irlandii) i że Anglia – podobnie jak Szkocja – ma własną historię czasów poprzedzających unię z 1707 roku.

Zmagającym się z tymi zawłościami bibliotekarzom oferuje się dwie stronicowe wskazówki:

TŁO: hasło **Wielka Brytania** jest stosowane zarówno w katalogach opisowych, jak i przedmiotowych jako konwencjonalna nazwa Zjednoczonego Królestwa, w którego skład wchodzi Anglia, Irlandia Północna, Szkocja i Walia. Niniejsza instrukcja zawiera opis stosowania nazwy **Wielka Brytania** – w odróżnieniu od nazwy **Anglia** – jako hasła przedmiotowego. Podaje także sposób użycia nazw **Wielka Brytania, Anglia, Irlandia Północna, Szkocja i Walia** w podkatalogach lokalnych³⁰.

Na razie wszystko w porządku. Ale za moment natrafiamy na „wyjątek”:

WYJĄTEK: Nie należy używać haseł **Historia** oraz **Polityka i rząd** jako podkategorii hasła **Anglia**. Pracom traktującym o historii, polityce lub rządzie Anglii należy przypisać hasło ogólne **Wielka Brytania**, z odpowiednim dla danej pozycji dalszym podziałem. Pozycje w katalogu przedmiotowym stosują się do tej zasady. Hasła **Stosunki zagraniczne** należy używać jako podkategorii hasła **Anglia** tylko w ograniczonym znaczeniu, które określa definicja zakresu pod **Anglia – stosunki zagraniczne**³¹.

Nie ma sensu czytać dalej. Biblioteki Waszyngtonu nie zamierzają stosować swojej wspaniałej wiedzy podczas wypełniania bieżących zadań. Mówiąc obiektyw-

²⁹ Katalog Biblioteki Kongresu Amerykańskiego, Waszyngton 1990, s. 1777.

³⁰ *Ibid.*

³¹ *Ibid.*

nie, nie ma sensownego powodu, dla którego Biblioteka Kongresu – i każda inna biblioteka na świecie – nie miałyby przyjąć trzech odrębnych haseł: „Zjednoczone Królestwo”, „Wielka Brytania” i „Wyspy Brytyjskie”. Logicznie rzecz biorąc, Anglia wymaga osobnego hasła, które byłoby równorzędne Szkocji, Irlandii, Irlandii Północnej i Walii. Natomiast hasło „ANGLIA, Historia” wymaga dokładnie trzech głównych podhaseł:

Anglia, Historia – do unii ze Szkocją (1707)

Anglia, Historia – w okresie 1707–1800, w granicach Królestwa Wielkiej Brytanii

Anglia, Historia – od roku 1801, w granicach Zjednoczonego Królestwa

Niestety, „forma skonwencjonalizowana” wymaga innych rozwiązań. Szanse na uporządkowanie konwencji, która zagnieździła się mocniej niż milenijna pluskwa, są znikome. Należy się obawiać, że zanim hasło ZJEDNOCZONE KRÓLESTWO – HISTORIA pojawi się w katalogach, Zjednoczone Królestwo pograży się w mroczach historii.

W tym miejscu z pewnością nie można się porywać na próbę pełnego wyjaśnienia panującego zamętu. Mogłoby się natomiast przydać kilka uwag. Pierwsza dotyczyłaby powszechnej, bezmyślnej i niepodważalnej wiary w nieprzerwaną ciągłość „naszej wyspiarskiej historii”. Wiara ta jest tak silna, że unicestwienia wszelkie poczucie potrzeby zmiany nazw, tak aby odpowiadały zmieniającej się rzeczywistości. Zakłada się, że Anglia jest niezmienna i wieczna. Wobec tego wielu historyków nie waha się mówić o „Anglii” w odniesieniu do tych stuleci pierwszego tysiąclecia, które znacznie wyprzedzają powstanie zarówno angielskiego państwa, jak i angielskiego narodu. Potem też mówią o „Anglii”, niesłusznie traktując tę nazwę jako synonim Zjednoczonego Królestwa nawet wówczas, gdy Anglia dawno wtopiła się w zjednoczone państwo o szerszych granicach.

Wydaje się też, że Anglicy szczególnie opornie przyjmują do wiadomości, iż ich Zjednoczone Królestwo od czasu swojego powstania w 1707 roku przeszło dwie kolejne przemiany. Po długim okresie niechęci ludzie zgodzili się wreszcie, że termin „Wielka Brytania” bardziej nadaje się na etykietę Zjednoczonego Królestwa niż termin „Anglia”. Ale kiedy królestwo zmieniło nazwę w 1801 roku i potem ponownie w roku 1922, zaniechano wszelkich dalszych prób przystosowania skróconej formy do rzeczywistości. Osiemnastowieczne określenie wryło się w umysły niczym w kamienne płyty i od tego czasu wykazuje zadziwiającą trwałość. Na początku XX wieku, kiedy po raz pierwszy wprowadzono wymóg umieszczania na brytyjskich pojazdach mechanicznych plaketek z międzynarodową nazwą kraju, zamiast „UK” wybrano niewłaściwy skrót „GB”. Samochody z Irlandii Północnej, która nigdy nie była częścią Wielkiej Brytanii, do dziś używają tablic rejestracyjnych z oznaczeniem GB. Na światowych rynkach pieniądza waluta Zjednoczonego Królestwa – funt szterling – zamiast „UKP” nazywa się

„GBP”. Na tej samej zasadzie, kiedy w latach dziewięćdziesiątych ministerstwu przyznawano adresy elektroniczne, wiele z nich przyjęło przez nieuwagę literki ‘gov.gb’ i dopiero później zmieniło je na bardziej odpowiedni skrót ‘gov.uk’.

Warto na koniec wspomnieć o pewnej zmianie o szerokim zasięgu, którą zaczęto powszechnie wprowadzać w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Otóż kiedy historycy wreszcie uświadomili sobie, że tradycyjne określenie „historia Anglii” wyraźnie nie pasuje do okresu po roku 1707, etykietkę „angielski” zaczęto zastępować na chybił trafił etykietą „brytyjski”. W efekcie utrwalił się zupełnie nowy zbiór anachronizmów. Stosowanie nazwy „brytyjski” hurtem do wszystkich okresów historii Wysp jest gruntownym wywracaniem rzeczy do góry nogami. Tudorzy, których jako władców Anglii zawsze poprawnie nazywano dynastią angielską (pochodzenia walijskiego), teraz zmienili się w dynastię brytyjską, którą z wszelką pewnością nie byli. Najwyższe osiągnięcie w tej dziedzinie należy do autorów jednej z niedawnych reklam telewizyjnych: beztrąsko poprawiwszy Shakespeare’a, wyprodukowali następujący niezrównany wers:

Ten błogi ogród, to berło, ta **Brytania**³².

Nie można mieć pretensji do copywriterów. Ostatecznie naśladują oni tylko najwybitniejszych uczonych.

Trudno byłoby znaleźć jakieś inne państwo czy kraj, w którym panowałoby podobne zamieszanie, jeśli idzie o podstawy własnej przeszłości. Za jedną z niewielu istniejących paraleli można uznać podręczniki nieodżałowanego nieboszczyka, Związku Radzieckiego. Chociaż Związek Radziecki powstał dopiero w 1923 roku, sowieccy historycy udawali na ogół, że historia sowiecka sięga wstecz do czasów prehistorycznych – tak jak miała sięgać w przód, rozciągając się w nieskończoną przyszłość. Standardowy podręcznik ery stalinowskiej, „Historia ZSRR” Anny M. Pankratowej, został wydany w Moskwie, w trzech tomach, w latach 1947–1948. Dopiero w trzecim tomie jest mowa o utworzeniu i rozwoju Związku Radzieckiego. Tom pierwszy rozpoczyna się rozdziałem zatytułowanym „Ustrój pierwotny w naszym kraju”, a kończy zestawieniem „Ważne daty w dziejach Związku Radzieckiego od czasów starożytnych do końca XVII wieku”. W owym okresie „przeszłości sowieckiej” znalazło się miejsce i dla starożytnych miast greckich na Krymie, i dla Dżyngis-chana. Tom drugi zaczyna się od rozdziału zatytułowanego „Utworzenie Imperium Rosyjskiego”, a kończy „Ważnymi datami z dziejów ZSRR w XVIII i XIX wieku”. Pierwsze widnieją na tej liście daty „1682–1725 (...) okres panowania Piotra I”³³. Może się to wydać zabawne. Ale stwierdzenie, że rządy Piotra I są częścią historii Związku Radzieckiego, nie jest czymś ani trochę mniej

³² *This blessed plot, this earth, this realm, this England* („Ten błogi ogród, to berło, ta **Anglia** / Hoża piastunka, płodna macierz Królów”), W. Szekspir, *Ryszard II* (akt II, sc. 1), tłum. S. Koźmian, [w:] tenże, *Kroniki*, Warszawa 1963, t. 1, s. 140 (przyp. tłum.).

³³ A. M. Pankratowa, „Historia ZSRR”, Moskwa 1947–1948, t. 1–3.

ekscentrycznym niż twierdzenie, iż rządy Henryka VIII stanowią element historii Wielkiej Brytanii. Historycy sowieccy mogliby się przynajmniej zasłaniać wymówką, że musieli wypełniać polecenia ideologicznych komisarzy. Natomiast historycy brytyjscy nie mają takiej wymówki. Warto przypomnieć, iż wielu ludzi na Zachodzie nie zdawało sobie sprawy, że „Rosja” to nie to samo co „Związek Radziecki”, aż do czasu, gdy Związek Radziecki ostatecznie upadł, zostawiając po sobie piętnaście niezależnych republik.

Co wobec tego można zrobić? Powiedziałbym, iż chcę w tej książce osiągnąć pięć celów. Po pierwsze, wskazać, że konwencjonalne ramy historii Wysp pilnie domagają się rewizji. Po drugie, oddać sprawiedliwość wszystkim narodom i kulturom w dziejach Wysp, nikogo nie dyskryminując. Po trzecie, nadać istniejącej wiedzy dotyczącej pewnych kluczowych tematów – jak na przykład powstanie i upadek „brytyjskości” – kształt solidnych ram chronologicznych i analitycznych. Po czwarte, wnieść własny wkład we współczesną debatę na temat Wielkiej Brytanii, w nadziei, że uda mi się pokazać, w jaki sposób doszło do obecnego stanu rzeczy. I wreszcie po piąte, dla ułatwienia poprzednich zadań, chcę przedstawić jasny i prosty wykład historyczny, skupiając się na tworzeniu i przemianach państw, w których zmiennych granicach ukształtowały się poszczególne warstwy naszych niestałych i wielorakich tożsamości. Dopóki nie zacząłem pisać, sam nie zdawałem sobie sprawy, jak wiele różnych państw znalazło się na Wyspach w ciągu stuleci:

- państwo arcykrólów Irlandii – do roku 1169
- starożytne księstwa plemienne Brytów – do ok. 70 r. n.e.
- niepodległe państwo Piktów – do IX w. n.e.
- rzymska Britannia, 43–ok. 410 r. n.e.
- niepodległe księstwa Brytanii i Walii, od V wieku do roku 1283, w tym Kornwalia, Cumbria i Strathclyde
- królestwa anglosaskie, od V do X wieku
- Królestwo Szkotów, od IX wieku do 1651 roku oraz w latach 1660–1707
- Królestwo Anglii, od X wieku do roku 1536, wraz z terenami od niego zależnymi, tj. wyspami na kanale La Manche, wyspą Man, angielsko-walijskim pograniczem (Marchią Walijską) oraz okupowanymi przez Anglię częściami Walii i Irlandii
- Królestwo Anglii i Walii, 1536–1649, 1660–1707
- Królestwo Irlandii, 1541–1649, 1660–1800,
- Wspólnota Brytyjska i Niepodległe Państwo Anglii, Walii i Irlandii, 1649–1654
- Wspólnota Wielkiej Brytanii i Irlandii *alias* „Pierwsza Republika Brytyjska”, 1654–1660
- Zjednoczone Królestwo Wielkiej Brytanii, 1707–1800

- Zjednoczone Królestwo Wielkiej Brytanii i Irlandii, 1801–1922
- Niepodległe Państwo Irlandzkie (później Éire, a następnie Republika Irlandzka), od roku 1922
- Zjednoczone Królestwo Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej, od roku 1922

Relacjonując te długie i dość zawile dzieje, wybrałem perspektywę patrzącego z zewnątrz outsidera, a nie kogoś, kto tkwi wewnątrz i przygląda się temu, co go bezpośrednio otacza. Jednym z powodów była chęć wprowadzenia czytelnika w wydarzenia na Wyspach we wcześniejszych okresach dziejów dopiero po ukazaniu mu szerszego kontekstu. Ponadto, rozpoczynając narrację każdego rozdziału w jakimś nieco dziwnym miejscu, chciałem uzmysłwić czytelnikowi, w jak dużym stopniu wszelka narracja historyczna zależy od perspektywy wybranej przez historyka.

Starałem się też zachować maksymalną dokładność w kwestii nazewnictwa. Zakwestionowawszy panujące konwencje, musiałem sam postarać się o większą precyzję. Starałem się wskazywać, co jest „angielskie”, a co nie jest, i używać przymiotnika „brytyjski” tylko w odniesieniu do dwóch okresów, do których ten przymiotnik rzeczywiście się odnosi – jednego w starożytności i drugiego w czasach nowożytnych.

Aby się uchronić przed panującymi anachronizmami, postanowiłem wszystkie nazwy użyte w pierwszym rozdziale przetransponować na formy będące dziełem wyobraźni, lecz neutralne pod względem czasowym. W rozdziale czwartym powszechnie przyjętych „Anglosasów” zastąpiłem „Germanami”. Określenia „brytyjski” w jego współczesnym znaczeniu nie używam w odniesieniu do okresu przed utworzeniem w 1707 roku zjednoczonego Królestwa. Wreszcie, na tytuł książki wybrałem najprostsze z możliwych określeń.

Książka została skonstruowana według pewnego konsekwentnie wprowadzanego schematu. Każdy rozdział składa się z trzech części. Część pierwsza jest za każdym razem czymś w rodzaju „migawki”: omawia szczegółowo jakiś krótki epizod, który pozwala wbudować ogólny temat danego rozdziału w jego szerszy kontekst. Część środkową poświęcam albo skrótowemu omówieniu danego okresu, albo też – w rozdziałach od siódmego do dziesiątego – streszczeniom kilku istotnych dla niego tematów. Partie zamykające poszczególne rozdziały – czasem krótsze, a czasem dłuższe – mają na celu skrótowe ukazanie, jakie znalazł odbicie w historiografii i literaturze epok późniejszych. Żaden tak skrótowy przegląd oczywiście nie może być wyczerpujący. Można jednak mieć nadzieję, że okaże się wystarczająco obszerny, aby ukazać prawdę o historii tych wysp, która nie była gładką i jednolitą drogą linearnego postępu. Była to raczej historia pełna kalejdoskopowych przemian i powtarzających się burzliwych transformacji.

Nie umiem powiedzieć, co właściwie zainspirowało mnie do podjęcia tej pracy. Spędziłem kilkadziesiąt lat na pisaniu o obcych krajach, miałem więc ochotę

raz wypłynąć w podróż wokół ojczystych brzegów. Chciałem to jednak zrobić w sposób szczególny. Chciałem wrócić na ścieżkę, którą w tak pięknym stylu podążał Trevelyan, dowodząc, iż historia jest nie tylko nauką, ale i sztuką. Trevelyan rozumiał, że historia jest po to, aby budzić entuzjazm milionów, a nie tylko po to, aby dostarczać zajęcia uczonym. Przy jakiejś okazji powiedział o sobie, iż „jest literatem przebranym za uniwersyteckiego dona”³⁴. Uważam go za wzór godny naśladowania.

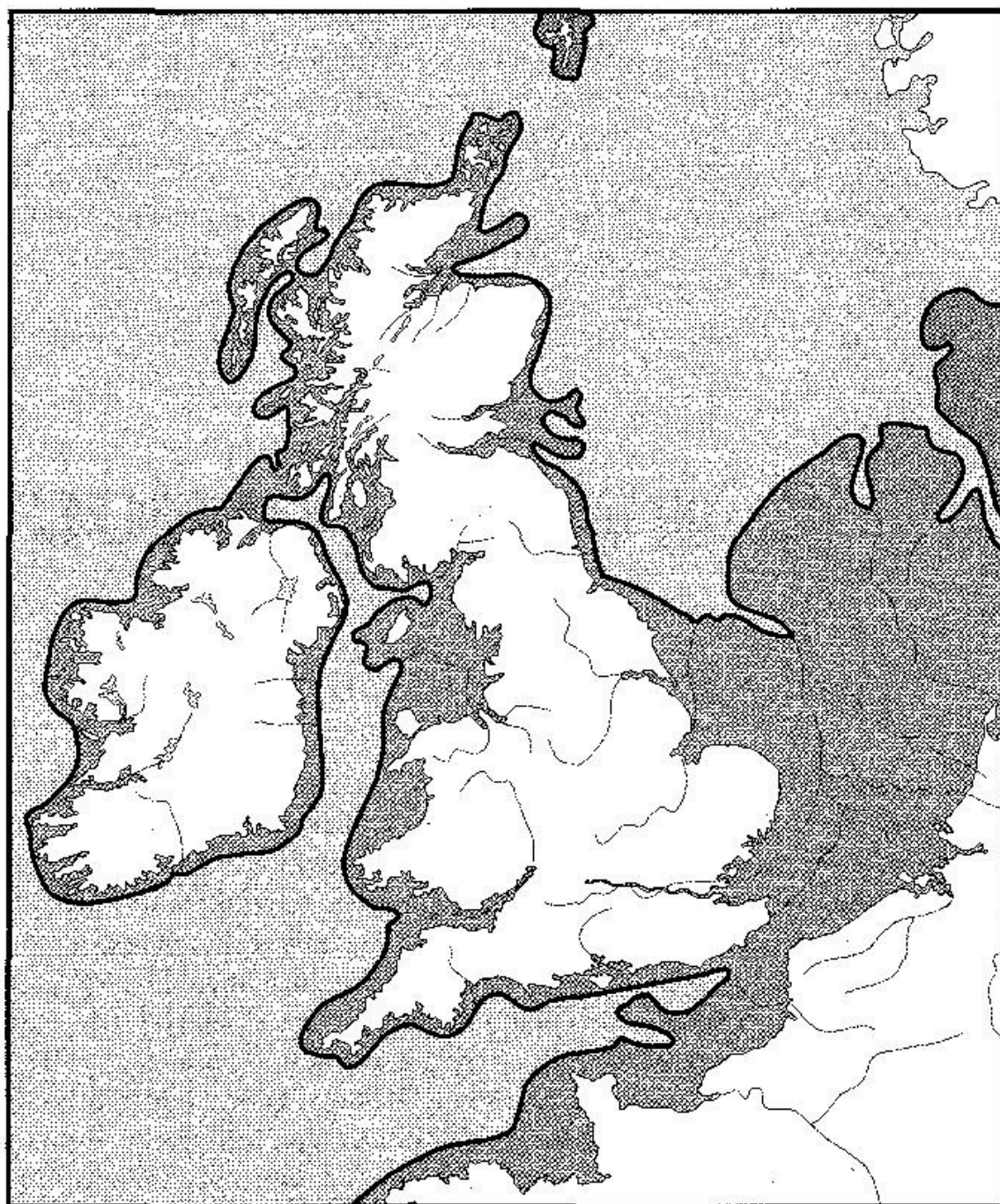
Adelajda, Australia Południowa, marzec 1999

³⁴ Cannadine, *op. cit.*, s. 213.

WYSPY PÓŁNOCY

CZŁOWIEK Z JASKINI NAD WĄWOZEM. Wkrótce po ostatniej epoce lodowcowej, niedaleko od wybrzeża zachodniego morza, w jaskini położonej wysoko w wapiennej ścianie skalnego wąwozu pochowano młodego mężczyznę. Obok ciała znalazł się dziwny podłużny przedmiot zrobiony z rogu jelenia – opisywano go różnie: może było to coś w rodzaju berła, a może przyrząd służący do naciągania cięciwy łuku. Wokół płytkiego grobu, wydrążonego w dnie jaskini, zachowały się tysiące krzemieni – tych wiecznotrwałych pozostałości epoki kamiennej – kawałków broni, noży, skrobaczek, ryłców. Obok nich leżały stosiki kości ptaków i zwierząt, które składały się na dietę jaskiniowców – dzikiego konia, renifera i jelenia, zająca bielaka, niedźwiedzia brunatnego, lisa polarnego, kuropatwy, prosięcia, pardwy, wędrownego sokoła – oraz jedna samotna, i o wiele od tamtych starsza, kość mamuta. Jaskinia i jej zawartość trwały w nienaruszonym stanie aż do czasu, gdy je współcześnie odkryto.

Jaskinie były dla ludzi z okresu prehistorycznego jednym z ulubionych miejsc schronienia. Dostarczały osłony we wszystkich porach roku, panowała w nich stała temperatura i można się było w ich wnętrzu ukryć przed zwierzętami. W odróżnieniu od sąsiedniej pieczary, która kiedyś służyła za schronienie hienom i którą w jeszcze bardziej zamierzchłych epokach zamieszkiwały istoty człekokształtne, w „Jaskini nad Wąwozem” mieszkańcy pojawili się dopiero wtedy, gdy stopniały ostatnie lody. Chłodne, ale nigdy nie mroźne powietrze w jej wnętrzu stwarzało idealne warunki do formowania się stalaktytów, a także – w czasach nowożytnych – do fermentacji serów. Jakies siedem czy osiem tysięcy lat po pogrzebie młodzieńca pojawili się Anglowie i Sasi i założyli w pobliżu wioskę, którą na-



Mapa 1. Prehistoryczny cypel kontynentalnej masy lądu

zwali „Ceodor”, co w ich języku oznaczało „wąwóz” lub „jar”. Kiedy pięćset lat po Anglach i Sasach przyszli Normanowie, nazwali wąwóz *gorge*, co w ich języku znaczyło „gardło” albo „wąska dolina”.

O człowieku pochowanym w „Jaskini nad Wąwozem” wiadomo bardzo niewiele. Chociaż żył i umarł w kraju, który o wiele później miano nazwać Anglią, z całą pewnością nie był Anglikiem. Nie wiemy, do jakiego należał plemienia czy ludu. Nie wiemy, jakiego języka – czy języków – używał; nie wiemy też, czy język jego ludu był zrozumiały dla innych mieszkańców okolicy. Nie wiemy, co myślał o swoim świecie, ani czy miał jakiegokolwiek pojęcie o czasach, w jakich przyszło mu żyć. Możemy się domyślać, że był myśliwym, albo przynajmniej że utrzymywali go myśliwi i zbieracze należący do jego plemienia. Możemy też zakładać – skoro mięso zwierząt i płody leśne stanowiły podstawę jego biologicznej egzystencji – iż przywykł do bezustannych wędrówek. Chodził w ślad za stadami przez wzgórza i doliny w chłodnym, suchym „północnym” klimacie owej pierwszej polodowcowej epoki. Ponieważ jego jaskinia była oddalona zaledwie o dzień marszu od brzegu morza, zapewne często wspinał się na szczyt skalnej ściany wąwozu, a potem trawiastym szlakiem szedł sobie granią ku plaży. Nawet jeśli morze zaczynało się dalej niż dziś, i tak można z dużą dozą prawdopodobieństwa założyć, że pływał wzdłuż brzegu w swojej dłubance, że przedostał się na drugą stronę, na północny brzeg pobliskiego ujścia rzecznego, a może nawet że podjął bardziej ambitną wyprawę: przepłynął długą „Zatokę Śródlądową” i dotarł dalej, niż zachodzi słońce.

Przez 90 lat od odnalezienia grobu w Gough's Cave w Cheddar Gorge w 1903 roku szkielet „Człowieka z Cheddar” przechowywano w londyńskim Muzeum Przyrodniczym. W roku 1996 przeprowadzono niezwykle eksperyment. Szkielet został przewieziony do Instytutu Medycyny Molekularnej w Oksfordzie, gdzie zbadano jego DNA. Próbkę DNA, pobrane z mitochondriów, porównano z analogicznym materiałem pochodzącym od kilkunastu ochotników z okolicy, w której leży dzisiejszy Cheddar. Jak doniósł londyński „The Times”, „ku zdziwieniu naukowców, odkryto bliskie podobieństwo genetyczne między »Człowiekiem z Cheddar« a panem Adrianem Targettem, czterdziestodwuletnim nauczycielem historii ze szkoły społecznej imienia Władców Wessexu w miejscowości Cheddar. Eksperyment dowiódł ponad wszelką wątpliwość, że człowiek z Wielkiej Brytanii końca XX wieku jest bezpośrednim potomkiem w linii żeńskiej człowieka, który żył w tym samym miejscu w epoce mezolitu”¹.

Przypadek Adriana Targetta niesie ze sobą bardzo rozległe implikacje. Jeżeli wynik badań nie jest ani błędem, ani przypadkiem mogącym się zdarzyć raz na miliard, to z tego doświadczenia wynika, że znaczny procent ludności dzisiej-

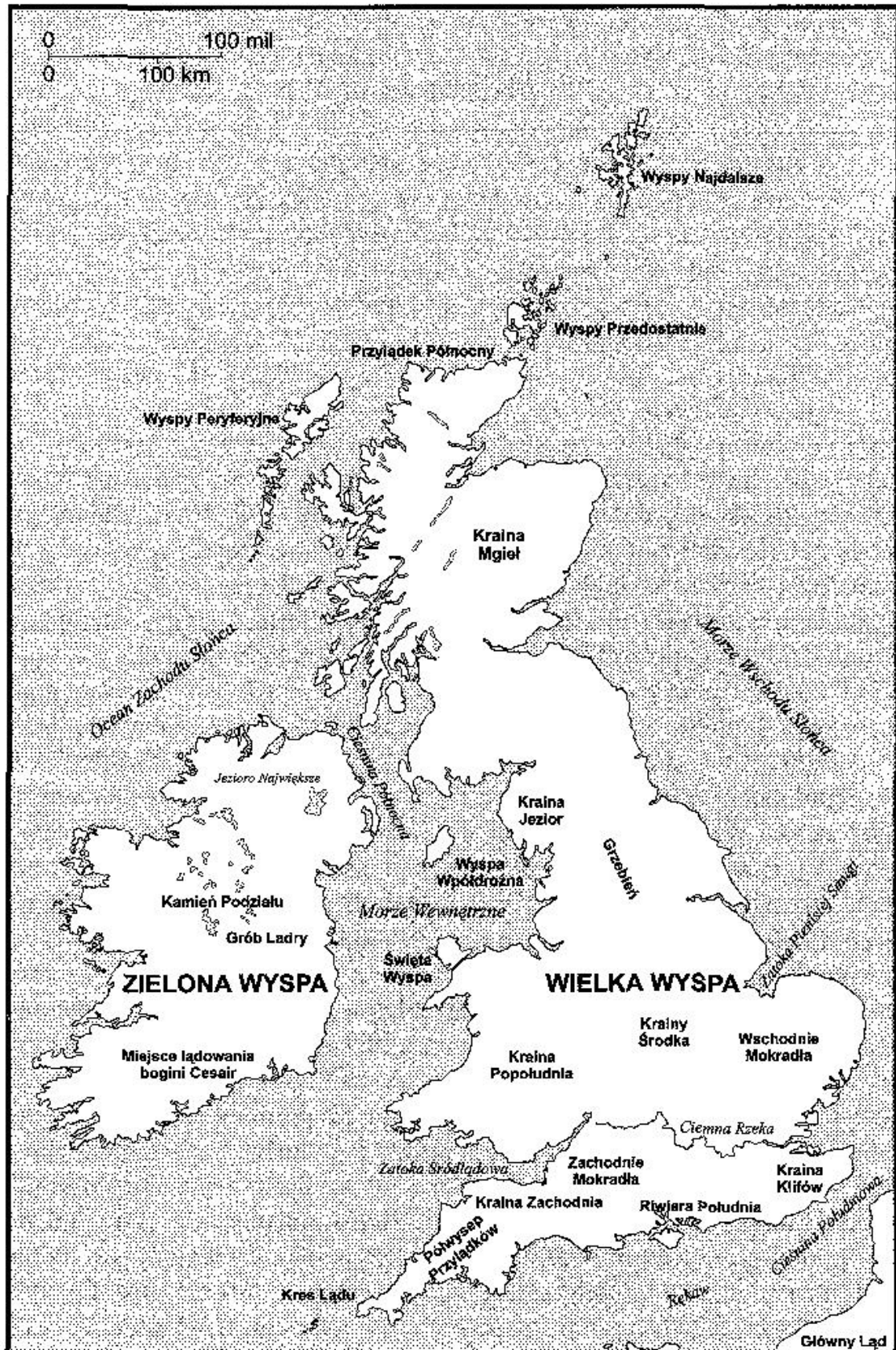
¹ N. Hawkes, *History Teacher Bones Up on an Ancestor* („Kość z kości nauczyciela historii”), „The Times”, 8 marca 1997. Na temat „Człowieka z Cheddar” por. T. C. Darvill, *Prehistoric Britain from the Air*, Cambridge 1996, s. 23–25; L. B. Thornycroft, *The Story of Cheddar*, Taunton 1949.

szej Brytanii stanowi element składowy lokalnych wspólnot plemiennych, które istnieją nieprzerwanie od jakichś trzystu czy czterystu pokoleń. To zaś znaczyłoby, iż każde z tych pokoleń przystosowywało się do każdej kolejnej fali przemian kulturowych, językowych i politycznych, jakie zachodziły w ciągu tysiącleci. Ugruntowany pogląd, że „wyspiarska rasa” Wielkiej Brytanii stanowi sumę wielu potężnych inwazji – od mezolitycznych krewnych „Człowieka z Cheddar”, którzy ponownie zaludnili Wyspy po zakończeniu epoki lodowcowej, po Celtów, Rzymian, Sasów, Wikingów, Normanów i Andegawenów z epok historycznych, którzy niemal całkowicie wyparli swoich prehistorycznych poprzedników – już od lat jest przedmiotem ataków. Teraz jednak po prostu nie da się go dłużej utrzymać. Prehistoryczny bank genów z wszelką pewnością uzupełniali i modyfikowali późniejsi przybysze. Ale to nie znaczy, że tego banku już nie ma.

Są też dalsze istotne względy. Brytyjczyków uczy się w sposób, który każe im bezmyślnie przyjmować stwierdzenie, że „Człowiek z Cheddar» żył na wyspie prehistorycznej Brytanii”. Ale jeśli się zastanowić, każde słowo w tym zdaniu okazuje się nieściste. Po pierwsze, kiedy przodka pana Targetta chowano w „Jaskini nad Wąwozem”, wąwóz nie nazywał się jeszcze „Cheddar Gorge”. Wobec tego bez względu na to, kim był „Człowiek z Jaskini nad Wąwozem”, z pewnością nie mógł on być „Człowiekiem z Cheddar”. Co więcej, ani on sam, ani jego krewni żadną miarą nie mogli wiedzieć, że są „prehistoryczni”. W dodatku ich ojczyzna dopiero za wiele tysiącleci miała się stać Anglią lub Wielką Brytanią. Najbardziej zadziwiające jest jednak to – ponieważ dziewięć tysięcy lat stanowi z perspektywy całości prehistorii zaledwie krótki moment – że kraj Brytyjczyków nie był jeszcze wyspą. Najnowsze izotopowe datowanie czasu śmierci „Człowieka z Jaskini nad Wąwozem” wskazuje na 8980 ± 150 lat. Wynik ten, przełożony na lata kalendarzowe, każe umieścić ową datę w ósmym tysiącleciu p.n.e., czyli zdecydowanie wcześniej w stosunku do czasu, który geologowie ustalili jako okres powstania wysp u wybrzeży Europy (por. s. 45). Nawet gdyby „Człowiek z Jaskini nad Wąwozem” urodził się dokładnie w tym samym miejscu, w którym zmarł, nie ma najmniejszej wątpliwości co do tego, że był on mieszkańcem kontynentu.

HISTORIA GATUNKU LUDZKIEGO żyjącego na półwyspie, który dziś nazywamy „Europa”, liczy sobie jakieś siedemset czy osiemset tysięcy lat. Przez ponad 99 procent tego niezwykle długiego okresu człowiek egzystował w epoce kamiennej, posługując się narzędziami z kamienia łupanego lub z krzemienia, narzędziami, które udoskonalano bardzo powoli. Utrzymywał się przy życiu, polując, zastawiając paści i sidła, łowiąc ryby oraz zbierając dziko rosnące rośliny i morskie skorupiaki. Wprawdzie w wygodnych jaskiniach i na nadających się do zamieszkania terenach żyli ludzie, ale stopień stałego osadnictwa był niewielki – ludzkie gromady ciągnęły za stadami zwierząt, przechodząc z pastwiska na pastwisko, z jednej pory roku w drugą. Gdyby przemijanie czasu w prehistorii na półwyspie liczyć w skali 1:100, to pojawienie się człowieka epoki nowożytniej, *Homo sapiens sapiens*, przypadłoby gdzieś w okolicy punktu 94; ostateczne ustąpienie północnej pokrywy lodowcowej i początek mezolitu – w jakimś miejscu powyżej punktu 98; wczesne początki tak zwanej rewolucji neolitycznej – w okolicy punktu 99. Aż do czasu, któremu na tej skali odpowiadałby punkt 100, u północno-zachodniego wybrzeża półwyspu nie istniały żadne większe wyspy.

Przez większość okresu prehistorycznego obszary, które dziś nazywamy Wyspami Brytyjskimi lub Wielką Brytanią i Irlandią, tworzyły rozległy cypel kontynentalnej masy lądu – oceaniczny półwysep półwyspu (por. Mapa 1, s. 40). Składał się on z dwóch części: rozciągającego się z północy na południe korpusu oraz długiego ramienia sterczącego od zachodu. W epoce lodowcowej jego nieliczni mieszkańcy przychodzili i odchodzili, raz zachęceni cieplejszym klimatem w okresach międzylodowcowych, kiedy indziej – zniechęceni lodowymi pustyniami i podarktycznym zimmem, które niósł ze sobą nasuwający się lodowiec. W szczytowym okresie ostatniej epoki lodowcowej ludzi już nie było. Pojawili się ponownie około 10 000 lat p.n.e., po przerwie wynoszącej jakieś siedem czy osiem tysięcy lat. Odtąd byli tu zawsze, aż do dziś. W czasach „Człowieka z Jaskini nad Wąwozem” południowe doliny były już coraz gęściej porośnięte polodowcowymi lasami; mieszkańcy coraz liczniej osiedlali się na wybrzeżu lub przenosili się na przybrzeżne wyspy, na odleglejsze wyżyny czy w okolice wysunięte najdalej na



Mapa 2. Wyspy Północy

północ, gdzie w odpowiednim czasie miały się pojawić typowe dla tych terenów osady złożone z chat ustawionych w okrąg.

Przemiana wcinającego się w ocean półwyspu w grupę leżących u wybrzeży głównego łądu wysp nastąpiła w siódmym lub szóstym tysiącleciu p.n.e. Najprawdopodobniej następowała stopniowo, a nie była wynikiem jakiejś dramatycznej geologicznej katastrofy czy nagłego wtargnięcia wód oceanu w głąb łądu. Po części spowodowało ją przechylenie się płaszczyzn łądu, które zdestabilizował cofający się lodowiec, a po części podnoszący się poziom wody w cieplejszych teraz morzach. Gdy przybrzeżny łańcuch gór zaczął się stopniowo pogrążyć w wodzie, szczyty zostawały na powierzchni w postaci sznura wysepek otoczonych wodami. Góry w północnej części wybrzuszyły się. Sterczące na zachodzie ramię oderwało się, tworząc dwie odrębne wyspy – „Zieloną” i „Wielką”. Wody oceanu wdarły się w długą „Zatokę Śródlądową” nie tylko od południa, ale także przez nowo powstałe burzliwe cieśniny na północy, przemieniając górną część zatoki w „Morze Wewnętrzne”. Następnie, na wschodzie, równiny przybrzeżne kontynentu zaczęły się cofać na południe przed napierającą płytką słoną wodą. W ten sposób „Morze Wschodu Słońca” znacznie się powiększyło. Jednocześnie pas łądu łączący półwysep z kontynentem skurczył się do wąskiego nizinnego międzymorza południowego – pasa łądu szerokości niecałych 150 kilometrów – biegnącego między dwoma pasmami wapiennych wzgórz. W końcu, w miarę dalszego podnoszenia się poziomu wód, sam przesmyk także się kurczył. Najpierw zamienił się w słone bagno, a następnie zaczął się pogrążyć w morzu. Potem prądy z zachodu sprzymierzyły się z prądami wschodnimi i wspólnie z nimi zmyły do morza kawały wapienia, żwir i piasek. Gdzieś między 6000 a 5500 r. p.n.e. przesmyk ostatecznie zniknął. Powstał „Rękaw”, z przewężeniem w postaci niewielkiego półwyspu na wysokości „Cieśniny Południowej”².

Konsekwencje powstania „Rękawa” przedstawia się często w sposób zniekształcony lub przesadzony. Powiada się, że nowo utworzone wyspy zostały „oddzielone” albo „odcięte” od kontynentu. Ale taką opinię trudno uznać za słuszną. W kategoriach ściśle geograficznych wyspy rzeczywiście zostały „odizolowane”; łacińskie *insulatus* („przemieniony w wyspę”) nie bez powodu dało początek zarówno angielskiemu rzeczownikowi *isle* („wyspa”), jak i przymiotnikowi *isolated* („oddzielony”, „odizolowany”). Tam, gdzie uprzednio biegł pas łądu, teraz rozciągała się woda. Był to z pewnością poważny cios dla wędrownych stad zwierząt, które nie mogły już przechodzić przesmykiem. Żywego inwentarza wysp – zwłaszcza jeśli chodzi o duże zwierzęta – nie mogli już zasilać przybysze z kontynentu. Jeleń olbrzymi, na przykład, wyginał na Wyspach, tak jak wcześniej ma-

² T. C. Darvill, *Prehistoric Britain*, Londyn 1987, s. 43, ustala tę datę na 6000 r. p.n.e. Por. też R. J. O. Hamblin, *The Geology of the English Channel*, Londyn 1992; J. A. Williamson, *The English Channel: A History*, Londyn 1959; J. A. Steers, *Introduction to Coastline Development*, Londyn 1971.

mut. Człowiek natomiast potrafił się łatwo przystosować do zmieniających się warunków. Co więcej, umiał je z pożytkiem wykorzystywać. Wszystko wskazuje na to, że łączność i komunikacja wyraźnie się poprawiły. Nawet prymitywnymi łodziami, jakie człowiek miał wtedy do dyspozycji, można się było przedostać – używając wiosł lub żagla – z jednej strony „Rękawa” na drugą szybciej niż niegdyś pieszo, wędrując wzdłuż przesmyku czy – w okresie przejściowym – brodząc przez bagna. Powstanie „Rękawa” z pewnością stało się bodźcem do rozwijania technik nawigacyjnych oraz wszelkiego rodzaju transportu wodnego. W okresie kształtowania się Wysp wyspiarze nabyli żeglarskich umiejętności. Wyspy wcale nie zostały „odizolowane”. Po prostu bardziej uzależniono się od łodzi.

Odkrywanie i wykorzystywanie szlaków morskich na zachodzie zaczęło się prawdopodobnie bezpośrednio po ich powstaniu. Nie wiemy zbyt wiele ani o łodziach, ani o technikach nawigacyjnych żeglarzy z epoki mezolitu. Natomiast znaleziska archeologiczne niewątpliwie świadczą o tym, że wzdłuż wszystkich kanałów wodnych i pomiędzy wszystkimi wyspami przewożono zarówno ludzi, jak i towary. Odległości nie były w końcu aż tak duże, aby utrudniały podejmowane przy dobrej pogodzie podróże łódkom ze skór rozpiętych na drewnianych ramach, kajakom, dłubankom, a nawet tratwom. Nawet „Wielka Przeprowa” – między „Głównym Lądem” a „Wielką Wyspą” – w najdogodniejszym miejscu „Rękawa” nie miała więcej niż 90 kilometrów. Całą drogę można było przebyć w ciągu jednego dnia, a najwyżej doby. Szlak łączący dwie największe wyspy miał w najszerszym miejscu niewiele ponad 70 kilometrów, a w najwęższym – niecałe 20. Atrakcyjna była zwłaszcza nawigacja po „Morzu Wewnętrznym”, którą znacznie ułatwiała możliwość zatrzymania się na postój na „Wyspie Wpółdrożnej”. Nie ma zatem powodu, aby się zgadzać z klasyczną opinią reprezentowaną dawniej przez naukę, jakoby sztuka żeglowania i nawigacji musiała się narodzić w basenie Morza Śródziemnego. Co więcej, nieśmiałe zaczątki z epoki mezolitu mogły się przecież bardzo rozwinąć w epokach późniejszych – zwłaszcza w czwartym tysiącleciu, kiedy znów podniósł się poziom wód³.

Wobec tego osadnictwo coraz bardziej skupiało się na terenach nadmorskich oraz w pobliżu morskich szlaków handlowych. Wokół wybrzeży „Morza Wewnętrznego” powstało zachodnie skupisko społeczności mezolitycznych. Było ono bezpośrednio związane z leżącymi od strony oceanu półwyspami „Głównego Lądu”, stanowiąc integralną część tego regionu kulturowego. Kulturze materialnej owych zachodnich szlaków archeolodzy nadali współczesną nazwę „kultura tardenoaska”. Grupa wschodnia natomiast powstała i rozwinęła się na wszystkich brzegach „Morza Wschodu Słońca”, na terenach łączących wschodnie wybrzeża „Wielkiej Wyspy” z północnymi i północno-wschodnimi wybrzeżami „Głównego Lądu”. Między tymi dwoma obszarami rozciągały się rzadko zaludnione tereny położone w głę-

³ E. G. Bowen, *Britain and the Western Seaways*, Londyn 1972.

bi wyspy – nizinne w partii środkowej, górzyste na północy – pozostające niejako na marginesie życia.

Osiem tysięcy lat temu to zbyt dawno, aby znawcy prehistorii mogli wiedzieć cokolwiek o językach czy nazwach miejscowych półwyspu. Alfabetów jeszcze nie wynaleziono. Nie zapisano żadnych słów i nie zarejestrowano żadnych głósów. Nic więc dziwnego, że naukowcy nabrali zwyczaju nadawania najstarszym miejscom najnowszych nazw. Dla pewnych celów proceder taki może się okazać konieczny. Wbudowuje on jednakże prehistorię w kontekst fałszywy, z gruntu anachroniczny, a często także nacjonalistyczny. Przy odrobinie historycznej wyobraźni można by zrekonstruować niejedno bardziej realistyczne rozwiązanie zagadki. Nieco mitologiczne zabarwienie nazw wymyślonych jest niewielką ceną, którą warto zapłacić, aby się ustrzec kardynalnego grzechu anachronizmu.

Na przykład założenie, że ludzie żyjący w czasach prehistorycznych nadawali nazwy wyrazistym elementom krajobrazu zgodnie z tym, co rzeczywiście widzieli, nie wydaje się nierozsądne; wiele opisowych nazw, przełożonych na późniejsze języki, mogło przetrwać do czasów historycznych. Nie jest zatem zwykłą grą wyobraźni wizja kolejnych pokoleń myśliwych – w owych odległych czasach, gdy powstawał „Rękaw” – którzy rozbijają obozy na szczycie wysokiego klifu, wznoszącego się u południowych wybrzeży „Cieśniny Południowej”. Zjawiali się tam, aby odetchnąć bardziej rześkim powietrzem; być może, aby nadać innym jakieś sygnały, a przede wszystkim, żeby móc lepiej zobaczyć stada wędrujące wzdłuż kurczącego się pasemka łądu w dole. W miarę upływu czasu mogli się też przyglądać, z coraz większym zdziwieniem, jak zwierzęta zaczynają grzęznąć w bagnie, a w końcu rezygnują z przeprawy. Stojąc na szczycie urwiska i czując na plecach ciepło południowego słońca, a potem – w późniejszych czasach – wiosłując po wodach „Rękawa”, mogli byli widzieć wspaniały falujący zarys białych klifów, połyskujących przed nimi w słonecznym blasku. W odpowiednim czasie z pewnością wypływali ku wybrzeżom nowo powstałej wyspy, a posuwając się wzdłuż brzegu mogli byli oglądać najwspanialszą ze wszystkich grupę klifowych skał. I mogli byli je nazwać „Osiem Sióstr”. (Można tylko próbować zgadnąć, w jaki sposób z „Ośmiu” zrobiło się „Siedem”)⁴. Któregoś dnia, w drodze powrotnej, mogli byli oglądać wydłużający się cień północnej ściany ich własnego klifu i nadać mu nazwę, która – przetłumaczona na angielski – brzmiałaby *Grey Nose Head* („Głowa z Szarym Nosem”). Takie nazwy wymyślali raczej żeglarze płynący po morzu niż ludzie stojący na brzegu. Ciągnąc tę myśl dalej, można by powiedzieć, że byłoby rzeczą całkiem oczywistą nadać całemu obszarowi rozciągającemu się za kredowymi klifami nazwę „Kraina Klifów”⁵.

⁴ Dzisiejsza nazwa: Seven Sisters (przyp. tłum.).

⁵ Czyli „Albion”. Nazwa pochodzi od celtyckiego *alp* (szczyt, wzniesienie). Jest to etymologia pokrewna szerzej znanym źródłosłowom nazw „Alpy” i „Apeniny”. Rzymianie nazwę tę błędnie wyprowadzili od łacińskiego *albus* (biały), co równie dobrze pasowało do obrazu klifów. Entuzjazm znawców antyku utrwalił błąd Rzymian w powszechnej świadomości.

Żeglarze starożytności ustalali kierunek nawigacji według Słońca i gwiazd. „Wschód” określał kierunek wschodu słońca, co do dziś zachowało się w większości języków. „Zachód” był kierunkiem, gdzie słońce zachodzi, „Południe” to środek dnia, „Północ” – środek nocy. Na przykład po łacinie: *oriens* – „wschodzące słońce, wschód”; *occidens* – „wieczór, zachód”; *meridies* – „środek dnia; południe”; *septemtrio* – „północ” i *septemtriones* – „gwiazdozbiór Wielkiej Niedźwiedzicy”. Podobnie po polsku: „wschód”, „zachód”, „południe” i „północ” to „wschód słońca”, „zachód słońca”, „środek dnia” i „środek nocy”. Co więcej, jak uczą antropolodzy, ludy niepiśmienne często orientują się w terenie, stając twarzą w stronę wschodu słońca. W tej pozycji wschód mają „przed sobą”, zachód „za sobą”, północ „na lewo” i południe – „na prawo”. Po prostu nie wiemy, jak w czasach prehistorycznych nazywały się wyspy leżące u północnych wybrzeży półwyspu; przypuszczenie, że nazywały się, na przykład, „Wyspy Leżące na Lewo” lub też – bardziej poetycko – „Wyspy Północy”, nie jest jednak całkowicie nieuzasadnione.

Narodziny rolnictwa opartego na uprawie ziemi i hodowli w wyniku tak zwanej rewolucji neolitycznej spowodowały w życiu człowieka przełom większy niż jakakolwiek inna zmiana w całych dziejach ludzkości. Dzięki tej rewolucji powstały społeczności stałych osadników, które można uznać za jądro cywilizacji w naszym współczesnym rozumieniu. Gospodarka opierała się na coraz intensywniejszej uprawie płodów rolnych i hodowli udomowionych zwierząt; produkty roślinne i zwierzęce zapowiadały urozmaiconą dietę, potencjalne nadwyżki w latach urodzaju oraz wzrost możliwości regularnego handlu i wymiany. W strukturze społecznej zarysował się wyraźny podział na producentów żywności, którzy inwestowali w swoje prymitywne rolnictwo ogromne nakłady pracy fizycznej, oraz wyspecjalizowane kasty rzemieślników, kupców, górników, zarządców i żołnierzy, których utrzymanie zapewniały nadwyżki w produkcji żywności. Polityka przyznawała prymat panowaniu nad ziemią oraz zapewnieniu osadom ochrony, a w rezultacie – powstawaniu organizacji terytorialnych; innymi słowy, sprzyjała rodzącym się państwom. Parametry geograficzne wpływały na przekształcanie się krajobrazu, który odtąd zaczęto dzielić na dobrze znane sektory: wiejskie obszary uprawne, tereny miejskie oraz resztę, czyli dziewicze pustkowia. W dziedzinie ideologii religijnej nastąpiło osłabienie kultu Wielkiej Matki Ziemi, w którym główny nacisk padał na narodziny i reprodukcję maleńkiego kruchego gatunku żywych istot; punkt nacisku przesunął się w stronę troski o urodzajność pól – sprawą najważniejszą były teraz słońce i deszcz oraz zmieniające się pory roku, a absolutny priorytet zdobyli bogowie rzek i pól. Kasta kapłańska zaczęła się zajmować astronomią, geodezją i klimatologią. Matriarchat ustąpił miejsca patriarchatowi⁶.

⁶ Por. Darvill, *op. cit.*: rozdz. III, *Harvest for the Year: early agriculturalists 3500-2500* („Zbiory roku: początki rolnictwa 3500-2500”); także R. Bradley, J. Gardiner (red.), *Neolithic Studies: A Review of some Current Research*, Oksford 1984; J. Thomas, *Rethinking the Neolithic*, Cambridge 1991.

Swego czasu znawcy prehistorii byli skłonni zakładać, że ludzkość epoki mezolitu z pewnością ochoczo powitała „rewolucję neolityczną” jako krok na drodze postępu. Dziś nie są już tego aż tak pewni. Okrzeple i zahartowane społeczności myśliwych-zbieraczy wcale nie musiały być ani zainteresowane tą zmianą, ani też skłonne do poddania się nieznanym i wymagającym wysiłku rygorom życia na roli; zapewne nie palili się również do podejmowania wstępnej harówki – trudu karczowania drzew, usuwania kamieni i kopania rowów. Domysły są tu warte tyle samo co hipotezy. Jednak równie dobrze innowatorzy epoki neolitu mogli wygrać dzięki swojej jedynej niekwestionowanej przewadze: zwartej sile militarnej, która pozwalała zdobyć i utrzymać ziemię.

„Rewolucja neolityczna” była jednak ruchem długotrwałym i o międzykontynentalnym zasięgu. Jej początki – wielkie cywilizacje dorzecza Nilu na Bliskim Wschodzie z ok. 8000 r. p.n.e. – poprzedzały nadejście ery mezolitycznej. Faza końcowa natomiast w najdalszych zakątkach Półwyspu Europejskiego przypadła na okres ok. 2000 r. p.n.e., zbiegając się z początkiem cywilizacji minojskiej na Krecie. Nie ma zgody co do sposobów jej ekspansji. Według jednej z teorii, grupy prymitywnych rolników z neolitu nieubłaganie parły naprzód przez półwysep, kierowane nienasyconym głodem nadającej się pod uprawę ziemi. Jeśli tak rzeczywiście było, to nowi przybysze po prostu wypierali myśliwych-zbieraczy, zabijając lub przepędzając tych, którzy nie chcieli się do nich przyłączyć. Obraz ten przypomina późniejsze działania konkwistadorów w Meksyku czy amerykańskich pionierów na szlaku do Oregonu. Natomiast los myśliwych-zbieraczy musiał być podobny do losów rodzimych mieszkańców Ameryki czy australijskich aborygenów. Nowsza i modniejsza obecnie teoria głosi, że neolityczni farmerzy niekoniecznie musieli sami wędrować z miejsca na miejsce: przemieszczać się mogły tylko stosowane przez nich metody uprawy i hodowli. Jeśli tak rzeczywiście było, to ludność kolejnych rejonów półwyspu nie przemieszczała się, lecz tylko stopniowo nawracała się na nowy styl życia w wyniku procesu asymilacji kulturowej. Mezolityczni myśliwi-zbieracze byliby więc nie tyle ofiarami neolitycznych rewolucjonistów, ile ich przodkami. Teoria trzecia – najbardziej prawdopodobna – głosi, że „rewolucja neolityczna” rozszerzyła się w wyniku zarówno migracji, jak i asymilacji kulturowej. Problem polega na ustaleniu proporcji między tymi dwoma procesami. Przeprowadzane ostatnio badania DNA ludności Europy dostarczają mocnych argumentów na poparcie tezy o asymilacji kulturowej. Pewna grupa badaczy doszła do przekonania, iż „podstawowe zachowane powiązania genetyczne na obszarze całej Europy datują się z czasów sprzed ekspansji neolitycznej (...), a ekspansja rolnictwa była w znacznej mierze zjawiskiem o charakterze miejscowym”⁷.

Neolityczne rolnictwo dotarło do „Wysp Północy” mniej więcej pod koniec piątego lub na początku czwartego tysiąclecia p.n.e. Zdrowy rozsądek podpowia-

⁷ M. Richards, H. Corte-Real i in., *Paleolithic and Neolithic Lineages in the European Mitochondrial Gene Pool* („Paleolityczne i neolityczne pokrewieństwa w mitochondrialnym banku genów”), „American Journal of Human Genetics” 1996, t. 59, s. 185–203.

da, że pierwszy worek ziarna siewnego i pierwsze sztuki bydła domowego musiały dotrzeć do północnych wybrzeży „Rękawa” na pokładzie łodzi. Nie wiadomo natomiast, czy przywiozła je grupa wędrowców – przybyszy z kontynentu czy też zostały sprowadzone przez jakiegoś przedsiębiorczego wyspiarza zajmującego się lukratywnym importem. Tak czy inaczej, rolnikom świetnie się wiodło na Wyspach. Do sprzyjających warunków zaliczyć można z pewnością wielkie połacie niezaludnionej ziemi, bogactwo uprawnych gleb oraz pojawienie się łagodniejszego i wilgotniejszego oceanicznego klimatu, który przyniósł ze sobą stymulujące wzrost roślin zmiany pór roku. Stada owiec i bydła mogły się paść na bujniejszych i wyżej położonych pastwiskach. Zbiory pszenicy i jęczmienia, których uprawa była oparta na systemie nawożenia pól przyzagrodowych, lepiej się udawały, nawet na wyżynach i na obszarach wysuniętych najdalej na północ. Stopniowo, nieubłagane styl życia myśliwych-zbieraczy odchodził w zapomnienie.

Okres przejściowy trwał niewątpliwie bardzo długo, a myślistwo i zbieractwo nigdy się definitywnie nie skończyły. Istnieją na przykład dowody, że mieszkańcy położonych centralnie górzystych obszarów już w późnym mezolicie posiadli sztukę wypasu stad udomowionych reniferów. Neolityczna hodowla nie była zatem czymś zupełnie nowym. Na podobnej zasadzie, nawet wtedy gdy zbiory upraw stały się podstawowym źródłem pożywienia, zajmujące się rolnictwem rodziny nie przestały uzupełniać diety starymi sposobami. Ich członkowie nigdy nie przestali polować na jelenie, łowić ryb, chwycić przepiórek czy zbierać jagód i skorupiaków. Miejscowe delikatesy – na przykład przewiany wiatrem morski koper rosnący na nadmorskich bagnach – były w neolicie cenione tak samo wysoko jak dziś⁸.

Poziom techniczny i organizacyjny neolitycznych osad okazał się znacznie wyższy, niż podejrzewano. Najwcześniejszy odkopany dotąd dom mieszkalny na Wyspach stał na czubku wzgórza na zachód od „Jeziora Największego” na „Zielonej Wyspie”. Wiek znalezionych tam naczyń określono metodą izotopową na mniej więcej 3795 r. p.n.e. Sam dom, mierzący 6 metrów 50 centymetrów długości i 5 metrów 80 centymetrów szerokości, miał dwa gliniane paleniska i ściany z ustawionych pionowo dębowych desek. Bardzo przypomina typ siedzib odnajdywanych na centralnych obszarach „Głównego Łądu” i kojarzonych z kulturą ceramiki wstęgowo-kreskowej. W „Krainie Klifów” neolityczna osada, uczepiona „Wichrowego Wzgórza” w pobliżu jednego z wielkich kamiennych kręgów, dała nazwę dawnej kulturze o szerokim zasięgu, która na południu dotrwała do epoki brązu⁹. Można ją porównać z pochodzącą z tego samego okresu osadą wybudowaną na wyspie na jeziorze leżącym we wschodniej części „Zielonej Wyspy”, która też była ośrodkiem

⁸ Por. kapsułka „Koper morski” w dziele Normana Daviesa *Europa. Rozprawa historyka z historią*, tłum. E. Tabakowska, Kraków 1998, s. 111–112, por. też cytowana tam książka J. Renfrew, *Food and Cooking in Prehistoric Britain: History and Recipes*, Londyn 1985.

⁹ Kultura z Widmill Hill – od nazwy miejscowości, w której odnaleziono obronną osadę neolityczną z ok. 2300–2000 p.n.e. (przyp. tłum.).

religijnym i miejscem, gdzie odprawiano religijne rytuały. Tam domy miały ściany z drewnianych słupów oblepionych gliną i stały na kamiennych fundamentach.

Niewątpliwie najlepiej zachowaną osadę neolityczną znaleziono pod przybrzeżnymi wydmiami na jednej z „Wysp Przedostatnich”. Wspólnota pasterzy bydła i zbieraczy skorupiaków z epoki późnego neolitu żyła sobie tam we własnym świecie, który nie znał kultury uprawy ziemi, obróbki metalu ani wojennego rzemiosła. Sześć chat tworzących wioskę łączyły zadaszone przejścia oraz wspólny system odprowadzania ścieków w postaci rowów wyłożonych kamiennymi płytkami. Każdy dom miał przestronny pokój dzienny, a obok jedną lub kilka bocznych izdebek, służących jako składziki lub ustępy. Ponieważ w pobliżu nie było drewna opałowego, w umieszczonym centralnie palenisku palono torfem; całe wyposażenie wewnątrz – łóżka w kształcie skrzyń, ławy, stojaki na naczynia, kredensy – zrobiono z kamiennych płyt, które można było znaleźć na miejscu. Do czasu gdy ok. 1500 r. p.n.e. wioska zniknęła z powierzchni ziemi, zasypała przez burzę piaskową – dzięki czemu przetrwała nietknięta, niczym mini-Pompeje – pozostałe obszary zdążyły już wkroczyć w epokę brązu.

Skutki „rewolucji neolitycznej” sprowadzają się nie tylko do znacznego wzrostu liczby ludności Wysp – być może aż do miliona mieszkańców, żyjących w kilkudziesięciu tysiącach rozproszonych osad. Ważniejsze było to, że Wyspy wyrównały zaległości epok lodowcowych i dołączyły do trendów panujących na kontynencie.

Konsolidacja osadnictwa stała się bodźcem do rozwijania zarówno handlu w ogóle, jak i morskich szlaków handlowych na zachodzie. Na „Morzu Wewnętrznym”, gdzie żeglarze ustalali kierunek w odniesieniu do kręgu wierzchołków ciągnących się wzdłuż górzystych wybrzeży, istniało wiele przecinających się szlaków, które łączyły wszystkie wyspy ze sobą nawzajem oraz z zachodnimi półwyspami kontynentu. Do najstarszych towarów należały na wpół obrobione krzemienie i gotowe kamienne topory. Pierwsze produkowano w dużych ilościach na „Zielonej Wyspie”, w okolicy „Cieśniny Północnej” oraz w różnych miejscach na południowych wybrzeżach „Krainy Klifów”. Drugie, które polerowano i ostrzono z przeznaczeniem na eksport, powstawały w wytwórniach usytuowanych obok odkrywek we wschodniej części „Krainy Jezior”, gdzie wydobywano granit i tuf. Skalę przedsięwzięcia można najlepiej ocenić, oglądając znaną przez archeologów neolityczną kopalnię krzemienia w pobliżu „Zatoki Pienistej Smugi”, gdzie górnicy z epoki neolitu wydrążyli osiemset osobnych szybów, albo jedną z wielu wytwórni toporów w „Krainie Jezior”, gdzie odnaleziono rumowisko około siedemdziesięciu pięciu tysięcy porzuconych głowic.

Z czasem coraz większej wagi zaczął nabierać handel cennymi metalami – miedzią, złotem, cyną i wreszcie żelazem. Pod koniec trzeciego tysiąclecia, kiedy neolit zaczął ustępować epoce brązu, w północno-zachodniej części terenów górskich od dawna już wytapiano i obrabiano miedź, a transport morski przystosowany był do przewozu bardzo ciężkich ładunków. Klasycznym przykładem jest tu

przeprowadzona ok. 1700 r. p.n.e. operacja, podczas której przetransportowano osiemdziesiąt dwa pięćdziesięcotonowe bloki dolerytu na odległość ponad trzystu kilometrów – z dalekich południowo-zachodnich krańców „Krainy Południa” na miejsce, w którym zbudowano „Wielki Kamienny Krąg”. Całe to przedsięwzięcie jest jednocześnie przykładem jeszcze jednej podstawowej cechy tamtej epoki: obsesji megalitów.

Rozwojowi morskich szlaków towarzyszył rozwój traktów lądowych, zwłaszcza na południu „Krainy Klifów”. Ciepłe i wilgotne wiatry wiały od oceanu w głąb lądu; gęste lasy liściaste pokryły zbocza dolin i niziny; pozbawione drzew łańcuchy wapiennych wzgórz sterczały niby wysokopoziomowa strefa wolnego ruchu i gigantycznych konstrukcji. W późnym neolicie na grzbietach południowych wzgórz wybudowano dziesiątki wielkich zagród otoczonych ziemnymi wałami i rowami oraz wyposażonych w źródła lub zbiorniki osadowe. Niewątpliwie służyły one jako schronienie dla miejscowej ludności i jej dobytku na wypadek niebezpieczeństwa, a może także jako targowiska lub miejsca plemiennych spotkań. Często zagrody owe były połączone trawiastymi ścieżkami biegnącymi grzbietami wzgórz. W krótkim czasie powstała gęsta sieć takich ścieżek; zagrody pełniły teraz funkcje „stanie” na trasie, a drogi wily się wzdłuż wszystkich większych działów wodnych krainy wapiennych skał. Główne skrzyżowanie znajdowało się w górnej części „Doliny Ciemnej Rzeki”, w miejscu gdzie usypano największy sztuczny ziemny kopiec na Wyspach. Podróżny mógł całymi dniami wędrować pełnymi stokrotek trawiastymi grzbietami wzgórz i ani razu nie musiał przekraczać strumienia czy rzeczno-brodu. Wyruszywszy z najdalej na północ wysuniętej stancji w centrum wyspy, można było przebyć odległość ponad trzystu kilometrów i dotrzeć do „Riwier Południa”, dzieląc podróż na dwadzieścia lub trzydzieści łatwych etapów. Podobną wędrowkę można było odbyć, idąc z zachodniej stancji na „Riwierze” lub z wysuniętej daleko na wschód stancji w pobliżu „Wybrzeża Wschodu Słońca” i dochodząc aż do „Ośmiu Sióstr” i „Cieśniny Południowej”. Chciałoby się pomyśleć, że niektóre porty na „Riwierze” zapewniały regularne połączenia przez „Wielką Przeprawę” z partnerskimi portami na wybrzeżu „Głównego Lądu” oraz z analogiczną siecią dróg na kontynencie¹⁰.

Wysuwano liczne hipotezy na temat pochodzenia wizerunków wrytych w kredowych skałach w pobliżu wielu takich pradawnych dróg. Potwierdziła się opinia, że niektóre z nich – na przykład słynny Biały Koń w górnej części „Doliny Ciemnej Rzeki” – powstały w czasach prehistorycznych. Datowanie innych – na przykład wyposażonego w fallusa i potężną maczugę Białego Olbrzyma – jest mniej pewne. Większość jest stosunkowo nowa.

Megality – wielkie kamienne bloki – należą do najbardziej imponujących wytworów kultury – czy też cywilizacji – epoki neolitu, która rozwinęła się bujnie we wszystkich zachodnich rejonach półwyspu. Kiedyś sądzono, że poprzednika-

¹⁰ R. H. Cox, *The Green Roads of England*, Londyn 1914.

mi megalitów są gigantyczne świątynie na Malcie i Gozo oraz piramidy egipskie – kolosalne budowle, w których znalazły swój wyraz pojęcia i praktyki religijne. Dziś jednak uważa się, że ich swoistych początków należy raczej szukać w napięciach psychicznych będących skutkiem konfrontacji ludów mezolitu z ludźmi neolitu. Wszystkie te konstrukcje pełniły jakąś funkcję – w połączeniu z pozycjami i wzajemnymi układami Słońca, Księżyca i gwiazd. Mimo różnych spekulacji oraz aury tajemnicy, jaka je otacza, wszystkie też dowodzą wyraźnie, że światopogląd ich budowniczych kazał łączyć losy ludzi ze zmieniającym się obliczem nieba i z cyklem pór roku. Megality można znaleźć na całej linii biegnącej wzdłuż zachodnich szlaków morskich – od leżących na północnych krańcach „Wysp Północy” po wysunięte najdalej na południe punkty u wybrzeży „Głównego Łądu” i „Bram Oceanu”. Konstruktorzy budowli z megalitów podejmowali trud gigantycznej pracy w czwartym tysiącleciu p.n.e. – w czasie gdy kultury „Głównego Łądu” znały już technikę obróbki metalu, a rejon Morza Egejskiego wkroczył w epokę brązu.

Megality dzieli się zazwyczaj na cztery grupy. Są to: podziemne komory pochówkowe i tzw. grobowce korytarzowe, kromlechy, grupy menhirów oraz dolmeny. Każdy typ budowli pełnił odmienne funkcje. Zdarza się jednak często, że w jednym miejscu występują przykłady kilku form budowli megalitycznych, reprezentujących poszczególne etapy rozwoju kultury.

Komory pochówkowe z korytarzami przypominają pod wieloma względami długie kurhany ziemne, które w poprzedniej epoce były powszechnie stosowaną formą zbiorowych mogił i które na pewnych obszarach nie wyszły z użycia. W wersji megalitycznej były to długie korytarze, ze ścianami i dachem z potężnych kamiennych płyt, prowadzące do centralnie usytuowanej komory grzebalnej. Gotową budowlę przykrywano owalnym kopcem. Niektóre z najlepiej zachowanych budowli, wzniesionych w „Dolinie Królów” na „Zielonej Wyspie” pod koniec czwartego tysiąclecia, miały ponad sto metrów długości. Budowa tak gigantycznych konstrukcji musiała wymagać dziesiątków tysięcy godzin ciężkiej pracy fizycznej.

Podobnie jak długie kurhany, kopce nie były rozmieszczone w sposób przypadkowy. W każdym rejonie Wysp są one zawsze zwrócone w określonym kierunku. Na zachodnich krańcach „Zielonej Wyspy” większość z nich jest skierowana ku zachodowi słońca. Natomiast na północno-wschodnich obszarach „Krainy Mgieł” przeważnie zwracają się na wschód. Lokalne tradycje różniły się od siebie, ale wszyscy budowniczowie megalitów z pewnością widzieli jakiś związek między niebem a swoimi zmarłymi. W niektórych większych grobach można dostrzec bardziej wyrafinowane udoskonalenia. W najwspanialszej z odnalezionych budowli nad głazem wieńczącym bramę prowadzącą do wnętrza wycięto otwór w kształcie skrzynki na listy. Przeprowadzone doświadczenia wykazały, że w ciągu kilku dni przed zimowym zrównaniem dnia z nocą i kilku dni po nim promienie wschodzącego słońca musiały wpadać przez ten otwór do wnętrza, oświetlając jasnym blaskiem miejsce spoczynku zmarłych.

Z nieznanymi wciąż jeszcze powodów koliste budowle z wielkich głazów weszły w modę gdzieś na przełomie czwartego i trzeciego tysiąclecia. W rezultacie powstało mnóstwo kamiennych kręgów, pierścieni i „spiętrzeń” (*henges*). We wcześniejszych stadiach były to prawdopodobnie miejsca, w których sprawowano jakieś proste obrzędy – na przykład składano zmarłych do grobu i udzielano im błogosławieństwa. Potem zarówno same konstrukcje, jak i funkcje, które miały pełnić, stały się o wiele bardziej złożone. Na przykład, w dziejach słynnego „Wielkiego Kręgu”, który od ponad pięćdziesięciu stuleci jest największym cudem Wysp, można wyróżnić cztery odrębne okresy. W stadium pierwszym, ok. 3200 r. p.n.e., była to prymitywna okrągła fosa z wałem ziemnym, otaczająca pojedynczy, umieszczony w środku kręgu drewniany słup. W następnym tysiącleciu budowlę poddano całkowitej przebudowie: wzniesiono podwójny krąg ze sprowadzonych z daleka głazów z charakterystycznym niebieskawym nalotem siarczanu miedzi oraz zbudowano coś w rodzaju ziemnej alei prowadzącej ku najbliższej rzece. Istnieją niezbita dowody, że całość usytuowano, kierując się położeniem Słońca, ponieważ w dniu letniego przesilenia dla obserwatora znajdującego się w środku kręgu Słońce wstaje dokładnie ponad znajdującym się na zewnątrz głazem zwanym Kamienną Piętą (*Heel Stone*), 51 stopni od punktu północy. Zaledwie dwieście lat później niedokończoną jeszcze budowlę rozebrano, zastępując wcześniejszą konstrukcję zewnętrznym pierścieniem z bloków szarego piaskowca; otaczał on wewnętrzny krąg w kształcie podkowy, wzniesiony z mniejszych głazów, pogrupowanych w układach po trzy (dwa pionowe i na nich jeden poprzeczny). Wreszcie, ok. 1600 r. p.n.e., błękitnawe głazy powróciły do łask i znalazły się z powrotem na dawnym miejscu. Żadna inna budowla megalityczna na Wyspach nie dorównuje wspaniałością „Wielkiemu Kręgowi”. Na „Wyspach Północy” odnaleziono tysiące mniejszych konstrukcji tego rodzaju. Łatwo jednak dać się zwieść przypadkowości tego, co przetrwało, i tego, co zniknęło bez śladu. Ostatnie wykopaliska prowadzone u stóp wzgórza Windy Hill dowodzą, na przykład, iż „Wielki Krąg” był zaledwie jednym z elementów o wiele większego kompleksu, którego główną część zbudowano z drewna. Do roku 1989 nawet nie podejrzewano, że obok istniał krąg z drewnianych bali, który niegdyś miał ponad dwieście trzydzieści metrów obwodu i ponad trzy metry wysokości¹¹.

Budowlę megalityczną definiuje się jako „układ liniowy”, jeśli obejmuje „trzy lub więcej głazów, celowo ustawionych w linii prostej”. Niektóre z takich układów, na przykład ów odnaleziony w pobliżu „Farmy pod Kopcem” na cyplu leżącym na północno-zachodnich krańcach wybrzeża, istotnie spełniają tylko ten minimalny wymóg; inne – jak „Wielki Krąg Północy” na „Wyspach Peryferyjnych” czy budowla „Wiele Rzędów” usytuowana w pobliżu odległego „Przylądka Północnego” – są równie zagadkowe, jak skomplikowane. Na obszarze samych tylko „Dolnych Bagien” ustawiono siedemdziesiąt rzędów kamieni. Tym razem trzeba

¹¹ Por. J. C. Richards, *English Heritage Book of Stonehenge*, Londyn 1991; G. S. Hawkins, *Stonehenge Decoded*, Londyn 1996; D. Souden, *Stonehenge Revealed*, Nowy Jork 1997.

założyć, że układy głązów były w jakiś sposób związane zarówno z ruchami Słońca, jak i Księżyca. Albowiem, o ile ruch Słońca jest regularny i stosunkowo nieskomplikowany, o tyle wynoszące 18,61 roku cykle Księżyca wymagają długotrwałych i precyzyjnych obserwacji. Zgodność usytuowania wielu budowli z ekstremami Słońca i Księżyca z pewnością nie jest przypadkowa.

Spekulacje stanowią oczywiście sedno sprawy i nie należy się z nich śmiać, choć skutki trzeba przyjmować z pewną ostrożnością. Tak na przykład, jeden ze znawców prehistorii sugerował, że megalityczny rok dzielił się na szesnaście równych okresów, wyznaczonych przez zjawiska astronomiczne. Regularność występowania przesilenia letniego i zimowego oraz dwóch zrównań dnia z nocą jest dowiedzionym faktem; nie wydaje się zatem czystą fantazją myśl, iż mogły one stanowić podstawę kalendarza – lub kalendarzy – i w ten sposób dać początek sezonowym świętom, które przetrwały do czasów historycznych. Hipoteza o istnieniu jakiegoś prehistorycznego „szesnastomiesięcznego kalendarza” sytuuje się gdzieś w połowie drogi między tym, co możliwe, a tym, co prawdopodobne¹².

Atmosfera domysłów otacza także znaczenie pojedynczych głązów, nazwanych menhirami, oraz trylitów – układów złożonych z dwóch pionowych kolumn przykrytych portykiem z umieszczonego poziomo bloku skalnego. Być może były one tylko zwykłymi drogowskazami, wyznaczającymi granice, drogi lub miejsca pochówku. Ale mogły także stanowić jedynie elementy o wiele rozleglejszych budowli. Według najbardziej ryzykownych spekulacji każdy pojedynczy głąz był w jakiś sposób związany ze Słońcem, Księżycem lub gwiazdami, wszystkie zaś stanowiły pojedyncze ogniwa przecinających cały kraj łańcuchów. Jedna z teorii głosi nawet, że wszystkie pionowe bloki skalne na Wyspach były wieżami triangulacyjnymi tworzącymi układ wytyczony przez geometrów z kontynentu, którzy system usytuowany na Wyspach powiązali z systemem kontynentalnym liniami łączącymi „Kres Lądu Wielkiej Wyspy” z „Kresem Lądu na Kontynencie”¹³.

Jakiś czas temu wybuchła zagorzała kłótnia sprowokowana teorią, w myśl której wszystkie wzgórza, drogowskazy i pionowe głązy wyznaczały punkty układu idealnie prostych linii. Niektórzy entuzjaści „teorii tajemniczych linii prostych” (*leylines*) dawali nawet do zrozumienia, iż tworzą one coś w rodzaju pokrywającej cały kraj siatki geograficznej, a wzdłuż niej krążą tajemne siły. Takich fantazji nie da się ani dowieść, ani obalić. Natomiast bez większego trudu można sobie wyobrazić, że istniała jakaś sieć drogowskazów i stacji sygnałowych, zbudowana z myślą o wygodzie prehistorycznych podróżników¹⁴.

¹² A. Thom, *Megalithic Sites in Britain*, Oksford 1967: *The sixteenmonth calendar* („Szesnastomiesięczny kalendarz”), s. 109–117.

¹³ Por. A. H. Grundy, *Britain's Prehistoric Achievements*, Lewes 1964; pogląd przeciwny prezentuje A. Burl, *Prehistoric Astronomy and Ritual*, Princes Risborough 1983.

¹⁴ Modę na teorię linii prostych zapoczątkował niejaki Alfred Watkins, autor prac *Early British Trackways*, 1922, i *The Old Straight Track*, 1925. Później przejęli tę teorię okultyści epoki New Age, którzy uważają owe linie za tajemne źródła energii i siły.

Jeśli się pamięta, że ogólny kierunek rozwoju w czasach prehistorycznych prowadził od surowych warunków i prymitywnej techniki epoki kamiennej do o wiele bardziej przyjaznego środowiska naturalnego i bardziej rozwiniętej techniki epoki żelaza, siłą rzeczy nasuwa się myśl, iż poszczególne etapy następowały po sobie gładko i w regularnych odstępach. W gruncie rzeczy jednak zasada „trzy kroki do przodu, dwa kroki do tyłu” byłaby uproszczonym opisem o wiele bardziej skomplikowanych procesów. Tak na przykład, w połowie trzeciego tysiąclecia, ok. 2500 r. p.n.e. nastąpił ogólny „zastój”. Doniesienia archeologów na temat pewnych rejonów brzmią prawie jak powtórzenia wcześniej nadanych odcinków telewizyjnego serialu. Wyjaśnienia różnią się od siebie. Ale budowniczo wie megalitów zwolnili tempo. Groby zostały zawałone kamieniami, a osady opuszczone. Na bagiennych obszarach, na południowym zachodzie, pola założone w epoce wczesnego neolitu, zaorywane przez długie pokolenia wzdłuż i w poprzek za pomocą prymitywnego neolitycznego pługa, ponownie zamieniły się w ugory. W dolinach lasy powróciły na miejsca, z których je poprzednio wykarczowano. Kontakty z „Głównym Łądem” nigdy nie ustały, zmieniała się jednak zarówno ich intensywność, jak i charakter. A co więcej, zmieniały się także warunki społeczne, i to niekoniecznie na lepsze. Jak wynika z zawartości odnalezionych grobów, struktury społeczne ulegały coraz większemu zróżnicowaniu. W lokalnych społecznościach wyodrębniały się zamożne i potężne elity. Ustalały się obszary wpływów plemiennych wodzów. Lokalne walki, a z upływem czasu także plemienne wojny na szeroką skalę, stawały się zwykłym elementem rzeczywistości.

W taki właśnie zmieniający się i niepewny świat weszli Pucharowcy: lud kultury pucharów – a przynajmniej tak mieli zwyczaj przedstawiać sprawę historycy tego okresu. Reprezentanci kultury pucharów byli twórcami i użytkownikami bardzo charakterystycznych czerwonych naczyń w kształcie odwróconego dzwonu, zdobionych wzorem sznurowym. Na Wyspy dotarli na początku drugiego tysiąclecia. Różnorodnych naczyń z ornamentem sznurowym, czyli wzorem odciśniętym w mokrej glinie za pomocą skręconego sznura, używano powszechnie na „Głównym Łądzie” we wczesnej epoce brązu; kulturę tę wiązano często z innymi przemianami – „ideologicznymi”, na przykład z zastępowaniem wielkich zbiorowych grobów małymi okrągłymi kurhanami i pojedynczymi mogiłami. Ale Puchary były jedyne w swoim rodzaju. W dodatku znaleziono je w takim miejscu, że badacze prehistorii przez długi czas uważali ludy związane z tą kulturą za odmienną etnicznie grupę, która przywędrowała na Wyspy z pierwotnie zamieszkiwanych obszarów na południowych wybrzeżach „Morza Wschodu Słońca”. Jednak i tym razem teoria o inwazji chyba się nie sprawdza. Obecnie lud kultury pucharów jest uważany za wytwór jakiejś rozwiniętej kultury materialnej, której wpływy zdołały się rozszerzyć bez żadnych zakrojonych na większą skalę wędrówek ludów. Pucharowcy z pewnością stanowią argument przemawiający za tym, że wyspiarzy nie należy uważać za rasę odmienną od mieszkańców kontynentu. Byli ludem wojowników. Używali łuków i strzał z kamiennymi grotami i posługi-

wali się – przynajmniej na wschodzie – gładzonymi kamiennymi toporami bojowymi, które we wcześniejszym okresie zrobiły taką karierę na kontynencie. Kochali ozdoby. Nosili stroje z festonami polerowanych guzików, a na szyjach wieszali sobie podwójne sznury paciorków z gagatu lub nawet złote naszyjniki¹⁵.

Kiedy okres „zastoju” przeszedł do przeszłości, mieszkańcy Wysp z drugiego tysiąclecia z nową energią potwierdzili swoją pozycję. Wiele z wcześniejszych budowli megalitycznych poddano przeróbce lub przebudowie. Na południu „Krainy Klifów” wzniesiono nowe ogromne kopce i kamienne kręgi. Na „Świętej Wyspie” powstały dokładne kopie pierwotnych grobowców korytarzowych z „Zielonej Wyspy”. A co najważniejsze, zaczęła się obróbka metalu – najpierw miedzi, potem brązu i złota, a wreszcie, od ok. 1500 r. p.n.e. – cyny. Rozwój metalurgii z kolei przyspieszył rozwój handlu z kontynentem. Import bałtyckiego bursztynu, a nawet przedmiotów pochodzących z rejonu Morza Egejskiego świadczy o rozszerzających się kontaktach handlowych. Pod koniec tysiąclecia szczególnie ożywione były kontakty z Niderlandami. Najwcześniejszy okaz statku morskiego używanego przez żeglarzy z Wysp, który zatonął ok. 1100 r. p.n.e., odnaleziono u wybrzeży „Cieśniny Południowej”.

Tak więc epoka brązu, trwająca na Wyspach od ok. 1800 do ok. 600 r. p.n.e., przyniosła ludziom więcej niż tylko brąz. W pierwszych stadiach była czasem odnowy budownictwa megalitycznego oraz erą ludu kultury pucharów i ich wspaniałej ceramiki. Potem stała się areną, na której pojawiły się odrębne, nowe kultury, niegdyś jednoznacznie kojarzone przez archeologów z podbojami osadników z kontynentu; potem uznano, że owe podboje mogły być nieco mniej krwawe, niż sądzono. Szczególnie wyraziście zarysowały się na ogólnym tle dwie takie grupy: „wojowników używających toporów z kryzką” oraz ludów kultur pól popielnicowych.

Użytkownicy toporów z kryzką są lepiej znani archeologom pod nazwą utworzoną od współczesnej nazwy regionu na południu „Krainy Klifów”, gdzie po raz pierwszy odnaleziono ich osady¹⁶. Nie jest jednak chyba rzeczą właściwą przyklejanie im tej wyspiarskiej etykiety, skoro istnieją liczne dowody nie tylko na to, że ich elity przywędrowały z kontynentu ok. 1700 r. p.n.e., ale również na to, że wraz z nimi dotarł na Wyspy ich kontynentalny styl życia. Główną zasługą owego ludu było stworzenie arsenału znacznie lepszej broni, w którego skład wchodziły skuteczne w walce topory z brązu z wywiniętymi brzegami, zwanymi „kryzką”, długie i groźne cienkie sztylety oraz kamienne maczugi. Nie ulega wątpliwości, że za pomocą takiego wyposażenia i dzięki zdobytemu na kontynencie doświadczeniu wojownicy ci mogli szybko podporządkować sobie lokalną ludność. Nie ma jednak powodu, aby sobie wyobrażać, że ich przybycie na Wyspy było czymś w rodzaju próby generalnej podboju normańskiego. Wydaje się bardziej prawdopo-

¹⁵ R. Mercer (red.), *Beakers in Britain and Europe: Four Studies*, Oksford 1977; por. także R. J. Harrison, *The Beaker Folk: Copper Age Archaeology in Western Europe*, Londyn 1980.

¹⁶ Kultura Wessex.

dobne, iż niewielkie grupki najeźdźców zdobyły skuteczną przewagę i zapewniły trwałość swym plemionom, żeniąc się z miejscowymi kobietami. Jest też możliwe, że miejscowi wodzowie po prostu naśladowali to, co zaobserwowali po drugiej stronie „Rękawa”, i sami zaczęli wytwarzać broń, stosując podobną technologię. W ten sposób sceny polityczna i kulturalna mogły ulec gwałtownym przemianom, podczas gdy główny trzon populacji oraz bank genów przechodziły jedynie niewielkie modyfikacje. Wśród innowacji kulturowych znalazły się nowe formy pochówku – okrągłe kurhany, kremacja zwłok, bogate wyposażenie grobów w przedmioty, które mogły się zmarłemu przydać w przyszłym życiu. W jednym z takich grobów, odnalezionym w dolinie między kredowymi wzgórzami w pobliżu „Wielkiego Kręgu”, pochowano, w całej wspaniałości, prehistorycznego konnego wojownika. „Miał przy sobie topór i dwa potężne sztylety, z których jeden, z rękojeścią połyskującą inkrustacją ze złota, przyczepiony był do pasa za pomocą delikatnie cyzelowanej złotej płytki. Dwie inne płytki ze złota zdobiły jego strój, a na znak wysokiej rangi trzymał w ręce dziwne berło z kamienną głowicą w misternie rzeźbionej oprawie z kości. Berła tego rodzaju są oznaką prawdziwie książęcej okazałości”¹⁷.

Trzy stulecia po wojownikach używających toporów z kryzką pojawili się ludzie kultury pól popielnicowych. Zostali tak nazwani od sposobu, w jaki chowali swoich zmarłych. Ale najbardziej uderzającą cechą ich kultury było szczególne połączenie gospodarki pasterskiej z uprawą roli, dzięki czemu udawało im się nieprzerwanie i bez walki pozyskiwać coraz dalsze rozległe połacie mniej urodzajnej ziemi. W rezultacie, zajmawszy tereny, na których uprzednio przeważali Pucharowcy, ludzie kultury pól popielnicowych ruszyli dalej ku wyżynom, zajęli niezamieszkałe dotąd partie „Krainy Mgieł” i w wielkiej liczbie przedostali się na „Zieloną Wyspę”. W osiągnięciu sukcesu dopomogły im dwie nowe rośliny uprawne. Pierwszą z nich był jęczmień, który świetnie się udawał na mniej gościnnych glebach północy, a drugą len, z którego włókien robiono cienkie płótno na ubrania, noszone oprócz ciepłych okryć z wełny i owczych skór. Ludzie kultury urn popielnicowych byli mistrzami rzemiosła; można powiedzieć, że w porównaniu z osiągnięciami poprzednich epok, ich techniki obróbki krzemienia i produkcji miedzi, złota oraz brązu zostały doprowadzone do perfekcji. Po śmierci ciała palono, a prochy wsypywano do urn i zakopywano w głębokich szybach. Tam, gdzie w pobliżu zachowały się megalityczne groby lub kamienne kręgi, pola popielnicowe stawały się częścią świętej ziemi, na której stały starsze budowle. Natomiast tam, gdzie takich budowli nie było, zmarli spoczywali w szybach kopanych ciasno, jeden przy drugim, na poświęconych cmentarzyskach. Jedno z takich miejsc znajdowało się na pustych zachodnich stokach „Grzebienia”. W wykopanym pod ziemią szybie, umocnionym biegnącymi wokoło solidnymi dębowymi słupami,

¹⁷ Harrison, *op. cit.*, s. 123–124.

spoczywały urny z prochami dwóch najwyraźniej bardzo ważnych osób. Na powierzchni znajdowała się grobla, która prowadziła w poprzek otwartego rowu do wejścia zbudowanego z kamieni; całość otaczała palisada z wysokich słupów. To nie był po prostu grób – to był pomnik¹⁸.

W ostatniej fazie epoki brązu, która nadeszła po przełomie tysiącleci, rodziły się nowe wariacje na stary temat. Powstało kilka pomniejszych kultur i nie wiadomo, czy ich rozwój wspierały migracje kolonizatorów. Rozwijały się techniki uprawy roli. „Motyka ustąpiła miejsca pługowi, kobietę zastąpił wół”. Zaczęto hodować bardziej odporne na mróz odmiany pszenicy. Z wielką starannością wytyczano pola, których granice na południowych terenach trwale wyznaczyły wyryte w kredzie głębokie białe bruzdy. Rozwinęły się także techniki produkcji tekstyliów. Dzięki zastosowaniu pionowych krosien można było napiąć nici osnowy za pomocą walcowatych ciężarków z gliny; boczne krążki, mocowane na przęsłicy; zwiększyły tempo przędzenia i ustabilizowały kądziel. Religijny zapał być może nieco osłabł. W dalszym ciągu stosowano pochówki na polach popielnicowych. Ale minął już czas, gdy atmosfera potężnych megalitów stawała się inspiracją dla skomplikowanych rytuałów i ceremonii.

Różnorodność form osadnictwa w owych czasach – a także różnorodność ludzkich losów – ukazują trzy wykopaliska z późnej epoki brązu. Pierwsze znajduje się na położonej w głębi łądy równinie, w pobliżu wschodnich krańców „Riwieri Południa”; jest to solidna zagroda z zabudowaniami. Postawiła ją zapewne rodzina przybyszy z kontynentu, ponieważ niezbyt przypomina inne odnalezione w okolicy osady ludzi kultury pól popielnicowych. Grupkę okrągłych, krytych strzechą chat otaczał ziemny wał; łączyła je sieć wydeptanych ścieżek prowadzących do zagród dla bydła znajdujących się na zewnątrz. Całości dopełniało kilka niewielkich pól uprawnych o kształcie zbliżonym do kwadratu. Ludzie zamieszkujący chaty używali glinianych naczyń z uchwytyami, ozdobionych rytymi w glinie wzorami – bardzo podobnych do tych, których w tym samym czasie używano na drugim brzegu „Rękawa”¹⁹.

W odległości około pięciuset kilometrów na północ leżała inna ludzka siedziba, usytuowana w pobliżu strumienia wypływającego z pustkowia u wschodniego pogórza środkowej partii „Grzebienia”. Jest dla archeologów zagadką, ponieważ ubóstwo pustej, wilgotnej jaskini kłóci się z bogactwem znalezionych w niej skarbów. Nie wiadomo, kim byli mieszkańcy jaskini, jest natomiast rzeczą pewną, że posiadali zadziwiająco dużo niezwykle różnorodnych przedmiotów. Wśród broni znaleziono oprawne topory z brązu, dzidy i miecze; wśród narzędzi – eleganckie wiadro z koromysłem (czyli *situla*) oraz formę i szczypscę do odlewania przedmiotów z brązu; wśród ozdób – złotą bransoletę i pierścień. Nie brakowało im też żywności. Podczas krótkiego pobytu w jaskini zdążyli zjeść potężne ilości woło-

¹⁸ *Ibid.*, s. 102.

¹⁹ Miejscowość Plumpton, East Sussex.

wego i baraniego mięsa oraz dziczyzny, a także potłuc mnóstwo naczyń. Odnaleziono wyraźne ślady pojazdów kołowych – być może rydwanów. Narzuca się przypuszczenie, że jaskinia była miejscem czasowego pobytu jakiejś wysoko postawionej osobistości – być może pokonanego w walce wodza, którego wiemy orszak udał się na wygnanie razem ze swoim panem. Ich kres nadszedł nagle – może w wyniku jakiejś ostrej potyczki w wąwozie. Jaskinię porzucono, wraz ze wszystkimi skarbami, pozostawiając na straży trzy martwe ciała²⁰.

W odległości dalszych czterystu pięćdziesięciu kilometrów na północ, w pobliżu najdłuższego przylądka „Wysp Najdalszych”, wykopano spod wydm następną osadę zbudowaną przez prehistorycznych rolników. Hodowali stada krótkorogiego bydła i dwa gatunki owiec, a oprócz tego uprawiali kilka niewielkich poletek; łowili ryby, chwyтали ptaki i polowali na foki. Żyli w solidnych domach z kamienia, zbudowanych według jedynego w swoim rodzaju projektu: na usytuowanym centralnie podwórzu znajdowało się otwarte palenisko; dziedziniec był otoczony murem, do którego przylegało kilka izb mieszkalnych oraz pomieszczenie dla bydła. Mieszkańcy osady przez wiele lat robili narzędzia z dostępnych w pobliżu materiałów – łupku, kwarcu i kości wielorybów. Ale pewnego dnia pojawił się pierwszy odlewnik brązu i założył warsztat na jednym z dziedzińców. Epoka brązu dotarła do „Wysp Najdalszych” dokładnie w tym samym czasie, kiedy epoka żelaza zbliżała się do południowych wybrzeży „Krainy Klifów”²¹.

To, że porzucono wówczas megality, może świadczyć o zmianie wierzeń religijnych. Na krańcach „Wschodnich Mokradeł” jest pewne miejsce pozwalające się domyślać, na czym mogła polegać ta zmiana. Na przesiąknięte wodą bagniska przywleczono cztery miliony drewnianych pali, z których zbudowano aleję prowadzącą do sztucznej „świętej wyspy”. Wotywnie dary w postaci połamanych mieczy, ozdób i ofiar – zarówno ze zwierząt, jak i z ludzi – wrzucano do jeziora. O ile epoka neolitu za siedzibę tego, co święte, uważała głównie niebo, o tyle ludzie późnej epoki brązu najwyraźniej szukali bogów w rzekach, jeziorach i lasach. Naturalne źródła pozostały miejscem składania ofiar aż do czasów chrześcijańskich.

Bardzo możliwe, że epoka żelaza zaczęła się na Wyspach od importu wyrobów z kontynentu – szczególnie mieczy i sztyletów – a nie od rozwoju rodzimej produkcji. Co najmniej tysiąc lat dzieli początki wytopu żelaza na odległych zamorskich obszarach, z którymi wyspiarze mogli utrzymywać jakiś rodzaj kontaktów, od pojawienia się na Wyspach ustabilizowanych społeczności opierających kulturę materialną na technologii produkcji żelaza. Natomiast Wyspy miały bogate złoża rud żelaza. Musiało jedynie minąć nieco czasu, zanim zaczęto powszechnie korzystać z dobrodziejstw produkcji i obróbki tego metalu. O ile rudy żelaza występowały w obfitości, o tyle rud miedzi i cyny było niewiele. Mimo to przejście od brązu do żelaza trwało wiele stuleci. Na początku rzemieślnicy wytwarza-

²⁰ Miejscowość Heathery Burn, Durham.

²¹ Miejscowość Jarishof na Szetlandach.

jący broń i narzędzia z brązu kopiowali wzory z importu, nie zważając na to, iż w swoich tyglach mają inny metal. Potem z brązu robili tylko niektóre przedmioty, a miecze i sierpy coraz częściej wykuwali z żelaza. Wreszcie całkowicie zarzucili brąz, stając się zagorzałymi miłośnikami żelaza.

Z owego długiego okresu przejściowego zachował się dla potomności ukryty skarb – zagrabiony łup, wrzucony na dno jeziora leżącego wśród wzgórz w południowej części „Krainy Popołudnia”. Według opinii grona wybitnych archeologów, banda rabusiów ze wzgórz najprawdopodobniej napadła na położoną na pobliskiej równinie zagrodę należącą do jakiegoś wojownika, który najwyraźniej miał powiązania na kontynencie. Złodzieje zdobyli piękny łup, ale pogoń zaczęła im deptać po piętach; musieli po drodze pozbyć się zrabowanych skarbów, wrzucając je do jeziora. Nigdy już ich stamtąd nie zabrali – może pościg ich dopadł i zostali zabici²². Skarby pozostały na dnie. Według innego wybitnego specjalisty, jest to „denna” interpretacja. Jego zdaniem, depozyt złożony na dnie jeziora stanowi raczej ofiarę wotywną. Obojętnie, którą z tych dwóch interpretacji uzna się za prawdziwą, najważniejsze jest to, że wśród odnalezionych przedmiotów są wyroby zarówno z brązu, jak i z żelaza. Stare brązowe włócznie i topory oraz brzytwa z brązu leżały w wodzie obok topornego żelaznego sierpa w kształcie wcześniejszych sierpów z brązu, a także ogromnego żelaznego miecza w pięknej pochwie ozdobionej parą skrzydeł.

Żelazo jednak nie było jedyną innowacją epoki żelaza. Istnieją liczne dowody, że konie – na początku używane tylko pod wierzch – znalazły się na Wyspach najpóźniej ok. 1000 r. p.n.e. W następnych stuleciach zwierzęta te coraz częściej traktowano jako siłę pociagową. Zaprzęgano je do wozów na kołach albo używano do celów wojskowych – w zaprzęgach rydwanów i w oddziałach jazdy.

Rozwój technik wojennych zdecydowanie wpłynął na podniesienie progu strachu i zwiększył poczucie bezpieczeństwa. Jedną z uderzających cech epoki żelaza stał się gwałtowny wzrost liczby fortów budowanych na szczytach wzgórz. To już nie były toporne wały ziemne z epoki neolitu. Teraz budowle obronne stały się zdecydowanie mniejsze, ale za to o wiele lepiej zabezpieczone: ze stromymi podejściami, z głębokimi rowami o przekroju w kształcie klina, z licznymi wysokimi wałami obronnymi o kamiennych fasadach, z potężnymi drewnianymi palisadami i umocnionymi bramami²³. W paru najlepiej znanych miejscach fort z epoki żelaza tkwi wtulony w zakole starożytnego wału ziemnego; bywało też, że tuż obok znalazł się późniejszy rzymski obóz: wewnątrz lub na wierzchu starszego fortu. W pierwszych stuleciach pierwszego tysiąclecia p.n.e. wybudowano ponad trzy tysiące takich fortów na wzgórzach oraz „zamek na klifach” – zwłaszcza na południu i na zachodzie „Krainy Klifów” i „Krainy Popołudnia”. Było ich tak dużo, że najwyraźniej stały się podstawowym elementem społecznej i wojskowej struk-

²² Llyn Fawr, Glamorgan. Por. J. Hawkes, Ch. Hawkes, *Prehistoric Britain*, Harmondsworth 1943, s. 123–124.

²³ Zob. B. Cunliffe, *Danebury: Anatomy of an Iron Age Hill Fort*, Londyn 1983.

tury tych terenów. Szczegółowe badania obszarów położonych najbliżej na południe od górnego dorzecza „Ciemnej Rzeki” doprowadziły do odkrycia całej gęstej sieci owych fortów – każdy zajmował powierzchnię równą mniej więcej pięciu hektarom i każdemu podlegał obszar liczący mniej więcej 120–150 kilometrów kwadratowych²⁴.

Budowane na wzgórzach forty miały oczywiście rozmaite kształty i różne rozmiary. W północno-wschodnim narożniku „Krainy Popołudnia” można spotkać tak zwane forty zeszlone: na skutek działania wysokiej temperatury ich wykładane kamieniem mury obronne uległy wiotryfikacji, łącząc się z kamiennym podłożem w jedną zwartą masę. Na „Półwyspie Przylądków” od III w. p.n.e. panowała moda na tak zwane forty pierścieniowe, budowane na planie koła. Modne były także „zamki na klifach”, przy których stawianiu wykorzystywano naturalne obronne walory nadbrzeżnych skał i które bardzo przypominały analogiczne budowle wznoszone po przeciwnej stronie „Rękawa”. Jeden z zachowanych do dziś zamków tego rodzaju ochraniał osadę złożoną z ośmiu lub dziewięciu chat z wewnętrznymi podwórzami, ustawionych wzdłuż wybrukowanej kamieniami ulicy. Mieszkańcy zajmowali się wydobywaniem rudy cyny – wykopywali cenny kruszec z długich podziemnych galerii biegnących pod fortem²⁵. Do czasu przybycia Rzymian kilka większych fortów stało już na straży wspólnot wystarczająco dużych, aby przybysze mogli im nadać nazwę *oppida* – „miasta”.

Obecność cyny na „Półwyspie Przylądków” miała doniosłe konsekwencje. Dzięki niej po długim okresie powolnego rozwoju ożyły na nowo dawne szlaki morskie na zachodzie. Dzięki niej stosunki Wysp z „Głównym Łądem” ożywiły się do tego stopnia, że zamieszkujące kontynent plemię Wenedów wybudowało potężną flotę do ochrony swojego handlu morskiego. Handel tak się rozwinął, iż przestała wystarczać zasada wymiany towaru za towar. Według niektórych specjalistów, pierwszą walutę wyspiarzy, będącą w użyciu na obszarach daleko wykraczających poza strefę handlu cyną, kuto ze standardowych żelaznych sztabek. Ale co najważniejsze, handel cyną przyciągnął kupców z odległego rejonu Morza Śródziemnego.

To właśnie śródziemnomorscy poszukiwacze przygód wprowadzili Wyspy w świat dziejów pisanych. Jeden z nich, Pyteasz z Marsylii, odbył w 325 r. p.n.e. pełną niebezpiecznych przygód podróż, którą następnie opisał; cel swojej wyprawy nazywa „Wyspami Cynowymi”. Jego relacja zawiera opis tubylców przywożących cynę wozami na małą wysepkę w pobliżu lądu, gdzie spotykali się z nimi zamorscy kupcy. Pełny tekst wprawdzie się nie zachował, ale najważniejsze fragmenty znamy z pism późniejszych autorów. Nie ma natomiast żadnych wątpliwości co do kolejnej zmiany, jaką pociągnęło za sobą odkrycie cyny: Grecy, którzy odgrywali główną rolę na handlowej scenie południa, znali metalowe pieniądze.

²⁴ B. Cunliffe, D. Miles (red.), *Aspects of the Iron Age in Central-Southern Britain*, Oksford 1984.

²⁵ Chysauster w Kornwalii, zob. Hawkes, Hawkes, *op. cit.*, s. 138.

Nie minęło wiele czasu, nim plemienni wodzowie na Wyspach zaczęli bić własne monety.

Na tych obszarach, gdzie ukształtowanie terenu nie zapewniało naturalnej ochrony, obronne osady budowano na jeziorach lub w głębi bagien. Osady na jeziorach wynaleziono w środkowych częściach kontynentu w połowie pierwszego tysiąclecia. Na Wyspach pojawiły się jakieś trzysta lat później. Technologia budowy polegała na tym, że najpierw konstruowano wielką tratwę z bali, którą spuszczano na jezioro, przytwierdzano do wbitych w dno słupów i pokrywano warstwą kamieni wymieszanych z drobnymi gałązkami i gliną. Następnie ten gigantyczny ponton służył jako teren budowy – na nim wznoszono całą osadę, otoczoną palisadą. Archeolodzy odnaleźli kilka takich pontonów. Najlepiej znany odkryto na terenie „Zachodnich Mokradeł” (w pobliżu „Jaskini nad Wąwozem”). Pochodzi z II w. p.n.e., ale był w użyciu jeszcze na początku okresu rzymskiego. Palisada otaczała obszar o powierzchni mniej więcej hektara, a sama osada składała się z 60 przestronnych okrągłych chat, połączonych siecią brukowanych uliczek. Umocniona grobla – tak szeroka, aby mógł po niej przejechać wóz – prowadziła do pól i pastwisk na wyżej położonych terenach. Pływająca przystań służyła do cumowania łodzi i zapewniała osłonę ptasznikom i rybakom. Szczególnie wysoki poziom osiągnęło rzemiosło. Kowale robili sierpy, których nie powstydziłaby się żadna z późniejszych epok. Brązownicy skupiali wysiłki na produkcji pięknych naczyń domowych – mis i kociołków. Drwale i stolarze opanowali do perfekcji nie tylko technologię budowy potężnych platform, ale także precyzyjnie toczonego chochli, trzonków i łyżek. Tkacze używali ulepszonych krosien z czółenkami z kości. Młynarze mełli ziarno w ręcznych żarnach²⁶.

Wyroby z epoki żelaza bywały tak samo piękne, jak użyteczne. Rozwinęła się sztuka zdobnicza, która dotąd nie miała sobie równej. Nie jest wykluczone, że w pewnym stopniu natchnienie czerpano z pięknych wyrobów greckich i rzymskich, które teraz docierały do wszystkich „ziem barbarzyńskich”. Ale tak samo jak złotnicy scytyjscy i sarmaccy z pontyjskich stepów przejmowali klasyczne wzory i przemieniali je we wspaniałe oryginalne cuda²⁷, artyści z epoki żelaza działający na zachodnich krańcach półwyspu stworzyli w dziedzinie estetyki niepowtarzalną i oryginalną fuzję. „Porządny i systematyczny duch klasycznej estetyki umknął przed swobodnym, pełnym fantazji, nawiedzonym duchem, który teraz wreszcie stał się dla geniuszu barbarzyńcy natchnieniem do stworzenia jednej z najdoskonalszych odmian sztuki abstrakcyjnej w Europie”²⁸. Puchar nie był po prostu naczyniem, które miało ułatwić konsumpcję wina – modnego teraz i bardzo wysoko cenionego towaru importowanego z rejonu Morza Śródziemnego; stał się smukłym, eleganckim, lśniącym przedmiotem podziwu. Miecz czy tarcza nie

²⁶ Glastonbury, Somerset, zob. *ibid.*, s. 140–144.

²⁷ Por. N. Ascherson, *Black Sea*, Londyn 1995, s. 210–228.

²⁸ Hawkes, Hawkes, *op. cit.*, s. 30.

były już po prostu bronią; ich produkcja stwarzała okazję do popisu dla mistrza rzemiosła, który je modelował, odlewał, inkrustował i zdobił wzorami rzadkiej urody. Końska uprzęż nie była po prostu urządzeniem pozwalającym panować nad zwierzęciem; wędzidła, kółka, ozdobne uzdy, a przede wszystkim wymyślna osłona końskiego łba – wszystko to stanowiło źródło dumy i oznakę społecznego statusu właściciela konia.

Odwieczny spór, czy należy opowiedzieć się za podbojem czy też za adaptacją kulturową, występuje ze szczególną ostrością w pracach dotyczących epoki żelaza. W „Krainie Klifów” udało się bez żadnych wątpliwości zidentyfikować co najmniej dwa większe plemiona przybyszów z kontynentu, a na „Zielonej Wyspie” – kilka dalszych. Ale dwa na trzydzieści czy czterdzieści takich plemion to jeszcze nie jest element decydujący (por. Rozdz. II).

Ostatnią nową cechą krajobrazu epoki żelaza stały się nadmorskie saliny. Znaczny wzrost zapotrzebowania na sól był prawdopodobnie skutkiem rozwoju nowej i bezcennej umiejętności konserwowania wołowiny i wieprzowiny, co pozwalało przeznaczać nadwyżki mięsa na zapasy i uśmierzyć odwieczny strach przed zimowym głodem. Wobec tego sól stała się artykułem podstawowym, a handel solą – zakrojonym na szeroką skalę przedsięwzięciem, rozciągającym się na cały kontynent. Człowiek prehistoryczny zaczynał powoli odchodzić od modelu życia, który troskę o byt ograniczał do dnia bieżącego.

Jeśli spojrzeć na epokę prehistoryczną na „Wyspach Północy” z szerszej perspektywy, widać, że była ona niezwykle zróżnicowana, zarówno w czasie, jak i w przestrzeni. Historycy muszą dokonywać syntezy. Ale tworząc syntezy, nieuchronnie dokonują także wyboru, racjonalizują i wprowadzają zbytnie uproszczenia. O jednym z takich standardowych uproszczeń mówiliśmy wyżej: jest to uproszczenie chronologiczne – tendencja do redukcji złożonych prawidłowości przemian i reakcji, tak aby obraz pasował do poszczególnych okresów i podokresów zaobserwowanego procesu postępu. Dalsze uproszczenie dotyczy geografii. Wyspy nigdy nie odznaczały się jednolitością. Zawsze występowały istotne warianty regionalne, ale różnic tego rodzaju nie można opisać, odwołując się do konwencjonalnego schematu centrum i peryferii. Jest naturalnie prawdą, że niziny w południowo-wschodniej części „Krainy Klifów” miały pewne istotne zalety, które w miarę wzrostu gęstości zaludnienia nabierały coraz większej wagi. Były osłonięte od najgorszych burz przychodzących znad oceanu, cechowała je korzystna różnorodność lekkich gleb oraz pastwisk i najłatwiej było stamtąd dotrzeć na „Główny Łąd”. Nie można natomiast przedstawiać owych zalet jako czynników o decydującym znaczeniu. Były takie okresy i takie dziedziny, w których „Zielona Wyspa” wyprzedzała to, co działo się w „Krainie Klifów”. Natomiast położone z dala od morskich wybrzeży obszary „Krainy Klifów” dorównały pod względem rozwoju starszym, przybrzeżnym osadom dopiero pod koniec epoki żelaza.

Trzeba stale pamiętać o konieczności przestrzegania istotnych rozróżnień. Trudno na przykład wątpić, że odległe górskie tereny na północy i zachodzie „Wielkiej Wyspy” były mniej rozwinięte niż większość obszarów „Zielonej Wyspy”. Północne wyżyny „Krainy Mgieł” zostały zasiedlone późno, a gęstość zaludnienia była mała. „Wyspy Peryferyjne” leżały na najdalszym krańcu długich szlaków morskich i po złej stronie niespokojnej „Cieśniny Północnej”. Jedyne na długim północnym brzegu „Morza Wschodu Słońca”, ciągnącym się po zawietrznej stronie „Wyżyn” aż do „Wysp Przedostatnich” i „Najdalszych”, panowały warunki porównywalne z tymi, jakie oferowały swoim mieszkańcom tereny położone dalej na południe²⁹.

Górzyste partie „Krainy Popołudnia” niewątpliwie musiały sprostać podobnym wyzwaniom. Swego czasu archeolodzy uważali, że był to ostatni przystanek na szlaku cywilizacji biegnącym ze wschodu na zachód od „Cieśniny Południowej” do „Morza Wewnętrznego” – innymi słowy, iż nieuchronnie musiał to być najbardziej zacofany ze wszystkich rejonów. W rzeczywistości łączność lądowa z południową częścią „Krainy Klifów” była prawdopodobnie mniej istotna niż połączenie morskie z „Zieloną Wyspą”. Nadmorskie osady leżące wokół wybrzeży „Morza Wewnętrznego” tworzyły naturalną wspólnotę kulturową i handlową, która bynajmniej nie była izolowana. Słynna kopalnia miedzi na jednym z przylądków, uruchomiona około 1700 r. p.n.e., z pewnością musiała przyciągnąć wielu kupców epoki brązu oraz wielu poszukiwaczy bogactw – z bliska i z daleka³⁰.

„Zielona Wyspa” – podobnie jak „Kraina Mgieł” – powoli wychodziła z polodowcowego letargu. Pierwsi mezolityczni osadnicy byli bardzo nieliczni. Dobrze poznana przez archeologów okolica w pobliżu wysuniętego najdalej na północ wybrzeża była zamieszkała od około 7500 do około 6500 r. p.n.e. To zaś oznacza, że owi pierwsi osadnicy przeszli lądowym mostem, zanim został przerwany³¹. Natomiast potem „Zielona Wyspa” pod wszystkimi względami przestała być opóźniona w rozwoju. Przeciwnie – łączyły ją ze światem zewnętrznym podwójne więzy: krótsze szlaki wodne prowadzące ku „Wielkiej Wyspie” i dłuższa, ale wypróbowana droga do Iberii. W epoce neolitycznej osady na „Zielonej Wyspie” były równie solidnie zbudowane, a jej ozdobne megality – równie liczne i tak samo imponujące jak wszystko, co stworzono gdzie indziej. W epoce metalurgii bogactwa naturalne zapewniły jej uprzywilejowaną pozycję w produkcji metali, w handlu metalem oraz w sztuce zdobienia wyrobów z metalu. Obliczenia oparte na porównaniu ogólnej ilości wydobywanej rudy z ogólną liczbą wytworzonych przedmiotów wskazują, że do obecnych czasów zachował się niecały jeden procent prehistorycznych wyrobów z metalu. Mimo to „Zielona Wyspa” przodowała w pewnych dziedzinach ludzkiej działalności. Bogate złoża miedzi po-

²⁹ A. MacSween, *Prehistoric Scotland*, Londyn 1989.

³⁰ Great Orme's Head, Llandudno.

³¹ Mount Sandel, hrabstwo Derry.

zwoliły jej mieszkańcom wyspecjalizować się w produkcji najcięższych – i najdroższych – toporów bojowych z brązu oraz brązowych kotłów wysokiej jakości. Złota złota stały się inspiracją do produkcji pięknych płytek w kształcie tarczy słonecznej i półksiężycowatych naszyjników (*lanulae*) ze złotej blachy, które docierały do odległych zamorskich krajów. W jednym tylko miejscu na zachodnim wybrzeżu odkopano 146 złotych przedmiotów – naszyjników, bransolet i sprzączek do spinięcia szat – tak masywnych, że z pewnością noszono je tylko przy szczególnie uroczystych okazjach. Podobne znaleziska świadczą jednak także o niezwyklej ilości ruchomego majątku, jakim dysponowała społeczność „Zielonej Wyspy” w epoce brązu³². W epoce żelaza odnaleziono dowody istnienia wszystkich standardowych form rozwoju – od konnego transportu po oszłamiające swoim pięknem wytwory sztuki zdobniczej. Ale fortów na wzgórzach było o wiele mniej niż w „Krainie Klifów” – w sumie nie więcej niż 50; osad na jeziorach nie znano w ogóle³³.

Niektóre cechy najświetniejszych wykopalisk wskazują na bardzo szczególny charakter cywilizacyjnego dziedzictwa „Zielonej Wyspy”. Jedną z tych cech jest niebywała ciągłość. Podczas gdy wiele osad i fortów pochodzenia neolitycznego w „Krainie Klifów” porzucano i zasiedlano na nowo w różnych okresach dziejów, w niektórych osadach na „Zielonej Wyspie” zachowały się ślady świadczące o tym, że używano ich nieprzerwanie od epoki kamiennej lub epoki brązu aż do początków czasów chrześcijańskich. Miejsca tego rodzaju były najwyraźniej jednocześnie ośrodkami świętych rytuałów i siedzibami władzy książęcej. Wielki okrągły przybytek na północy wzniesiono około 100 r. p.n.e. jako ostatnią z dziewięciu warstw kolejnych budowli, sięgających wstecz do epoki brązu. Przybytek ma średnicę 43 metrów; składał się z kręgów zbudowanych z drewnianych słupów i był przykryty strzechą z kilku warstw słomianych snopów. Długa, usypana z ziemi rampa prowadziła od jedyne go wejścia na dno szybu, w którym centralnie ustawiono wielki pojedynczy słup – zapewne swego rodzaju totem. Z jakichś nieznanych (lecz nie ograniczonych wyłącznie do tego miejsca) powodów całą budowlę celowo i gruntownie spalono tuż po jej ukończeniu, a pogorzeliśko przykryto usypanym z kamieni kopcem. Wśród ruin odnaleziono kości makaka, który mógł tam dotrzeć tylko z północnej Afryki i którego obecność – być może jako kosztownego prezentu – świadczy o wysokim statusie właściciela³⁴.

W tak zwanym Forcie Królów, na brzegu „Rzeki Królewskiej”, znajduje się kompleks jeszcze starszych zabytków. Z jednej strony wznosi się „Kopiec Zakładników” – megalityczny grobowiec korytarzowy datujący się z ok. 2000 r. p.n.e. Obok jest prostokątne miejsce, które niegdyś nazwano błędnie „salą bankietową” – dziś uważa się, że znajdowała się tam brama wjazdowa; zbiegały się przy niej liczne prastare szlaki komunikacyjne prowadzące ze wszystkich stron wyspy. Po drugiej stronie widać dwa przylegające do siebie i otoczone dwoma rzędami ro-

³² Skarb z Great Clare, Mooghaun North, hrabstwo Clare.

³³ MacSween, *op. cit.*

³⁴ Fort Navan, hrabstwo Armagh.

wów okrągłe forty. W środku większego nadal wznosi się „Kamień Przeznaczenia” – wyraźnie falliczny w kształcie obiekt o rytualnym znaczeniu. „Fort Królów” jest jedną z kilku tego rodzaju „siedzib królewskich” na „Zielonej Wyspie”. Jego prawdziwe znaczenie polega na tym, że pozostawał siedzibą arcykrólów wyspy nieprzerwanie aż do około 900 r. n.e. Wznosi się wśród „mroku cieniów, tam gdzie spotykają się ze sobą mitologia i historia”³⁵.

I oto nadszedł moment, gdy wypada powiedzieć słowo o naturze i ograniczeniach archeologii. Archeologia jest wspaniałą dyscypliną, której zawdzięczamy gros naszej wiedzy o świecie sprzed historycznych i literackich zapisów. Stosuje coraz bardziej pomysłowe metody i przeprowadza coraz bardziej wyrafinowane analizy. Wykorzystuje zdobycze rozlicznych nauk pomocniczych, od epigrafiki po numizmatykę. Zaadaptowała oszałamiająco szeroki wachlarz procedur technicznych – datowanie radiowęglowe, fotografię z lotu ptaka, badanie DNA. Ale mimo to archeologia nigdy nie zdołała przewyciężyć swojej podstawowej zależności od dowodów materialnych i zawsze będzie się musiała koncentrować na kulturze materialnej. Co więcej, w sposób naturalny zawsze przyciągała grupy naukowców, wśród których wyznawcy filozofii materialistycznej – w tym marksści i *marxisants* – zajmują pozycję pierwszoplanową. W efekcie archeologia mówi nam wiele o dawnych technikach, gospodarkach, społeczeństwach czy nawet o zbiorowych praktykach kulturowych. Natomiast jej poglądy na wyższe sfery ludzkiego życia, takie jak na przykład religia, ogranicza materialny charakter dowodów. Ma niewiele do powiedzenia o jednostkach ludzkich – o ich twarzach, ich osobowości, dziwactwach, uczuciach, pomysłach, aspiracjach.

Jedną z kilku możliwości ucieczki od takich ograniczeń może dostarczyć mitologia, i tu znów przychodzi na pomoc „Zielona Wyspa”. W odróżnieniu od „Krainy Klifów”, która w późniejszych okresach doświadczyła kilku poważniejszych podbojów, skutecznie odcinających jej mieszkańców od wiedzy na temat własnych historycznych korzeni, „Zielona Wyspa” była od czasów prehistorycznych aż do środkowego średniowiecza areną tylko jednej istotnej zmiany cywilizacyjnej, jaką oznaczało nadejście chrześcijaństwa. Folklor i mitologia „Zielonej Wyspy” pozostają w o wiele bliższym związku z wydarzeniami z czasów prehistorycznych niż na sąsiedniej wyspie.

Historycy na ogół trzymają się z daleka od mitologii. Domagają się godnych zaufania źródeł, a nad ustne przekazy zdecydowanie przedkładają dokumenty i wykopaliska. W rezultacie potrafią pisać książki o prehistorii, w których nie ma ani śladu zrozumienia ludzkiej kondycji. Chyba nie pojmują, o co chodzi. Mitologia nie jest może godna zaufania jako źródło informacji w ogólnie przyjętym sensie, ale z pewnością nie jest pozbawiona znaczenia. Chroni niektóre z owych cieniutkich informacyjnych nitczek wiążących czasy historyczne z prehistorią.

³⁵ P. Harbison, *Pre-Christian Ireland: from the First Settlers to the Early Celts*, Londyn 1988, s.191.

Nikomu nie trzeba specjalnie przypominać o niebezpieczeństwach, jakie pociągają za sobą próby łączenia mitu z historią. Nie można też nie brać pod uwagę wynalazków nacjonalistów z epoki romantyzmu czy absurdałnego wielosłowia New Age i neopogańskich komentatorów. Mimo wszystko pozostaje faktem, że w mitach i legendach tkwią, ukryte pośród nic nie znaczących słów, zmyśleń i wytworów czczej fantazji, ulotne echa prehistorycznej przeszłości. Zanim na „Zieloną Wyspę” dotarło pismo, jej mieszkańcy zdążyli się już stać mówiącymi po celtycku chrześcijanami. Ale dobrze wiedzieli, że mają za sobą przedceltycką – i przedchrześcijańską – przeszłość.

Jedno z pierwszych dzieł literatury „Zielonej Wyspy”, „Księga podboju Irlandii”, stawia sobie za cel odnotowanie chronologicznej sekwencji ludów, które składały się na rodowód jej mieszkańców. Jest dziełem średniowiecznych mniichów, których uczono, że świat został stworzony zaledwie cztery czy pięć tysięcy lat przed ich własną epoką, i zawiera dzieje wnuczki Noego Cesair, jej brata Ladry, ojca Bitha i herosa Fintana – jednym słowem, jest to w gruncie rzeczy mit o pierwszych mieszkańcach „Zielonej Wyspy”. Można o nim myśleć, co się chce. Odnoszenie go do jakiegokolwiek współczesnego systemu chronologii byłoby zwykłą stratą czasu. Przez wszystkie pokłady poetyckiej licencji, szarlatanerii, błędnych interpretacji i zmaconej pamięci przewijają się jednak delikatne jak pajęczyna niteczki, z których splata się dziwne, ale fascynujące pasemko prawdy.

Pierwszą wyprawę na „Zieloną Wyspę” zorganizowała ponoć bogini Cesair. Zanim wyruszyła w drogę, nakazała swoim zwolennikom, aby „obrali bóstwo (...) i je uwielbili”. Bóstwo zaś rzekło: „Podejmijcie podróż, wyruszajcie na morze”. Wobec tego Cesair skrzyknęła swoją załogę, która składała się z jej ojca Bitha (czyli Kosmosu), brata Ladry (czyli Starca), sternika Fintana Białego, Syna Oceanu, oraz z pięćdziesięciu dziewcząt służebnych, wywodzących się ze wszystkich nacji świata. Wsiedli na statek i ruszyli w drogę. Po licznych przygodach wylądowali u południowych wybrzeży „Zielonej Wyspy”, u zbiegu „Trzech Sióstr” – trzech rzek wypływających z gór, które wydały na świat wyspę-boginię Ériu.

Cesair zginęła, pochłonięta przez Potop; wody porwały także jej towarzyszy. Bitha poniosły fale daleko na północ, a wraz z nim siedemnaście dziewcząt. Umarł na szczycie góry, którą nazwano jego imieniem, a dziewczęta pochowały go tam pod ogromnym kopcem z kamieni. Ladrę woda poniosła w górę, ku wschodniemu wybrzeżu, wraz z innymi szesnastoma dziewczętami. „Umarł od nadmiaru kobiet” (albo – jeśli wierzyć dopiskowi umieszczonemu przez jakiegoś swawolnego mnicha na marginesie najstarszego rękopisu – „to drzewce wiosła przebiło mu pośladek”). Tak czy inaczej, pochowano go pod wielkim kopcem, zachowanym po dziś dzień. Ladra był „pierwszym zmarłym, który zstąpił w ziemię Erynu”³⁶.

³⁶ Opowieść o Cesair – por. P. B. Ellis, *A Dictionary of Irish Mythology*, Londyn 1987, i tegoż, *Dictionary of Celtic Mythology*, Londyn 1992; M. Dames, *Original Landings* („Pierwsze lądowania”), [w:] *Mythic Ireland*, Londyn 1992, s. 145–149.

Natomiast Fintan wyszedł z tej przygody cało, ponieważ miał zdolność przemieniania się w łososia, jastrzębia i orła. Podczas Potopu przybrał postać skaczącego przez fale łososia, stracił jednak oko – wydziobał mu je polujący jastrząb, który go zaatakował, gdy wyskoczył z wody. Potem przedostał się na środek wyspy, na miejsce, gdzie później na wzgórzu Uisnech miał powstać gigantyczny kamienny krąg. Tam zasadził jagodę, z której wykiełkował święty jesion – drzewo rosnące w samym środku wyspy. To właśnie Fintan wydzielił później na wyspie pięć prowincji. Stał na „Kamieniu Podziału”, na wzgórzu Uisnech, kiedy go zapytano: „Jakoż została podzielona nasza wyspa?”. Odpowiedział na to: „Podług Wiedzy na Zachodzie, podług Walki na Północy, podług Dostatku na Wschodzie, Muzyki na Południu i podług Królewskiego Stanu Pośrodku”. Najważniejsze było jednak to, że Fintan umiał się porozumiewać z ptakami i ze zwierzętami. Przy jakiejś okazji odbył długą rozmowę z Jastrzębiem z Achill, tym, który niegdyś wydziobał mu oko, a któremu on sam opowiedział teraz historię całego swojego życia:

Życie moje przed mrocznym Potopem
Trwało lat piętnaście przez piętnaście.
Zaś po Potopie dał mi Bóg
Lat pięć tysięcy i pięćset³⁷.

Fintan, jedyny, który przeżył katastrofę pierwszego imigranckiego statku, jaki przybył na „Zieloną Wyspę”, był znany późniejszym pokoleniom jako „Fintan mac Bochra” (Fintan, Syn Oceanu) i pod tym imieniem żył w legendach aż do nadejścia epoki chrześcijańskiej. Wtedy, wezwany przez arcykróla, okazał się najstarszym mieszkańcem wyspy, który potrafił opowiedzieć całą jej historię:

(...)
Ja żyłem w Erynie,
[już wtedy] gdy puszcza był Eryn,
nim przybył tam syn Agnomana,
imieniem Nemhedh, łagodny w obyciu.
(...)
Przybyły ludy Fir Bholg i Fir Gailioin;
a było to po bardzo długim czasie.
I przybył lud Fir Dhomhmann,
i osiadł w Irrus na Zachodzie.

Potem lud Tuatha De Dannan
nadszedł w obłokach mrocznych mgieł,
i żyłem pośród nich,
a był to długi żywot.

(...)
Potem zjawili się Synowie Mila,
co szli z Iberii na południe,
i żyłem pośród nich,
a mężni byli w walce.

³⁷ Cyt. wg: E. Hull, *The Hawk of Achill* („Jastrząb z Achill”), [w:] C. Matthews, J. Matthews (red.), *The Encyclopaedia of Celtic Wisdom*, Shaftesbury 1994, s. 75.

Miałem za sobą długi żywot,
nie będę tego skrywał,
gdy przyszła do mnie Wiara
od Władcy ukrytego w chmurach nieba.

Jam jest Fintan Biały,
Syn Oceanu, tego nie ukrywam.
Od czasu, gdy tę ziemię zalał Potop,
Żyję tu, mędrzec wielki i szlachetny.

Wykorzystując tego rodzaju źródła, naukowcy próbują przywoływać świat prehistorycznej kultury, który – zdaniem sceptyków – na zawsze pozostanie poza naszym zasięgiem. Natomiast pewni znawcy mitologii są przekonani, że w mitach i legendach „Zielonej Wyspy” tkwią ukryte fragmenty, które nie tyle mówią o prehistorycznej przeszłości, ile wręcz z niej się wywodzą. Na przykład, zawarta w „Księdze podboju Irlandii” „Pieśń Amhairghina” została rzekomo skomponowana przez największego barda Synów Mıla, którzy – według Fintana mac Bo-chry – mieli przybyć z Iberii. Podawano ją w ustnym przekazie z pokolenia na pokolenie, aż wreszcie w średniowieczu została po raz pierwszy zapisana. Zdaniem uczonych, jej początki sięgają 1268 r. p.n.e.; rekonstrukcji dokonał współczesny angielski poeta:

Jestem jeleniem:	o siedmiu rosochach,
jestem potokiem wód:	który zatapia równinę,
jestem wiatrem:	na głębokim jeziorze,
jestem łżą:	którą gubi Słońce,
jestem jastrzębiem:	wysoko nad skałą,
jestem cierniem:	który tkwi pod paznokciem,
jestem cudem:	ukrytym wśród kwiatów,
jestem magiem:	któż oprócz mnie chłodne czoło rozplómienia dymem?
jestem włócznią:	która woła o krew,
jestem lososiem:	w wodzie,
jestem pokusą:	z rajskiego ogrodu,
jestem wzgórzem:	po którym wędrują poeci,
jestem dzikiem:	złym i bezlitosnym,
jestem falą oceanu:	co niesie groźbę zagłady,
jestem przyływem:	który porywa ku śmierci,
jestem dziecięciem:	któż jak nie ja zerka zza nieociosanego łuku dolmenu?
jestem łonem:	każdej leśnej jamy,
jestem płomieniem:	na stoku każdego wzgórza,
jestem królową:	dla każdego ula,
jestem ochronną tarczą:	każdej głowy,
jestem grobem:	dla wszelkiej nadziei ³⁸ .

³⁸ R. Graves, *The White Goddess: a Historical Grammar of Poetic Myth* (1948), wyd. G. Lindop, Manchester 1997, s. 9. Graves pisał bez ogródek, że „w Anglii edukacja poetycka powinna się rozpocząć nie od *Opowieści kanterberyjskich* Chaucera (...) lecz od *Pieśni Amhairghina*”, *ibid.*

WIEKSZOŚĆ NARODÓW EUROPY ma świadomość, że ich obecne terytorium pozostało kiedyś we władaniu obcych potęg, było zdominowane przez obcą kulturę lub zamieszkane przez inne ludy. Jeśli ich przycisnąć, okazuje się, że Francuzi świetnie wiedzą, iż Francja rozpoczęła karierę dopiero po przybyciu Franków. Włosi orientują się, że starożytni Latynowicze zamieszkiwali tylko niewielką część ich półwyspu, podczas gdy resztę zajmowali Celtowie, Etruśkowie lub Grecy. Hiszpanie nie mogą nie pamiętać, iż Hiszpania zaistniała dopiero po osiemsetletnim panowaniu muzułmańskich Maurów. Węgrzy zdają sobie sprawę, że ich przodkowie przekroczyli w 895 r. n.e. Karpaty i osiedlili się w „Hungarii” – na ziemi, która wcześniej była ojczyzną Hunów. Gdzie tylko spojrzeć na mapę Europy – może z wyjątkiem Islandii – wszędzie widać niezliczone nałożone na siebie warstwy osadnictwa, państwowości i okupacji.

Jednakże dzisiejsze narody i państwa mają silną skłonność do wierzenia, że one same oraz ich przodkowie „posiadali” swoje obecne terytoria od niepamiętnych czasów. Wiara w nierozzerwalną więź „krwi i ziemi ojczystej” stanowiła jedną z najpotężniejszych psychologicznych sił napędowych dziewiętnastowiecznego nacjonalizmu. Europejczycy zostali na wskroś zdoktrynizowani, nabywając przeświadczenia, że każda piędź ziemi w obrębie ich narodowych granic była od zawsze „ich” i wobec tego jest z natury rzeczy „francuska”, „niemiecka”, „polska” i tak dalej. Cieszący się powszechną sympatią guru od prehistorii przyciągali zwolenników, przywołując pojęcie „dziedzictwa przodków”, zachęcając do wymagowanego przeskoku nad rozległymi obszarami czasu, wyolbrzymiając więzi między „nami” i „nimi”, utożsamiając ludy i miejsca z zamierzchłej przeszłości z ludźmi i miejscami z dnia dzisiejszego. „Poprowadziłam [swoich czytelników] (...) ponad szczytami gór i wzdłuż stoków górskich dolin”, słodko gaworzy autorka pionierskiego przewodnika po „prehistorycznej Wielkiej Brytanii”, „(...) wędrowaliśmy, tam i z powrotem, przez sto tysięcy lat minionego czasu”:

Przebyliśmy długą drogę, zarówno w czasie, jak i w przestrzeni, myślę jednak, że udało nam się zobaczyć wszystkie najwspanialsze pomniki dziejów naszych przodków, wszystkie te miejsca, w któ-

rych przeszłość staje się impulsem dla wyobraźni: miejsca, w których niegdyś byliśmy i z których się wywodzimy³⁹.

Dzięki tego rodzaju ewokacjom kontekst, w którym rozwijały się prehistoria i archeologia, nieuchronnie nabrał silnego zabarwienia politycznego. Nacjonalizm zawsze był ukryty bardzo płytko pod powierzchnią. Podejmowano ogromne wysiłki, aby odkryć taką przeszłość, w której dzisiejsi ludzie mogliby znaleźć dla siebie punkt odniesienia; tam, gdzie to się okazywało konieczne, usuwano elementy przeszłości politycznie niewygodne. Pruscy archeolodzy dowodzili ponad wszelką wątpliwość, że odnajdywane na wschodnim pograniczu Prus zabytki z czasów prehistorycznych są germańskie w sposób niepodlegający żadnej dyskusji. Kilkadziesiąt lat później archeolodzy polscy pracujący na identycznym materiale stwierdzali, iż dokładnie te same zabytki są ponad wszelką wątpliwość, i *ab origine*, świadectwem słowiańskiej przeszłości. Żadna strona ani przez chwilę nie zastanowiła się, czy owe zabytki nie są przypadkiem, przynajmniej po części, celtyckie. Starożytni Celtowie znajdują dziś w Europie Środkowej niewielu obrońców. Ale podobne ewolucje wciąż się zdarzają. Od roku 1992, czyli od momentu utworzenia Byłej Jugosłowiańskiej Republiki Macedonii, trwają sprowokowane tym wydarzeniem zaciekle spory z Grecją o klasyfikację i narodowościowe zaszeregowanie starożytnego Królestwa Macedonii.

Jest to dogodny punkt wyjścia rozważań nad dowodzącą spostrzegawczości uwagą, że „każde pokolenie dostaje takie Stonehenge, na jakie zasługuje – lub jakiego pragnie”⁴⁰. Jakie będzie Stonehenge, które sprosta potrzebom następnych tysięcy?

Na początku 1997 roku pewien brytyjski archeolog specjalizujący się w badaniu kamiennych kręgów stworzył hipotezę, która zapowiadała nową odpowiedź. Twierdził on mianowicie, że Stonehenge ma pewne cechy, których nie mają inne kamienne kręgi na Wyspach, i że zatem nie mogło ono być dziełem miejscowych budowniczych. Według niego, „Wielki Krag” został zaprojektowany i wybudowany przez ten sam lud, który wznosił gigantyczne megalityczne budowle w Carnac w Bretanii. Takim oto sposobem, jako że Zjednoczone Królestwo jest czynnym członkiem Unii Europejskiej, pokazowy zabytek Zjednoczonego Królestwa wyruszył w drogę ku europeizacji.

Na szczęście – czy też na nieszczęście – hipoteza doktora Burla nie spotkała się z powszechnym uznaniem. Przeciwnie, wielu profesjonalistów podeszło do niej z wyraźnym sceptycyzmem. Jednym z najbardziej interesujących aspektów całej sprawy był jednak sposób, w jaki o niej mówiono. Nadawszy swemu doniesieniu zadziorny tytuł

³⁹ J. Hawkes, *A Guide to the Prehistoric and Roman Monuments in England and Wales*, Londyn 1951, s. 288–289.

⁴⁰ *Ibid.*, *passim*.

„Coś franc...uskiego: czyżby to starożytni Bretonowie wybudowali Stonehenge?”, „The Times” zawiadomił swoich czytelników, że „największy zabytek Anglii, Stonehenge, jest być może dziełem Francuzów”; „doktor Aubrey Burl twierdzi, iż głazy stawiali nie krzepcy Brytowie, lecz przebywający na wyspie z wizytą galijscy inżynierowie, nadzorowani przez francuskich panów”⁴¹. W artykule pod tytułem „Stonehenge jest francuskim uzurpatorem” zajmujący się tematyką archeologiczną korespondent gazety „The Independent” dał wyraz takiemu samemu gwałtownemu oburzeniu: „Stonehenge – przewspaniały symbol pradawnego dziedzictwa Wielkiej Brytanii – wybudowali nie Brytyjczycy, lecz Francuzi”⁴². Pominąwszy już humorystyczne aspekty całej sprawy, wypada stwierdzić, że resentymenty tego rodzaju do złudzenia przypominają te, jakim dał upust rozwścieczony korespondent grecki, przekazujący najnowsze oświadczenie Departamentu Zabytków Byłej Jugosłowiańskiej Republiki Macedonii. Autorzy doniesień naukowych niewiele staranniej dobierali słowa. Raport opracowany dla Amerykańskiego Instytutu Archeologii zaczynał się od zdania: „Brytyjski uczone twierdzi, że Stonehenge, najszynniejszy prehistoryczny zabytek Anglii, został wybudowany przez Francuzów”⁴³.

Nie sposób nie dostrzec ironii w fakcie, iż sam doktor Burl włączył się w zajadłą dysputę na temat prehistorycznego nazewnictwa. Poświęca wiele wysiłku potępieniu „pseudoantykwaryczności” i „udawanego romantyzmu” uczonych, którzy rzekomo sięją zamęt, odrzucając przyjęte konwencjonalne nazwy miejscowe z czasów prehistorycznych i zastępując je innymi wariantami – świeżo wynalezionymi lub niejasnego, na ogół celtyckiego pochodzenia. Szczególnym obiektem jego ataków stał się pan Magnus Magnusson, znany autor programów radiowych, który we wstępie do książki o Stojących Głazach z Callanish na „Wyspach Peryferyjnych” ośmielił się użyć nowogalijskiej formy „Calanais”⁴⁴. Jak oświadczył doktor Burl, najstarsza zachowana forma nazwy tej miejscowości to ani nie galijskie „Calanais”, ani nie zanglicyzowane „Callanish”, ale staronordyckie „Kalladarnes”, co oznaczało „przylądek, z którego można przywołać prom”. Wydawałoby się, że Wikingowie stworzyli najstarszą warstwę zachowanych do dziś nazw własnych na Hebrydach. I tak jest rzeczywiście. Doktor Burl argumentuje, iż przyjęcie nazwy „Kalladarnes” narobiłoby tyle samo zamieszania, co stosowanie nazwy „Calanais”. *Sugeruje natomiast, że nazwa „Callanish” zdobyła sobie rację bytu dzięki długiemu użyciu.* „Nazwy należy szanować”, powiada. Swojskość i praktyczność mają stanowić

⁴¹ „The Times”, 1 marca 1997; artykuł o Aubrey Burlu, autorze pracy *A Guide to the Stone Circles of Britain, Ireland and Brittany*, New Haven 1995, oraz o jego późniejszej hipotezie, zaprezentowanej w pochodzącym z tego samego okresu numerze „Wiltshire Archaeological Journal”.

⁴² „The Independent”, 1 marca 1997.

⁴³ „Archaeology”, lipiec/sierpień 1997, t. 50, nr 4.

⁴⁴ P. Ashmore, *Calanais: the Standing Stones*, Steórnaabagh 1995. Przedmowa pióra Magnusa Magnussona.

dominujące kryteria. Na przykład, „Stonehenge” jest taką właśnie przyjętą konwencjonalną nazwą. Nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie się zastanawiał nad zastąpieniem jej starszym anglosaskim *Stan-heng* czy jeszcze starszą nazwą łacińską *Circea Gigantum* – „Krag Olbrzymów”⁴⁵. Przecież w końcu Stonehenge pozostaje pod zarządem Komisji Ochrony Angielskiego Dziedzictwa Kulturowego (English Heritage).

No i bardzo dobrze. Przypomina to spory, jakie toczą się na całym świecie. Geografowie sprzeczną się o to, czy najwyższy szczyt w Himalajach powinien być znany jako Mount Everest, jako nepalski Sagarmatha, jako ochrzczony pod wpływem języka chińskiego Czu-mu-lang-ma Feng czy też jako rodzimy, tybetański Czomolungma. Australijczycy debatuje nad tym, czy nasłyniejszy pomnik przyrody i dawnej cywilizacji w Australii powinien nosić angielską nazwę Ayers Rock czy też raczej najbardziej potoczną nazwę Uluru, którą mu nadali aborygeni. Nie ma na te pytania prostej odpowiedzi. Albowiem nazwy własne niosą ze sobą skojarzenia kulturowe, a w pewnych przypadkach zawierają także informację o prawie własności. W kontekście prehistorycznych nazw miejsc położonych na Wyspach w gruncie rzeczy najważniejsze jest to, że żadna z historycznych nazw, jakie im nadawano, nie niesie ze sobą odpowiednich asocjacji. Nazwy konwencjonalne są po prostu konwencjonalne, i nic poza tym. Wszystkie nazwy współczesne, wymyślone na nowo, dlatego że nie znamy ich prehistorycznych odpowiedników, są jednakowo niewłaściwe.

Zacznijmy zatem od początku. Kiedy około 2700 r. p.n.e. na równinie Salisbury wznoszono drugie z kolei stadium Stonehenge, budowla nie mogła się nazywać „Stonehenge”, ponieważ jest to nazwa angielska. Anglicy jeszcze się nie pojawili. Język angielski nie został jeszcze wynaleziony. Równina wprawdzie istniała, ale jej nazwa nie mogła pochodzić od miasta Salisbury, gdyż miasta Salisbury jeszcze nie było. Można przypuszczać, że kiedyś istniał jakiś rok odpowiadający dacie 2700 r. p.n.e., natomiast o żadnej takiej dacie nie można było pomyśleć przed narodzinami Chrystusa, czyli zanim powstało pojęcie „naszej ery”. Nie było kraju, który by się nazywał „Francja”, ani też niczego, co można by uznać za jego odpowiednik; nie było „Anglii”, nie było też „Brytanii” ani „Bretanii”. Jak na razie, nie było również żadnych starożytnych Galów, starożytnych Brytów ani starożytnych Bretonów. I taka jest prawda, nawet gdyby każda z tych późniejszych społeczności wiele zawdzięczała bankowi genów swoich niezidentyfikowanych poprzedników. O życiu na „Wyspach Północnych” w tym okresie epoki prehistorycznej można z całkowitą pewnością powiedzieć tylko dwie rzeczy: że nie było angielskie i że nie było brytyjskie.

⁴⁵ „British Archaeology”, wrzesień 1996, nr 17.

WYSPY MALOWANE

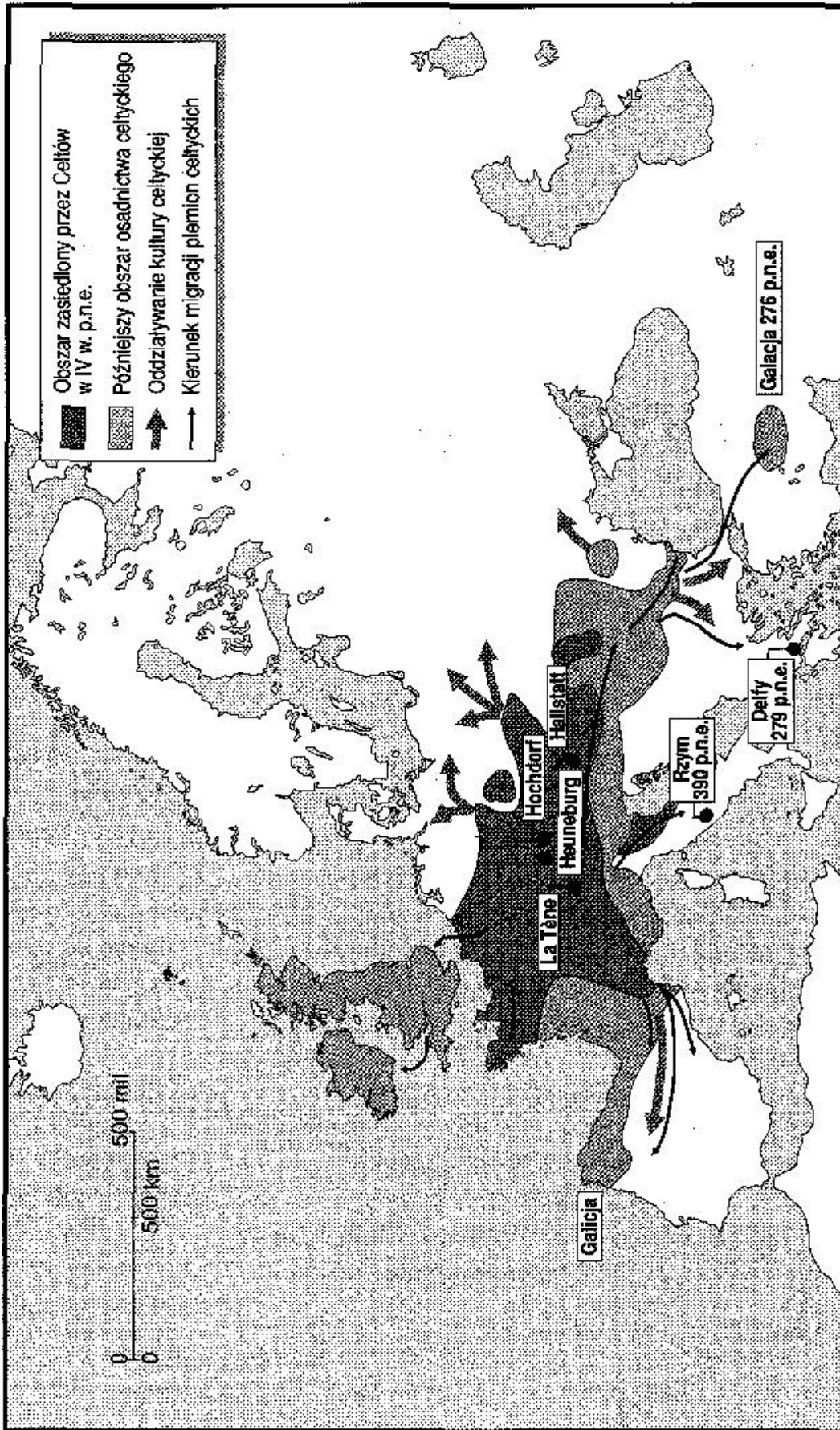
ok. 600 p.n.e.–43 n.e.

... er bod parodrwydd i gredu yn y posibilrwydd bod Pobl y Diodlestri yn siarad iaith Indo-Ewropeaidd ac i ystyried fod Proto-Geltaidd (ta beth yw'r rheini) ym Mhrydain o gyfnod cynnar iawn. Serch hynny, yr uniongreddedd bresennol yw mai grwpiau bychain, heb fod yn ddigon niferus i newid cyfansoddiad hiliol y gymdeithas, ond a oedd yn ddigon grymus a hyderus i fod yn ddiwylliannol arglwyddiaethol, a gyflwynodd yr iaith Geltaidd a hanfodion y diwylliant Celtaidd i Brydain yn y canrifoedd ar ôl 600 CC¹.

Tak oto w brytyjskim podręczniku do historii, opublikowanym ostatnio w Londynie przez jedno z największych wydawnictw, pewien czołowy historyk używa jednego ze współczesnych wariantów języka tego kraju, aby streścić historię początków narodów brytyjskich. Ponieważ starożytni Brytyjczycy stanowili tylko jeden z odłamów o wiele rozleglejszej społeczności celtyckiej, autor pisze o cywilizacji celtyckiej, która dotarła na Wyspy około 600 r. p.n.e. Większość współczesnych czytelników, z których liczni uważają się zapewne za Brytyjczyków, będzie miała niejakię trudności z odcyfrowaniem tego tekstu. Może uda im się wyłowić kilka słów, jak *Indo-Ewropeaidd* (indoeuropejski), *Celtaidd* (celtycki) czy *Brydain* (Brytania), ale to pewnie wszystko. Będą się też zastanawiać, czy *Celtaidd* i *Geltaidd* albo *Brydain* i *Mhrydain*, to te same słowa, czy też raczej błędy drukarskie. Wobec tego na ich użytek ci sami wydawcy przygotowali przekład:

... istnieje pewna tendencja do przyjmowania hipotezy, że lud kultury pucharów mówił jakimś indoeuropejskim językiem i że Protoceltowie (bez względu na to, kim byli) zamieszkiwali Wielką Brytanię od bardzo dawna. Mimo to, jak się dziś uważa, język celtycki i podstawy celtyckiej

¹ J. Davies, *Hanes Cymru*, Londyn 1990, s. 22.



Mapa 3. Celtowie w Europie prehistorycznej

kultury dotarły do Wielkiej Brytanii w ciągu stuleci po roku 600 p.n.e. za sprawą niewielkich grup wędrownych plemion, które nie były tak liczne, aby zmienić zasadniczy skład rasowy ludności, ale wystarczająco potężne i ufne we własne siły, żeby zdominować kulturę...²

Celtyccy Brytyjczycy osiedli na „Wielkiej Wyspie”, podczas gdy inny odłam Celtów, niebrytyjski, zajął „Zieloną Wyspę”. Wspólnie ustanowili celtycką supremację – a właściwie najprawdziwszy celtycki monopol – który miał się utrzymać przez sześć czy siedem stuleci, aż do nadejścia Rzymian.

Jeszcze jedna niedawno wydana książka historyczna, której autor używa współczesnej odmiany innego staroceltyckiego języka, zawiera całą historię wyspiarskich Celtów, od czasów najdawniejszych aż do końca podboju przez Rzymian. Pierwszy akapit, przytoczony poniżej, mówi o wczesnych Celtach w Europie; drugi – o ich umiłowaniu legend i mitów; trzeci wreszcie – o ich przetrwaniu:

Fadó, fadó sular tháinig an Róimh chun cinn ba iad na Ceiltigh a bhí i gceannas ar chuid mhór den Eoraip – ó Éirinn agus ón mBreitain sa tuaisceart, ó dheas go dtí an Fhrainc agus an Spáinn agus chomh fada soir leis na Balcáin agus leis an Tuirc. Ní raibh siad aontaithe faoi rí amháin. Ba iad a dteanga agus a gcultúr a thug le fios gur aon dream amháin iad. Cé gur fada an lá ó tháinig meath ar a gcumhacht tá tionchar theanga agus chultúr na gCeilteach le brath i gcónaí...³

Także tym razem, mimo że książka jest przeznaczona dla młodszych odbiorców, większość przeciętnych czytelników miałaby zapewne trudności ze zrozumieniem tekstu. Może uda im się wyłowić takie słowa, jak *Róimh* (Rzym), *Eoraip* (Europa) czy *chultúr* (kultura), ale to pewnie będzie wszystko. Wobec tego wydawcy przygotowali dla nich przekład:

Dawno, dawno temu, zanim Rzym został potęgą antycznego świata, lud, który nazywamy Celtami, panował nad znaczną częścią Europy. Wpływy Celtów sięgały od Wielkiej Brytanii i Irlandii na północy po Francję i Hiszpanię na południu oraz po Bałkany i Turcję na wschodzie. Jednoczył ich nie wspólny władca, ale jeden język i jedna kultura. Mimo iż minęło wiele wieków, odkąd nastąpił schyłek ich potęgi, pozostały wpływy celtyckiego języka i celtyckiej kultury...⁴

Celtowie uwielbiali opowiadać o swoich plemionach, o swoich wodzach i o swoich bogach. Lubili też wymyślać historie o wymyślonych bohaterach i bohaterkach. Opowieści te przekazywano w słownej postaci z pokolenia na pokolenie, i wiele z nich z pewnością zagubiło się w mrokach niepamięci. Jednakże w Wielkiej Brytanii i w Irlandii niektóre z tych opowieści oraz legend zapisano, gdy przeminęła epoka druidów, i jeszcze dziś można je przeczytać (...).

Literatura irlandzka dostarcza nam największej liczby celtyckich legend. Wiele z nich zapisałi wprawdzie chrześcijańscy mnisi, ale mimo to opowiadają one o dawnych celtyckich bogach i boginiach, a także o śmiertelnikach – herosach i heroinach. Są jednym z naszych najlepszych źródeł wiedzy o ich sposobie patrzenia na życie...⁵

² J. Davies, *A History of Wales*, Londyn 1993, s. 22.

³ H. M. Martell, *Na Ceiltigh*, Baile Atha Cliath 1995, s. 4.

⁴ H. M. Martell, *The Celts*, Londyn 1995, s. 4.

⁵ *Ibid.*, s. 42–43.

Po podboju wysp celtyckich przez Rzymian wielu Celtów przejęło rzymskie obyczaje. Działalność druidów została stłumiona, a ludzi zaczęto zachęcać do wyznawania innych religii, w tym (...) religii chrześcijańskiej.

Kontynent europejski przeszedł bardzo gruntowną „romanizację”. Na niektórych spośród dawnych ziem celtyckich (...) kultura celtycka całkowicie zniknęła (...). Chociaż większość Celtów brytyjskich także przyjęła rzymski styl życia, wiele plemion zajadłe występowało przeciwko rzymskiemu panowaniu. Kultura celtycka przetrwała tu zatem pomyślniej niż na kontynencie europejskim (...).

Mimo że na większości obszaru Europy języki celtyckie całkowicie wymarły, przetrwały one w Wielkiej Brytanii, Irlandii i Bretanii. Wiele z nich odrodziło się w ostatnim okresie, ponieważ ludzie zaczęli w większym stopniu doceniać wagę swego celtyckiego dziedzictwa. Wciąż jeszcze pozostają w użyciu języki irlandzki, gaelicki, walijski i bretoński (...); język mieszkańców wyspy Man i język kornijski wymarły dopiero niedawno⁶.

Nie jest złym pomysłem zacząć od poziomu podstawowego. Niewielu Brytyjczyków uczyło się takich rzeczy w szkole.

W innych miejscach Wysp – w górach Szkocji i na wyspach na dalekim północnym zachodzie – niewielka grupka dzieci wciąż jeszcze uczy się w trzecim z celtyckich języków. Wszystkie podręczniki są napisane po gaelicku. Szkolny atlas, na przykład, otwiera mapa, na której uczniom pokazuje się nazwy i położenie najważniejszych miejsc w ich własnym kraju i w krajach sąsiednich (por. Tabela 1).

Tabela 1. Galijskie nazwy geograficzne na Wyspach

Alba	<i>Scotland</i>
A' Ghaidhealtachd	<i>The Highlands</i> , dosłownie „Ojczyzna Galów”
A' Ghalltachd	<i>The Lowlands</i> , dosłownie „Ojczyzna Obcych”
Innse Gall	<i>The Hebrides</i>
An t-Eilean Sgitheanach	<i>The Isle of Skye</i>
Dùn Eideann	<i>Edinburgh</i>
Glaschu	<i>Glasgow</i>
Eirinn	<i>Ireland</i>
Baile Atha Cliath	<i>Dublin</i>
Eilean Mhanainn	<i>Isle of Man</i>
Sasainn	<i>England</i>
Lunnainn	<i>London</i> ⁷

Korzenie historii Celtów tkwią w ich języku. Albowiem Celtowie byli – i nadal są – zlepkiem ludów mówiących kilkoma spokrewnionymi ze sobą językami. Stanowią grupę językową, a nie narodową, etniczną czy rasową. Co więcej, jak wynika ze świadectwa najstarszych autorytetów, Celtowie zawsze przywiązywali wielką wagę do języka i do kultury, której ten język jest nośnikiem. Swoich poetów

⁶ *Ibid.*, s. 44–45.

⁷ Pisownia galijskich nazw ma bardzo różne warianty, zależne od dialektu i czasu, z którego pochodzą. Por. E. Dwelly, *The Illustrated Gaelic-English Dictionary*, Edynburg 1993; D. S. Thomson (red.), *The Companion to Gaelic Scotland*, Oksford 1983.

zawsze otaczali największym szacunkiem. Ich plemienni wodzowie utrzymywali grono bardów, którzy przechodzili bardzo długie i bardzo skomplikowane szkolenie w zakresie religii i których uprzywilejowanej pozycji społecznej dorównywała może tylko pozycja druidów – członków celtyckiej kasty religijnej. Na nieszczęście dla nas – choć niekoniecznie dla nich samych – przez długi czas przestrzegali zakazu zapisywania, gdyż w słowie pisanym dostrzegali zagrożenie dla swojej ustnej tradycji. Nawet wtedy, gdy wytworzyły się długotrwałe i bliskie kontakty ze znającymi sztukę pisania cywilizacjami Grecji i Rzymu, Celtowie na ogół opierali się pokusie zdobycia tej umiejętności i aż do czasów chrześcijańskich nie uprawiali pisarstwa. W rezultacie świat starożytnych Celtów stał się jedną z owych licznych tajemniczych „zaginionych cywilizacji”. Ponieważ nie zachował się zapis ich głosu, starożytni Celtowie zostali uznani przez pełnych współczucia widzów za „wielki naród złośliwie potraktowany przez historię” lub za „lud, który wyszedł z mroków”⁸.

Języki celtyckie tworzą jedną z gałęzi drzewa genealogicznego rodziny języków indoeuropejskich, obok grup języków germańskich, romańskich, bałtyckich i słowiańskich. Są wśród nich zarówno języki martwe, jak i żywe; wszystkie pochodzą – w takiej lub innej linii – od dawno już wymarłego języka protoceltyckiego, który z kolei był jednym z wczesnych potomków języka protoindoeuropejskiego (por. Dodatek 9). To dziś powszechnie wiadomo. Ale nie zawsze tak było. Dopiero stosunkowo niedawno szkocki uczoney George Buchanan oraz Walijszyk Edward Lluyd (por. s. 113, 117) wykazali, że wszystkie zachowane języki celtyckie wywodzą się z tego samego źródła. Dopiero w XVIII wieku orientalista Sir William Jones (1746–1794), urodzony w Londynie potomek rodziny pochodzącej z miejscowości Llanfihangel na wyspie Anglesey, zatrudniony na stanowisku sędziego w Kalkucie, odkrył bliskie pokrewieństwo sanskrytu z łaciną i greką. Wreszcie, dopiero w wieku XIX niemiecki filolog Kaspar Zeuss (1806–1856) odnalazł ostatni brakujący kawałek układanki, wykazując, że grupa języków celtyckich należy do większej rodziny języków indoeuropejskich. Nie można było kultywować powszechnej świadomości wspólnoty celtyckich korzeni, dopóki nie dokonano wszystkich tych odkryć i dopóki ich nie rozpropagowano. Ale do tego czasu języki celtyckie, poza nielicznymi, już wymarły, a dzieło rekonstrukcji utraconego świata starożytnych Celtów znalazło się przede wszystkim w rękach archeologów.

Warto może w tym miejscu zauważyć, że etykieta „celtycki” jest czymś nie do przyjęcia dla purystów. Współczesna nazwa Celtów wywodzi się od pochodzącego z klasycznej greki słowa *keltói*, które oznacza „obcych”, ale którego autorzy greccy używali na określenie ludów zamieszkujących w pierwszym tysiącleciu p.n.e. środkowe obszary położone w głębi kontynentu europejskiego. A zatem początkowo nie odnosiło się ono do ludów żyjących na obszarach wysuniętych

⁸ D. Norton-Taylor i in., *The Celts*, Nowy Jork 1974; G. Herm, *The Celts: the People who Came out of the Darkness*, Londyn 1976. Por. też P. B. Ellis, *The Celtic Empire: the First Millennium of Celtic History*, Londyn 1990.

dalej na północ i na zachód – w szczególności na Wyspach; przed nadejściem ery współczesnej nauki nie używano go też na określenie celtyckiej grupy językowej jako całości. Jak zwykle, starożytni mieli mit, który zawierał wyjaśnienie tego zjawiska. Celtus – pierwszy Celt – narodził się ze związku swojej matki, Celtyny, z Herkulesem. Rzymianie natomiast używali nazwy *Galli*. Z perspektywy czasu wydaje się, że współcześni naukowcy zrobiliby lepiej, wybierając jako ogólną etykietę zamiast określenia „celtycki” określenie „galijski”. Jest bliższe nazwie, jaką nadaje sobie wielu Celtów: *Gaels*. Ale w czasie, gdy się pojawił ten problem, przymiotnik „galijski” (*Gallic*) był już zarezerwowany dla starożytnej Galii, a (w języku angielskim, podobnie jak w polskim) przez rozszerzenie znaczenia – również dla współczesnej Francji. Wobec tego przyjęła się nazwa „celtycki”. Dziś podnoszą tę kwestię już tylko najbardziej pedantyczni lub najmniej życzliwi z komentatorów. Można natomiast szukać pociechy w tym, że – ogólnie rzecz biorąc – tereny zajmowane przez tych, których Grecy nazywali *keltoi*, pokrywają się niemal dokładnie z mapą archeologicznych wykopalisk; wyznacza ona – zdaniem archeologów – obszary, gdzie w tym samym okresie pojawiła się w Europie charakterystyczna kultura epoki żelaza.

Centrum ziem zajmowanych przez pierwszych Celtów sytuuje się w rejonie górnego Renu, Rodanu i Dunaju, wraz z ich dopływami. Nie może być dziełem przypadku, że wszystkie te rzeki zachowały nazwy pochodzenia celtyckiego. Ich geograficzne umiejscowienie potwierdzają też trzy zdumiewające odkrycia archeologiczne. Pierwsze z nich pochodzi z okresu między rokiem 1846 a 1899; dokonano go w pobliżu dzisiejszego Hallstatt w górach Salzkammergut, miejscowości, która dała nazwę najwcześniejszemu znanemu stadium kultury celtyckiej, sięgającemu ok. 800–700 r. p.n.e. Drugie wykopalisko, w pobliżu dzisiejszej miejscowości La Tene nad szwajcarskim jeziorem Neuchâtel, zostało ujawnione w roku 1874, dając nazwę kolejnej fazie, która rozpoczęła się ok. 450 r. p.n.e. Trzecie odkrycie – w pobliżu miejscowości Vix w Burgundii – wskazuje na silne powiązania północnej Europy z północnymi Włochami. Dwa dalsze niedawne znaleziska stanowią wspaniałe uzupełnienie dotychczasowej wiedzy. Prace wykopaliskowe prowadzone w pobliżu miejscowości Heuneburg w górnym biegu Dunaju przyniosły obraz życia społeczności skupionej wokół fortu i prowadzącej ożywiony handel z Grekami z Marsylii. W tej samej okolicy, obok miejscowości Hochdorf, odnaleziono grób celtyckiego wodza z VI wieku, którego pochowano wraz z końmi, wojennym rydwanem i całym bogactwem wyposażenia⁹.

Wykopaliska prowadzone w bardziej odległych okolicach wskazują, że początkowo zakreślono zbyt ciasne granice jądra celtyckich ziem. Na przykład, w Krainie, w dzisiejszej Słowenii, odnaleziono mnóstwo znakomitych wykopalisk, z których większość trafiła do Zbiorów Meklemburskich Muzeum Peabody'ego w Harvardzie. Czechy także okazały się wdzięcznym miejscem poszuki-

⁹ T. G. E. Powell, *The Celts*, Londyn 1980.

wań celtyckich śladów, a sam kraj zawdzięcza swoją nazwę walecznemu plemieniu z czasów antycznych, nazwanemu przez Rzymian *Boii*¹⁰. Nawet Śląsk i południowa Polska mogą sobie dziś rościć prawo do twierdzenia, że i one leżały w sercu ziem celtyckich na długo przed przybyciem Słowian. Na Śląsku odnaleziono kilka ośrodków kultu religijnego, które mogą mieć związek z Celtami; w Górach Świętokrzyskich w środkowej Polsce wykopano imponujące urządzenia do wytopu żelaza, a rzeki i wsie w okolicach Krakowa często noszą nazwy pochodzenia celtyckiego. Według niektórych komentatorów, w najwcześniejszych legendach o założeniu Krakowa i o walce króla Kraka ze smokiem także pobrzmiewają wyraźnie celtyckie nuty. Natomiast ostatnio odkrycie grobu celtyckiego wodza plemiennego, pochowanego na terenie dzisiejszych Kujaw, na zachód od dolnego odcinka Wisły, dowiodło obecności Celtów daleko na północy¹¹.

Ekspansja świata celtyckiego odbywała się na dwa różne sposoby. Po pierwsze, istnieją dowody migracji i podbojów, dzięki którym Celtowie przemieszczali się w sensie fizycznym, opuszczali pierwotnie zajmowane tereny i osiadali na nowych ziemiach, szczególnie na południu. Na przykład jedna wielka grupa przekroczyła łańcuch Alp i osiedliła się na północy Włoch, gdzie powstał kraj, któremu Rzymianie nadali nazwę *Gallia Cisalpina*. Ci Celtowie złupili Rzym w 390 r. p.n.e. Inna grupa wkroczyła do Grecji i w 279 r. p.n.e. splądrowała Delfy. Grupa trzecia wyruszyła dalej, na południowy wschód, do Tracji, skąd po pewnym czasie przeszła do Azji Mniejszej, gdzie ostatecznie osiadła w prowincji Bitynia, która od tego czasu stała się znana jako *Galatia*, czyli „Ziemia Celtów”. W II wieku celtyckie plemię Helwetów porzuciło ojczyste ziemie na wschód od Alp i osiadło w okolicach Jeziora Genewskiego.

Po drugie, wpływy celtyckie rozszerzały się nie tylko za sprawą wędrówki ludów, ale także przez eksport kultury i języka. W ostatnich stuleciach pierwszego tysiąclecia p.n.e. świat klasyczny odegrał rolę potężnego bodźca w rozwoju handlu poza granicami powiększającego się cesarstwa rzymskiego, Celtowie natomiast byli pośrednikami między światem śródziemnomorskim a ludami z północy i zachodu. W miarę jak wino oraz handlarze winem przenikali na ziemie leżące „poza granicami poznanego świata”, a wraz z nimi docierały na Wyspy sól, niewolnicy i wspaniała biżuteria, język Celtów stawał się najpierw *lingua franca*, a następnie, wraz z upływem czasu, ojczystym językiem ludów żyjących daleko poza granicami swych wcześniejszych ziem¹².

¹⁰ Celtyckie plemię Bojów, od którego pochodzi łacińska nazwa Czech, Boemia (przyp. tłum.).

¹¹ Artykuł *Celtic Tomb Found in Poland* („Celtycki grób odnaleziony na terenie Polski”), „The Times”, 29 sierpnia 1997, podaje, że w grobie pochowano mężczyznę liczącego 189,5 cm wzrostu, który miał przy sobie metrowej długości miecz. Por.: Z. Woźniak, *Osadnictwo celtyckie w Polsce*, Wrocław 1970; J. Rosen-Przeworska, *Spadek po Celtach*, Kraków 1979.

¹² Tezę taką wysuwa w swoim najnowszym przeglądzie B. Cunliffe, *The Ancient Celts*, Oksford 1997; por. też F. Delaney, *The Celts*, Londyn 1986; M. J. Green (red.), *The Celtic World*, Londyn 1995.

Do chwili gdy na scenie pojawił się Juliusz Cezar (zm. 44 r. p.n.e.), Rzymianie zdążyli już podbić celtyckie ziemie Galii Zaalpejskiej i Przedalpejskiej oraz Iberię. W swojej *Wojnie galijskiej* Cezar opisał wojenne kampanie mające na celu wchłonięcie pozostałych terenów zamieszkiwanych przez zachodnie plemiona Celtów. „*Gallia* – oświadczył w jakże dobrze znanych słowach – *est omnis divisa in partes tres*”: „cała Galia dzieli się na trzy części”. Przedzierając się przez kraj Celtów podczas swoich trzech brutalnych kampanii, zauważył, że liczne plemiona galijskie mówią odmiennymi i niezrozumiałymi dla siebie wzajemnie dialektami. Zdecydował również, że podbite galijskie plemiona będzie mu najłatwiej podporządkować, jeśli opanuje także ich celtyckich krewniaków z sąsiednich Wysp. W rezultacie zorganizował dwie ekspedycje, w dwóch kolejnych latach – 55 i 54 p.n.e. Przyszedł, zobaczył, nie zwyciężył; natomiast wziął jeńców, wycofał się i ogłosił triumf. Wyruszył na południe, ku Alpom, i rzucając losowi wyzwanie, przekroczył ponownie granicę Republiki Rzymskiej na Rubikonie, skąd nie miał już odwrotu.

Świat klasyczny znał Wyspy pod różnymi imionami. W V wieku p.n.e. Herodot nazwał je *Nésoi Kassiterides* – „Wyspami Cynowymi” – choć ich położenie opisywał w sposób, łagodnie mówiąc, niejasny. Przez kilka stuleci Kartagińczykom udawało się utrzymywać blokadę żeglugi na wodach poza Słupami Herkulesa; w celu ochrony własnego, lukratywnego handlu metalem. Mimo to w IV wieku przynajmniej jeden grecki żeglarz, Pyteasz z Marsylii, przedostał się przez kordon, a potomnym pozostawił zapis tej podróży. Nazwy, które zanotował, mają wyraźnie celtyckie brzmienie: *Pretaniké* jako nazwa Wysp w ogóle, *Ierne* dla mniejszej wyspy, leżącej na zachodzie, i *Nesos Albionon* dla większej, na wschodzie. To mogłoby się okazać decydujące, gdyby nie fakt, że oryginalny tekst Pyteasza zaginął i przetrwał jedynie we fragmentach pochodzących z o wiele późniejszego czasu. Uczeni mają zatem ogromne pole do popisu; mogą podważać rzetelność źródeł i spekulować na temat rozmaitych wariantów, konotacji i transformacji poszczególnych nazw. Mimo to jednak – chociaż szczegóły nadal pozostają pod znakiem zapytania – podstawowe dcrywaty robią dość wiarygodne wrażenie. Grecka *Ierne*, która później pojawia się jako łacińska *Hibernia*, jest najwyraźniej klasyczną transkrypcją celtyckiej nazwy, poprzedniczką współczesnej irlandzkiej *Éire* lub *Erin*. Rufus Avienus mówi o niej jako o „Świętej Wyspie” zamieszkaną przez plemię Hiernów. Natomiast grecki *Albionon* został łacińskim *Albionum*. Bez względu na to, czy przyjmie się etymologię rzymską, czy też celtycką (por. s. 86–87), wydaje się bardziej niż prawdopodobne, że inspiracją dla nazwy *Albion*, zachowanej do czasów współczesnych, były owe wspinałe białe klify, których widok wita każdego przybysza. Natomiast nazwa *Pretaniké*, która w łacinie przyjęła formę *Britannia*, jest wyraźnie spokrewniona z walijskim *Prydain*, oddalonym tylko o krok od współczesnej angielskiej nazwy *Britain*. Etymolodzy łączą ją z celtyckim słowem oznaczającym „malowana”, „kolorowa”, co da się skojarzyć ze znanym zwyczajem wyspiarzy, którzy malowali sobie ciała urzetem. Wobec tego nie byłoby niczym niewłaściwym, gdyby anglojęzyczni historycy tego okresu mówili o „Wyspach Malowanych”.

CELTYCCY MIESZKAŃCY WYSP, czyli „wyspiarscy Celtowie”, zdecydowanie mieli ze sobą wiele wspólnego; byłoby jednak rzeczą niewłaściwą sądzić, że tworzyli jeden homogeniczny naród. Przeciwnie – byli podzieleni na zażarcie zwalczające się plemiona. Ludy zamieszkujące Éire pod kilkoma względami różniły się od ludów z Albionu. Nie jest też bynajmniej pewne, czy plemiona z dalekiej północy Albionu rzeczywiście zdążyły się już dostać w orbitę celtyckich wpływów. (Znane dziś pod nazwą „Piktów”, od łacińskiego *Picti*, plemiona te zachowały atrybuty „malowanego ludu” jeszcze wtedy, gdy inni już dawno je utracili; por. s. 146).

Przed wszystkim zaś – choć nie ma na to żadnych pisanych dowodów – istnieją chyba wszelkie powody, aby przypuszczać, że celtycki język Albionu zaczął się już wtedy różnić od języka Éire. W którymś okresie prehistorii, jako element głównego nurtu językowej ewolucji, nastąpiła najważniejsza przesuwka spółgłoskowa; w efekcie powstały dwie odmiany: starsza grupa „Q” (zwana także goidelską lub gaelicką) na Éire oraz młodsza grupa „P” (zwana brytońską) – w Albionie i w Galii. Skutki przesuwki zachowały się do dzisiaj, a jej najprostsze formy dobrze ilustrują wyrazy irlandzkie i walijskie:

Tabela 2. Q (grupa gaelicka) i P (grupa brytońska)

Q (irlandzki)	P (walijski)	odpowiednik polski
<i>mac</i>	<i>map</i>	syn
<i>clann</i>	<i>plentyn</i>	dzieci
<i>ceann</i>	<i>pen</i>	głowa
<i>ceathair</i>	<i>pedwar</i>	cztery
<i>cúig</i>	<i>pump</i>	pięć

W odpowiednim czasie, czyli w pierwszym tysiącleciu n.e., języki gaelickie i brytońskie miały się jeszcze bardziej różnicować. Z grupy gaelickiej wyłoniły się języki *ghailge* (współczesny irlandzko-gaelicki), *gaidligh* (szkocko-gaelicki)



Mapa 4. Plemiona celtyckie na Wyspach

i *gailck* (manx: język gaelicki mieszkańców wyspy Man). Z grupy brytońskiej natomiast wywodzą się języki kumbryjski, *cymraeg* (walijski), *kernuak* (kornwalijski) i *brezonek* (bretoński); (por. Rozdz. IV). Należy wszakże pamiętać, że przesuwka spółgłoskowa Q>P była tylko jedną z wielu i że niektórzy filolodzy uważają podział na „grupę Q” i „grupę P” za niczym nie uzasadnione nadmierne uproszczenie. Najnowsze wydanie „Encyklopedii brytyjskiej” całkowicie odrzuca tę tradycyjną klasyfikację¹³.

Z tego wszystkiego wynika interesująca obserwacja, że odkrywając nazwę *Pretaniké*, Pyteasz z Marsylii musiał rozmawiać wyłącznie z Celtami z grupy P. Czerpał informacje ze „źródła P” albo w Albionie, albo – co też jest możliwe – na wybrzeżach kontynentu. (W poszukiwaniu kopalni cyny odwiedził małą wysepkę o nazwie Ictis, gdzie kupcy nabywali rudę cyny – mogła to z powodzeniem być Góra św. Michała w Kornwalii). Gdyby rozmawiał z Celtami z grupy Q, powiedziano by mu, że Wyspy zamieszkują nie „Prytowie”, lecz na przykład „Kurytenowie” lub „Krutenowie”. Przekładając to na swoją ojczystą grekę, nie otrzymałby nazwy *Pretaniké*, lecz coś w rodzaju *Krutheniké*. Rzymianie zaś nie przerobiliby tego na *Britanni*, lecz na „Cruteni”. Ostatecznie mielibyśmy nie „Brytów”, lecz „Krutów”¹⁴. Z jakiegoś powodu „krutyjski” brzmi mniej swojsko niż „brytyjski”; są jednak dziś i tacy, którzy uznają istnienie prehistorycznych Krutenów za pewnik.

W sprawie początków i pochodzenia wyspiarskich Celtów spierają się ze sobą zwolennicy licznych teorii – zarówno dawnych, jak i współczesnych. Swego czasu archeolodzy opowiadali się za poglądem, że granice kultur materialnych pokrywają się z granicami etnicznymi. Jako przyszlých „Protoceltów” lub przodków Celtów wymieniano najpierw Pucharowców, a potem ludy kultury pól popielnicowych. Ale dziś ta hipoteza upadła, a istotnym argumentem okazały się względy chronologiczne. Tylko nieliczne spośród uznawanych autorytetów skłonne są obecnie twierdzić, że Celtowie dotarli na Wyspy wcześniej niż w pierwszych stuleciach pierwszego tysiąclecia. Co więcej, na Éire jest stosunkowo niewiele pozostałości świadczących o powiązaniach z kulturami halszacką czy lateńską. A to nieco psuje uogólnienia archeologów.

Znawcy mitologii mają nieco więcej do zaoferowania, choć i tu w żadnej sprawie nie może być stuprocentowej pewności. Jeśli idzie o Éire, to najczęściej wskazują na legendarnych Synów Milla, których „Księga podboju Irlandii” wymienia jako czwartą falę najeźdźców „Zielonej Wyspy” (por. s. 68–70). Sugerują zatem istnienie długiego okresu przedmilskiego i nieceltyckiego osadnictwa. Mil, znany również jako Gołamh, a z łacińska Milesius, później pojawia się jako Mil Espaine, czyli „Żołnierz z Hiszpanii”. Jest powszechnie uważany za legendarne uosobienie celtyckiej imigracji z Iberii. Gdyby to była prawda, łatwiej dałoby się

¹³ *Encyclopaedia Britannica*, CD, 1998.

¹⁴ W. Lipoński, *Narodziny cywilizacji Wysp Brytyjskich*, Poznań 1995: *Dlaczego wyspy Brytyjskie, a nie Krutyjskie?*, s. 91–95.

wythumaczyć odrębność językową grupy Q na „Zielonej Wyspie”. Według irlandzkiej legendy, Mil wyruszył na wyprawę, aby pomścić śmierć bratanka, którego zamordowali poprzedni władcy wyspy, lud Tuatha Dé Danann. Mil jednak także zginął, podobnie jak jego druga żona Scots, i zadanie podboju wyspy spadło na ich synów: Ebera, Eremona i Amhairghina. Amhairghin był jednocześnie wojownikiem i poetą. To on jest autorem słynnej pieśni, zapisanej w „Księdze podboju Irlandii”, i on orzekł, że jurysdykcja na wyspie ma zostać podzielona między jego braci. Kiedy Eber się sprzeciwił, zginął w wyniku starcia z Eremonem, który został w efekcie jedynym wodzem Synów Milla i pierwszym *ruire* („arcykrólem”)¹⁵ Tary. Matkę Eremona Scots upamiętnia „Polana Scotii” (*Scotia's Glen*) w pobliżu miejscowości Tralee w hrabstwie Kerry.

Wiele zamieszania spowodowało pojawienie się dwóch mitologicznych postaci, dam o tym samym imieniu „Scota”, przedstawianych jako córki (różnych) egipskich faraonów. Pierwsza Scots, żona Milla, miała być córką nieznanego faraona Nectanebusa. Druga Scots, rzekomo córka znanego skądinąd faraona Cingrisa, poślubiła w Egipcie przybysza z „Zielonej Wyspy”. Potem, wraz z mężem i małym synkiem Goidelem, udała się do ojczyzny męża. Jest to jeden z oczywistych przykładów, że dawne pogańskie legendy często splatały się z późniejszymi opowieściami chrześcijańskimi i hebrajskimi. Małego Goidela uzdrowił ponoć Mojżesz. Jasne jest, że od najdawniejszych czasów Gallowie z Éire woleli się nazywać „Szkotami” i że jedna z dwóch Scot – a może obie – uważana była za matkę ich plemienia. Rzymianie nazywali ich *Scotii*. Natomiast syn Scoty II, Goidel, dał imię zarówno wszystkim Galom, jak i – dzięki pomysłowości współczesnych językoznawców – grupie języków, którymi Galowie mówili: są to języki goidelskie, czyli należące do grupy Q języków celtyckich.

Ustalenie daty przybycia Synów Milla na „Zieloną Wyspę” wydaje się prawie niemożliwe. Nie znaczy to jednak, że uczeni nie próbują tego zrobić. Jeszcze w 1911 roku autor hasła w „Encyklopedii brytyjskiej” stwierdził kategorycznie, że fakt ten wydarzył się w 3500 *anno mundi*, czyli 3500 lat po stworzeniu świata, to znaczy mniej więcej w roku 504 p.n.e.¹⁶

W Albionie zapisy mitologiczne sięgały o wiele dalej wstecz, licząc od czasu przybycia Celtów, niż na Éire. Średniowieczny kronikarz Geoffrey z Monmouth przekazuje opowieść, w której Albion pojawia się jako olbrzym, syn panującego na wyspie boga morza. Irlandzka legenda opowiada o pewnym uciekinierze z Nemedii, wojowniku imieniem Brytan; przepłynął on przez morze po bitwie na Wyspie Tory i dał imię wyspie, na której wylądował. Ale historia ta wygląda podejrzanie, jakby została spreparowana dawno *post factum*. Raphael Holinshed (zm. 1580), który wykorzystał liczne materiały z okresu dzielącego jego czasy od tamtych

¹⁵ *Ruire, re tuath, rid, ard rí* – „wielki król, arcykról”, władca sprawujący formalną kontrolę nad kilkoma pojedynczymi państewkami (przyp. tłum.).

¹⁶ *Encyclopaedia Britannica*, wyd. 11, t. 14: *Ireland - Early History* („Irlandia – początki historii”), s. 758.

wydarzeń, przytacza taką oto opowieść: pierwszymi mieszkankami Albionu były księżniczka Albina i jej pięćdziesiąt towarzyszek, które uprzednio pozabijały swoich mężów. Trudno doszukać się w tym jakiegokolwiek sensu, choć owa grupa towarzyszek przywodzi na myśl załogę statku Cesair (por. s. 68). Morał wydaje się oczywisty: Éire i Albion nie miały wspólnych podstawowych mitów.

Analogiczną rozbieżność sugerują wykopaliska archeologów. Kultura halsztacka, słabo reprezentowana na Éire, jest dobrze udokumentowana na południowym wschodzie Albionu. Nieco później kultura lateńska także zaznaczyła swą obecność na tych samych terenach – w postaci typowych dla siebie form pochówku oraz wspaniałych wyrobów z metalu. Potwierdzałoby to oczywisty fakt, że Albion miał ściślejsze związki materialne i kulturowe z Celtami z kontynentu niż z Éire.

Celtowie niewątpliwie panowali nad Wyspami przez niemal tysiąc lat. Ich obecność na tych obszarach sięga początków pierwszego tysiąclecia p.n.e. Uczeni zgodni są co do tego, że – po długim okresie penetracji – do roku 600 p.n.e. Celtowie zdołali już ustalić swoją pozycję na Wyspach. Po czym panowali tam, nie zagrożeni przez nikogo, aż do I wieku n.e. Jest to okres dłuższy niż wszystkie te, które były udziałem późniejszych władców. Po najeździe Rzymian Celtowie kontrolowali większość obszaru Wysp jeszcze przez następne tysiąclecie. Nie byli więc po prostu jedynie przemijającym epizodem czy nieistotnym preludium.

Do niedawna badacze prehistorii rozwodzili się nad opisami celtyckich podbojów. Oto krwiożerczy „halsztacy wojownicy” wylądowali na wyspie, wymachując ogromnymi żelaznymi mieczami i pędząc przed sobą wszystko, co żyło. Wyznaczono kolejne stadia: stadium A – inwazja; stadium B – osadnictwo; stadium C – asymilacja. Potem, „gdy pierwsi halsztacy osadnicy przybywali na tę ziemię, ich krewniacy (...) na południu Niemiec budowali nową kulturę, która miała się stać wyrazem najwyższych osiągnięć pierwszych Celtów”. W odpowiednim czasie pojawiła się następna fala – jeszcze bardziej krwiożerczych i jeszcze bardziej wyrafinowanych – wojowników:

Wydaje się, że około roku 250 p.n.e. grupy takich wojowników zaczęły (...) się przedostawać drogą wodną do Brytanii, wyruszając prawdopodobnie od ujścia Sekwany i wioząc ze sobą na Wyspy nieznaną dotąd kulturę lateńską, która właśnie tu miała wydać swoje ostateczne i najdojrzalsze owoce.

Ich przybycie budziło ponoć „konsternację wśród brytyjskich chłopów”¹⁷.

Dziś odrzuca się taką wizję wydarzeń. Celtowie z kontynentu dokonywali nie tyle podbojów, ile infiltracji i penetracji. Nie wypierali miejscowej ludności. Mieszali się z nią i stapiali, aż z czasem zdobyli przewagę kulturową. Stadia transformacji kulturowej pozostają niejasne, wiadomo jednak, że języki celtyckie

¹⁷ J. Hawkes, Ch. Hawkes, *Prehistoric Britain*, Londyn 1947, s. 129–131.

i celtycka kultura rozszerzyły się na całą wyspę. W miejscach bardziej odległych zachowały się zapewne enklawy kultury przedceltyckiej – być może aż do czasów chrześcijańskich. Istnieją wzmianki o buncie podbitego i zmuszonego do składania hołdu ludu Fir Bolg, który wystąpił przeciwko swoim władcom jeszcze w I wieku n.e. Ale nikt ze specjalistów nie kwestionuje faktu, że Wyspy pozostawały pod przeważającym wpływem kultury celtyckiej już na długo przed epoką rzymską.

Historycznych zapisów dotyczących owych stuleci właściwie nie sposób przywołać, zwłaszcza jeśli chodzi o Albion. W stosunku do Éire da się jeszcze zebrać to i owo, próbując oddzielić pierwiastki historyczne od wytworów fantazji w poszczególnych cyklach mitologicznych oraz w genealogiach władców i listach kolejnych królów, które recytowali bardowie późniejszych epok¹⁸. Nie ulega wątpliwości, że owe pochwalne genealogie, które tworzone, wysławiając znakomite pochodzenie królewskich patronów, zawierają znaczną domieszkę czystej fantazji. Wielcy irlandzcy wodzowie średniowiecza usilnie starali się dowodzić swego pochodzenia od celtyckich bogów, od Noego lub od egipskich faraonów. Natomiast wtedy, gdy imiona herosów oraz nazwy plemion i pól bitewnych powracają w prawdopodobnych sekwencjach, zwłaszcza jeśli opisy dotyczą mniej odległych stuleci, można sensownie założyć, że u ich podstaw tkwią ziarna prawdy. Im bardziej owe genealogie zbliżają się do czasów historycznych, w tym większym stopniu fakty zaczynają przeważać nad fikcją. Powszechnie praktykowana jest sztuka odgadywania dat przez ustalanie sekwencji pokoleń i porównywanie list władców. Nie trzeba nikomu wyjaśniać, że wyniki takich rozrywek umysłowych są równie barwne, jak niepewne. Historycy o skłonnościach do naukowej ścisłości w ogóle je odrzucają. Mimo to jest w nich dość wiarygodnego materiału, aby zasługiwały na uwagę. Według irlandzkich bardów, pochodzący z ludu Fir Bolg władca imieniem Slaighe był pierwszym *ard rí*, czyli arcykrólem Éire. Od czasu objęcia przez niego tronu aż do I wieku n.e. panowało stu siedmiu arcykrólów – dziewięciu z ludu Fir Bolg, dziewięciu z ludu Tuatha Dé Danann i osiemdziesięciu dziewięciu z ludu Synów Mila. Po buncie na początku I wieku n.e. ponownie ustanowiono instytucję arcykróla i długi łańcuch osiemdziesięciu jeden władców ciągnął się nieprzerwanie aż do nieszczęsnego Ruaidhrí Ua Conchubaira (Rory O'Connora), który w roku 1175 złożył hołd królowi Anglii Henriemu Plantagenétowi. Był to więc długi okres władzy.

Naturalnie nie można być pewnym, że wszystkie imiona na listach królów są imionami postaci historycznych, a tym bardziej, że do historycznych zaliczają się tradycyjnie kojarzone z nimi daty. Należy też zdawać sobie sprawę z anachronizmu, który przyznaje wodzom plemiennym z czasów prehistorycznych taki sam status, jakim cieszyli się arcykrólowie we wczesnym średniowieczu, kiedy two-

¹⁸ Cztery wielkie cykle literatury celtyckiej: mitologiczny, ulsterski, feniański i królewski. Por. Lipoński, *op. cit.*, s. 58–76 (przyp. tłum.).

rzonó owe listy. Bez względu na to, ile jest prawdy w relacjach o ustanowieniu władzy Synów Mila w Tarze – której nazwa pochodzi od imienia żony Eremona Tei – należy uznać za prawdopodobne, że był to jakiś jeszcze starszy ośrodek religijnego rytuału, przystosowany do nowych funkcji politycznych, i że owi pierwsi arcykrólowie nie byli w stanie egzekwować swojej władzy na terenach wykraczających poza najbliższą okolicę. Według legendy, Lia Fál, czyli „Głaz Przeznaczenia”, na którym dokonywano koronacji arcykrólów, sprowadził na Éire lud Tuatha Dé Danann. Podobno głaz wydawał potężny ryk radości, gdy poczuł na sobie dotknięcie stopy prawowitego władcy.

Śledząc prehistoryczne genealogie pochwalne irlandzkich bardów, nie sposób oprzeć się fascynacji, jaką budzi stopniowe przechodzenie owych władców ze świata bóstw i duchów do świata rozpoznawanego jako rzeczywisty. Na przykład, taki Conaire Mór (Conaire Wielki) z pewnością nie mógł być postacią historyczną. Był synem boga ptaków Nemglana, ściągnął na siebie gniew bogów, łamiąc religijny zakaz („osobiste tabu” – *gesa*) i zginął w bitwie. Natomiast Ollam Foola, numer osiemnasty na liście arcykrólów, miał wstąpić na tron w roku 714 p.n.e.; jemu właśnie kraj zawdzięcza ponoć swój pierwszy kodeks praw. Podobno został pochowany w Tailtín. *Ollam* (także *ollav* lub *olam*) był to jednak również najwyższy stopień w siedmiostopniowej hierarchii irlandzkich bardów. Prawdziwe znaczenie tej mglistej postaci może zatem polegać na tym, że był przykładem podwójnej roli króla – jako władcy i jako najwyższego rangą poety. Natomiast Tigernmas, czyli „Władca Śmierci”, miał ponoć zainicjować pełen okrucieństwa kult bóstwa zwanego Crom Cruach („Krwawym Półksiężycem”), uprawiany na tzw. Równinie Zrzucania. Władca zginął podczas gwałtownego buntu, jaki wybuchł w czasie obchodów święta Samhain¹⁹, gdy oddawano cześć jego własnemu bóstwu. Ugaine More, którego panowanie miało przypadać na V wiek p.n.e., poślubił galijską księżniczkę. Przez krótki okres jego włości obejmowały zarówno Éire, jak i Galię. Ale po śmierci króla wyspa została podzielona na dwadzieścia pięć części między jego dwadzieścioro pięcioro dzieci i ponownie się zjednoczyła dopiero po upływie trzech stuleci. Mongruad, czyli „Macha z Rudymi Warkoczami”, widnieje na listach pod numerem siedemdziesiątym siódmym; tron objęła w 377 r. p.n.e. Nosiła imię Machy, bogini wojny, swego czasu małżonki Nemeđa; niektóre źródła przyznają jej atrybuty boskie. Miała jednak na swoim koncie także sporo całkiem ziemskich osiągnięć. Kazała usypać *Ard Macha* („Kopiec Machy”) – przyszły ośrodek druidyczny Armagh – oraz ustanowiła pobliski fort Emain Macha (Navan Fort) stolicą Ulsteru. Założony przez nią szpital, Bron-Bherg, czyli „Dom Smutku”, miał ponoć przetrwać aż do roku 22 n.e., kiedy zniszczył go pożar²⁰.

¹⁹ Stare święto celtyckie, obchodzone 1 listopada jako „koniec lata” (*sam-fuin*); (przyp. tłum.).

²⁰ F. J. Byrne, *Irish Kings and High-kings*, Londyn 1973; T. F. O’Rahilly, *Early Irish History and Mythology*, Dublin 1946. Por. też P. B. Ellis, *The Dictionary of Celtic Mythology*, Londyn 1992.

Rozważając dzieje Irlandii na tym na pół legendarnym tle, historycy powinni zapewne przywiązywać większą wagę do lepiej udokumentowanego istnienia pięciu prowincji niż do dość mglistego pojęcia nominalnej jedności. Irlandia była podzielona na *fifths* („części piąte”) od czasów przedceltyckich; rywalizacja między herosami i plemionami zamieszkującymi poszczególne prowincje stanowi główny wątek dziejów wyspy. Leżąca na północy prowincja Ulaidhster (*Fifth of Ulaidh*, czyli Ulster) została ponoć założona przez syna Partholana²¹ – Rudraidhe; jego lud występował początkowo jako klan Rudraidhe, czyli „Rudrykanie”. Dotyczące ich wydarzenia są szczególnie dobrze znane z tzw. cyklu ulsterskiego (omawianego w anglojęzycznej literaturze pod tytułem „Wojownicy Czerwonego Znak”) – Ulsterczycy odgrywali wybitną rolę w dziejach Éire aż do XVII wieku, gdy tradycyjna ulsterska społeczność uległa zniszczeniu (por. Rozdz. VIII). Położona na zachodzie prowincja Connaught (*Fifth of Cruchain*, czyli Connacht) była główną rywalką Ulsteru. Przez rekordowy okres osiemdziesięciu lat rządziła nią królowa Medb, i tam też rozgrywa się akcja głównej opowieści cyklu ulsterskiego, *Táin Bó Cúailnge* („Wyprawa po byka Cúailnge”, por. s. 106–107). Usytuowana na południowym wschodzie prowincja Leinster (*Fifth of Laighin*) była wcześniej znana jako „prowincja galijska”. Znajdowała się najbliżej Albionu i łączyły ją z nim najsilniejsze związki. Nad południowo-zachodnią prowincją Munster (*Fifth of Mumha*) dominowały wysokie góry i dziki brzeg oceanu. Legendy często łączyły ją z Tamtym Światem, a jej zatoki i plaże prowadziły do zatopionej Krainy Zmarłych. Położona w centrum wyspy prowincja Meath (*Fifth of Mide*) miała jedynie lokalne znaczenie – aż do pierwszego stulecia n.e., kiedy jako „Królewska Prowincja Meath” stała się najpotężniejszą prowincją Éire. To, że Meath – gdzie znajdowała się siedziba arcykrólów Tara – zdobyło sobie tę pozycję dopiero w tak późnym okresie, zwiększa prawdopodobieństwo tezy, iż we wcześniejszych stuleciach urząd arcykróla miał znaczenie nie tyle wojskowe czy polityczne, ile przede wszystkim symboliczne.

Można by sądzić, że zapisy historyczne dotyczące Éire będą o wiele szczuplejsze niż zapisy na temat Albionu. Przecież Éire była z konieczności bardziej niż Albion osłonięta od wichrów przemian wiejących z kontynentu. Tymczasem – jak zauważa brytyjski historyk Hugh Kearney – charakterystyczny jest właśnie brak brytyjskich zapisów z Albionu: „Jesteśmy w paradoksalnej sytuacji: wiemy więcej o »tradycyjnych« obszarach świata celtyckiego niż o tym jego sektorze, który uchodzi za »kolebkę nowoczesności«”²². Pesymiści mogliby dojść do przekonania, że nie bardzo jest o czym mówić. Historycy, którzy muszą jakoś usprawiedliwić swoje istnienie, zawsze jednak coś sobie wynajdą.

Plemionami celtyckimi, których obecność w Albionie jest dobrze udokumentowana już w odniesieniu do pierwszego tysiąclecia p.n.e., byli pierwotni pradaw-

²¹ Partholan – legendarny przywódca drugiej inwazji na Irlandię (przyp. tłum.).

²² H. Kearney, *The British Isles: a History of Four Nations*, Cambridge 1989, s. 20.

ni Brytowie. Mówili językiem brytońskim, odmianą należącą do języków celtyckich grupy P, i – być może z wyjątkiem obszarów leżących daleko na północy – zajęli teren całej wyspy. Byli blisko spokrewnieni z kontynentalnymi Galami. Niestety, ich imiona znane są jedynie w wersji zlatynizowanej, pochodzącej od autorów epoki klasycznej lub od późniejszych zdobywców tych ziem; od samego początku nadają zatem wszelkim dyskusjom fałszywy ton (por. Mapa 4, s. 84). Podejmowano wprawdzie próby rekonstrukcji form celtyckich, ale większości archeologów i badaczy prehistorii jest zupełnie wszystko jedno. W kilku przypadkach etymologia nazw plemion jest oczywista, w wielu innych natomiast pozostaje niewyjaśniona. Plemię „Miotaczy Młotów” występuje w łacińskiej wersji jako *Ordovices* (Ordowikowie); Brygantowie – „Lud ze Wzgórz” – których nazwa pochodzi od celtyckiego wyrazu *briga* („wzgórze”) – to łaciniści *Brigantes*. *Catuvellani* z jakiegoś powodu wzięli swoją nazwę od wyrazu *catu* („bitwa”) – może więc byli „Ludem Wojowników” lub „Zwycięzców”. *Belgae* są być może w jakiś sposób spokrewnieni z irlandzkim ludem Fir Bolg – „Ludźmi z Bagien”. Ale dokładnych powiązań nie da się już dziś ustalić. Proponowano, aby tłumaczyć tę nazwę jako „Wyniośli”. Z kolei *Dumnonii* to „Ludzie z Głębin”, lecz trudno powiedzieć, czy nazwa ta ma związek z kopalniami, z połowem ryb, z Tamtym Światem czy z czymś jeszcze zgoła innym. Belgijscy *Atrebates* byli plemieniem „Osadników”, a ponieważ plemię to miało swój odpowiednik o tej samej nazwie w północnej Galii, można założyć, że byli ludem wędrownym. Z kolei *Cornovii* to „Lud Rogaty” – być może ich wojownicy nosili rogi na hełmach, może zamieszkiwali krainę w kształcie półksiężyca, może oddawali cześć jakiemuś rogatemu bóstwu, a może rozwiązanie zagadki leży jeszcze gdzie indziej. Uważa się, że nazwy dotąd niewyjaśnione w większości wiązały się z jakimiś dawno już zapomnianymi bóstwami i plemiennymi totemami.

Był czas, kiedy nadawano wielkie znaczenie predyspozycji pradawnych Brytów do wojennego rzemiosła, ich rzekomemu zamiłowaniu do kłótni i sporów, a w efekcie – także ich morderczej broni, wspólnej dla wszystkich plemion. Forty na wzgórzach miały stanowić niezbędny element życia tej nękaniej wiecznymi walkami społeczności. Oczywiście, że plemiona ze sobą walczyły. Plemienni wodzowie zwyciężali i ponosili klęski. Zajmowane przez poszczególne plemiona obszary rozszerzały się i kurczyły. Ale badania niektórych kluczowych wykopalisk nieco zmieniły ten obraz. Największy z owych fortów – Mai Dun, czyli „Wielki Fort”, twierdza Durotrygów w „Zachodniej Krainie” – był tak ogromny, że nie nadawał się do czysto obronnych celów. Podobna budowla na wyżynie, która służyła Brygantom za kwaterę główną²³, zajmowała powierzchnię 300 hektarów i została otoczona usypanym z ziemi wałem obronnym długości niemal 10 kilometrów. Choć oba te miejsca były ufortyfikowane i choć miały wpaść w ręce Rzy-

²³ Obecnie Stanwick Hill w hrabstwie York.

mian dopiero po zaciętych walkach (pierwszy fort w roku 44 n.e., drugi w roku 74 n.e.), wydaje się prawdopodobne, że pełniły one również jakieś inne funkcje – może były miejscem powszechnych zgromadzeń lub jarmarków.

Jedno z najbardziej drobiazgowo zbadanych miejsc wykopaliskowych w południowym Albionie leży w odległości około 45 kilometrów od południowego wybrzeża wyspy, na ziemiach Atrebatów. Było zamieszkane przez jakieś pięćset lat – do czasu gdy ok. 100 r. p.n.e. zniszczył je ogień. Mimo że fort został otoczony umocnieniami, najwyraźniej służył ludności jako miejsce stałego pobytu. Wewnątrz znajdowała się sieć uliczek rozmieszczonych według regularnego planu, usytuowana w centrum prostokątna świątynia oraz pierścień okrągłych domów, ukrytych w cieniu wału obronnego. Co najciekawsze, bardzo liczne wykopane w ziemi spiżarnie mogły pomieścić zapasy ziarna znacznie przekraczające potrzeby 300–500 mieszkańców. Grodzisko musiało zatem być nie tylko ośrodkiem życia politycznego i religijnego, ale i centrum handlowym. Spiżarnie mogły z dużym prawdopodobieństwem służyć do przechowywania daniny w naturze zebranej od wszystkich członków plemienia. Współczesna angielska nazwa – *the Fort of the Danes* („Fort Duńczyków”) nie pozwala się domyślać faktu, że naprawdę był to „Fort Brytyjczyków”²⁴.

Jako plemiona – czy też konfederacje plemion – które przybyły do Albionu z kontynentu, wymienia się na ogół dwa. Pierwsze z nich, *Parisii*, stanowiło zapewne odłam rodzimego plemienia z Galii, którego nazwa przetrwała w nazwie stolicy dzisiejszej Francji. Ludzie ci dotarli do wyraźnie określonego miejsca w północnej części ujścia „Trzech Rzek” na wschodnim wybrzeżu. Archeolodzy odnaleźli ślady ich obecności w bardzo charakterystycznych miejscach pochówku: ciała były pogrzebane w ziemi wraz z czterokołowymi wozami, a same groby otaczała kwadratowa fosa²⁵. Druga grupa, Belgowie, doczekała się wzmianki u Juliusza Cezara, który pisze o nich, że wyruszyli do Albionu, aby go złupić, po czym zostali, aby się tam osiedlić. W drugim stuleciu pierwszego milenium p.n.e. stali się oni elementem dominującym na obszarach południowo-wschodnich oraz w dolinie rzeki Tamesis (Tamizy). Utrzymywali bliskie kontakty z krewniakami na kontynencie i mieli swój udział w rozwijaniu handlu po obu stronach „Rękawa”, co w efekcie doprowadziło do czegoś w rodzaju rewolucji społeczno-ekonomicznej.

Zbliżenie między Albionem i Galią, które nastąpiło w I wieku p.n.e., miało charakter polityczny, gospodarczy i kulturalny. Więzy polityczne zacieśniły się dzięki obecności po obu stronach cieśniny spokrewnionych ze sobą ludów. Bywało, iż plemienni wodzowie sprawowali władzę jednocześnie w Albionie i w Galii. Jeszcze częściej zdarzało się, że podczas plemiennych waśni niezadowoleni uciekali na drugą stronę i tam szukali pomocy. Przede wszystkim zaś zarówno Brytowie, jak i Galowie z niepokojem patrzyli, jak wojska rzymskie przekraczają Alpy,

²⁴ Obecnie miejscowość Danebury w hrabstwie Hamp.

²⁵ H. Ramm, *The Parisii*, Londyn 1978.

jak w 124 r. p.n.e. zakładają prowincję *Gallia Narbonensis* i jak następnie ich rządy zaczynają sięgać daleko poza granice imperium.

Życie gospodarcze także uległo zmianom, gdy pojawili się Rzymianie. Bogactwo Rzymian stało się silnym bodźcem do rozwoju handlu. Celtowie nauczyli się lubić rzymskie wino i odkryli, że mogą zaspokoić to pragnienie, eksportując niewolników, metale i produkty rolne. Rzymscy kupcy, wyposażeni w pieniądze, docierali daleko na północ. Zakładano placówki handlowe, które z czasem zaczęły się przekształcać w miasta.

Zbliżenie kulturowe opierało się na wspólnym języku i wspólnocie obyczajów. Ale sprzyjała mu też atrakcyjność rzymskiej cywilizacji. Cezar wspomina, że podczas wojen galijskich wojownicy brytońscy walczyli zarówno w jego własnych szeregach, jak i po stronie przeciwników. Brytowie, którzy wracali do Albionu – albo z wypraw handlowych, albo z wojennych kampanii na kontynencie – mieli za sobą bliskie kontakty z rzymskim stylem życia. W ostatnim stuleciu niepodległości Brytów synowie wysoko urodzonych rodów uczyli się już łaciny.

Najlepszą ilustracją wszystkich tych wydarzeń jest rozwój pewnego portu na „Południowej Riwierze” Albionu. Nazwano go „pierwszą naprawdę miejską społecznością Brytanii”²⁶. Miał idealne usytuowanie: leżał na wąskim półwyspie, po nadmorskiej stronie dużej i dobrze osłoniętej przystani, zamknięty wzgórzem tworzącym naturalną fortecę. Było to miejsce, które przyciągało mieszkańców już od czasów epoki kamiennej. Celtowie z epoki żelaza zasiedlili je ponownie po ok. 700 r. p.n.e.; w jakimś późniejszym okresie zostało umocnione podwójnym rzędem fos i wałów obronnych, biegnących w poprzek najwęższego miejsca przesmyku. Od północy rozciągał się widok na spokojne wody przystani i ujścia dwóch rzek, wypływających z najurodzajniejszych i najintensywniej uprawianych dolin tego rejonu wyspy. Od południa opływały je bardziej burzliwe prądy „Rękawa”, a w odległości około 180 kilometrów znajdowało się ujście galijskiej rzeki Sequany. Dawna brytyjska nazwa tego miejsca nie zachowała się. Dziś nosi ono zupełnie niewłaściwą pseudoanglosaską nazwę, wymyśloną przez romantyków z epoki wiktoriańskiej. Tak więc gdyby miało się wymyślać jakąś nazwę na nowo, o wiele słuszniej byłoby poszukać nazwy brytońskiej. Proponowano „Altrose”. Ale najlepiej byłoby to miejsce nazwać imieniem olbrzyma Dina Albiona, syna boga morza: „Fort Albion”.

Współczesne wykopaliska w „Din Albion” ujawniły, że był to kipiący życiem ośrodek działalności handlowej i rzemieślniczej, którego mieszkańcy żyli w dużym dobrobycie. Zaraz na początku wykopano największy skarb rzymskich i celtyckich monet, jaki kiedykolwiek znaleziono na Wyspach. Wśród monet rzymskich – złotych, srebrnych i z brązu – były zarówno *denarii* z okresu republiki, jak i cesarskie *aurei* z czasów Antoninów. Monety celtyckie – z południowego Albionu i północnej Galii – dowodzą istnienia zarówno handlu przybrzeżnego, jak i da-

²⁶ B. Cunliffe, *Hengistbury Head*, Londyn 1978, s. 9.

lekomorskiego wzdłuż szlaków łączących Półwysep Armorykański z Renem. Mieszkańcy grodziska wydobywali rudę żelaza, produkowali przedmioty ze szkła i paciorki, robili bransolety, wypalali ceramikę oraz wytapiali metal i robili z niego odlewy. Istnieje prawdopodobieństwo – choć brak niepodważalnych dowodów – że mieli także własną mennicę. Duża liczba wielkich włoskich amfor świadczy o tym, że prowadzono hurtowy handel winem. Żelazo można było otrzymywać z lokalnych kopalni rud, ale miedź, srebro, ołów i złoto trzeba było sprowadzać – w formie sztabek lub złomu przeznaczonego do dalszej przeróbki i obróbki.

„Din Albion” był oczywistym przykładem urbanizacji swojego okresu. Ale podobny rozwój wydarzeń w innych miejscach na południu kraju miał analogiczne skutki. Forty i grodziska na wzgórzach porzucono, a lokalne społeczności zaczęły się skupiać w miejscach, które lepiej nadawały się do uprawiania handlu. Przedsiębiorczy archeologowie, których trud pozwolił rzucić najwięcej światła na „Din Albion”, z entuzjazmem pisali o „czasie przynoszącym kres dawnego porządku i powstanie osiadłej gospodarki miejskiej (...) czasie dramatycznych przemian”²⁷. Być może nie jest to przesada, jeśli chodzi o najbardziej uprzywilejowane rejony wyspy. Natomiast nie odnosi się do terenów położonych w głębi. Jak zauważył Cezar w trakcie dwóch krótkich wizyt, Brytowie z południa bardzo przypominali Galów, podczas gdy ludy pasterskie z zachodu i północy „wciąż jeszcze ubierały się w skóry”.

„Din Albion” uniknął bezpośrednich skutków dwóch nieudanych wypraw rzymskich z lat 55 i 54 p.n.e. Legiony dwukrotnie lądowały w południowo-wschodniej „Krainie Narożnej” (Cantium), przepłynąwszy morze najkrótszą możliwą trasą, po czym kierowały operacje wojenne przeciwko terenom położonym wokół ujścia Tamesis. Ale po ich odejściu na czołowe pozycje wysunęli się właśnie ci plemienni wodzowie i te ludy, które wcześniej stawiały im czoło, wraz z miastami Camulodunum i Lughdun. Być może był to po prostu skutek zmiany układu sił politycznych. Bez wątpienia jakąś rolę odegrało także to, że plemiona, które złożyły hołd Rzymowi, dzierżyły monopol na kontrakty z rzymskimi kupcami.

Pierwszym z pradawnych Brytów, który miał zaszczyt dać się poznać z imienia, był Caswallawn (Kasywelaunus). Ma on własne hasło w *The Dictionary of National Biography* („Narodowym słowniku biograficznym”), gdzie jego imię widnieje w zlatynizowanej wersji Cassivellaunus²⁸. Był wodzem Katuwelaunów i stał na czele brytyjskiego oporu przeciwko drugiej rzymskiej inwazji na Albion, w 54 r. p.n.e.; zajmuje też wybitną pozycję w *Wojnie galijskiej* Cezara. Odnotowano ponadto, że był jednym z pierwszych władców brytyjskich, którzy bili złote monety i w ten sposób zapoczątkowali nowe cenne źródło informacji o późnym okresie epoki żelaza.

²⁷ *Ibid.*

²⁸ *Dictionary of National Biography*, t. 19, s. 127–129.

Strategia Caswallawna podczas kampanii przeciwko legionom Cezara w 54 r. p.n.e. polegała najwidoczniej na wciąganiu rzymskich oddziałów w głąb wyspy i wystawianiu w ten sposób na kontratak miejsca, w którym wylądowała ich flota. Brytoński wódz z pewnością wiedział, że Rzymianie są bardzo niespokojni o los swoich morskich linii dostawczych: widzieli wszak, jak szybko zaledwie rok wcześniej szkody zadane rzymskim statkom zmusiły Cezara do odwrotu. Problem Caswallawna polegał na tym, aby przekonać innych wodzów o potrzebie przyjęcia wspólnej polityki. Jego własna baza znajdowała się w odległości mniej więcej 30 kilometrów na północ od ujścia Tamesis. Ale sam był zwaśniony ze swoimi najbliższymi sąsiadami na wschodzie, Trynowantami, którzy poddali się Cezarowi bez walki; nie zdążył także we właściwym momencie dokonać najazdu na plemiona zamieszkujące Cantium²⁹. W walce wręcz jego wojownicy nie mogli się mierzyć z ubranymi w ciężkie zbroje rzymskimi legionistami. Mimo to cztery tysiące pędzących na rydwanach wojowników dokonało sporego spustoszenia wśród Rzymian próbujących przekroczyć Tamesis; ludzie Caswallawna wprawdzie ostatecznie umknęli dalej w głąb wyspy, ale przedtem zaciekle bronili swojej plemiennej siedziby w jednym z obronnych grodzisk³⁰. Przyszedł moment, w którym kontratak na tyły wojsk rzymskich w Cantium mógł przynieść maksymalny efekt. Ale gdy Caswallawn zorientował się, że nie potrafi takiej kampanii zorganizować, on także się poddał. Dał Cezarowi zakładników, obiecał, że zostawi Trynowantów w spokoju i zgodził się płacić Rzymowi doroczną daninę. Obejrzał okręty Cezara odpływające ku przeciwnemu brzegowi cieśniny, a potem prawdopodobnie z powrotem zaczął robić dokładnie to, co robił przedtem. Podobnie jak jego czyny, jego celtyckie imię przetrwało w walijskiej legendzie³¹.

Do czasu gdy – jakieś pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat później – władzę objął wnuk czy też może prawnuk Caswallawna Cunobelin (Kumbelin), Katuwelaunowie zdążyli już zająć tereny Trynowantów; królewską siedzibą Cunobelina była dawniejsza stolica Trynowantów Camulodunum. Trynowancki książę Dubnovellaun schronił się na dworze cesarza Augusta, gdzie niewątpliwie skarżył się na łamanie postanowień traktatu; Cunobelin uznał, że będzie rzeczą rozsądną wpisać się na listę sojuszników Rzymu i w ten sposób uniknąć groźby następnej inwazji.

Cunobelin, którego imieniu przypisywano nieco wątpliwą etymologię – „pies myśliwski boga Belina” – zapisał się w ludzkiej pamięci jako pierwowzór Shakespeare’owskiego Cymbelina, władcy Brytanii. Badacze historii zgodni są co do tego, że akcja dramatu Shakespeare’a, przefiltrowana przez legendy wielu stuleci, poddana działaniu *licentiae poeticae* Geoffreya z Monmouth i Raphaela Holinsheda, niezbyt przypomina rzeczywistość. Opis Holinsheda, skompilowany na podstawie wielu źródeł, jest wprawdzie barwny, ale nie bardzo można na nim polegać:

²⁹ Tj. dzisiejszy Kent (przyp. tłum.).

³⁰ Powszechnie przyjmuje się, że gród ten leżał w pobliżu dzisiejszego Wheathampstead.

³¹ *Dictionary of National Biography*, t. 3, s. 1179–1180.

Kymbeline lub Cimbeline, syn Theomantiusa, uczynion był władcą Brytów po śmierci swego ojca, w roku świata 3994, licząc od założenia Rzymu w roku 728, a od roku narodzenia naszego Zbawiciela, w 33. Mąż ów (jako piszą niektórzy) wychował się w Rzymie, i tam też Augustus Caesar uczynił go rycerzem, i służył w wojnach pod jego rozkazami, a takimi cieszył się u niego łaskami, iż mógł należną daninę płacić lub nie, wedle własnego uznania. (...) [Pisarze] najwybitniejsi utrzymują, iż panował przez lat 35, a potem zmarł i pochowano go w Londynie, a zostawił po sobie synów dwóch, Guideriusa i Aruiragusa³².

Fragment ten opowiada o ciekawym okresie, kiedy wódz Brytów był oficjalnym sojusznikiem Rzymu, ale czas panowania Cunobelina ustala całkowicie błędnie na lata 33 p.n.e.–2 n.e. Shakespeare nie miał jednak przecież żadnego powodu, aby niewolniczo trzymać się Holinsheda. Pisał „fantastyczną dramę”, a nie historyczną relację. Mimo to tu i ówdzie w rozmaitych szczegółach pobrzmiwają tony historycznej prawdy. Cassibelan (Kasybelian) Shakespeare’a to z pewnością król Caswallawn, a Tenantius może uchodzić za nieco zmienioną postać znanego historykom ojca, a zarazem poprzednika Cunobelina, Tasciowana. Wyraźnie wyeksponowany wątek zniechęconego przez Brytów obowiązku płacenia daniny Rzymowi być może także nie jest wyłącznie dziełem poetyckiej fantazji:

Niemają Cezarów
Minie, nim drugi Juliusz się pokaże,
Brytania sama w sobie, świat jest mały,
Nie myślę wcale opłacać haraczu,
Żeby nam wolno było nosy nosić³³.

Nie wolno oczywiście zapominać, że takie wersy, skomponowane w roku 1609 dla elżbietańskiej publiczności, prawdopodobnie odwoływały się w równej mierze do pamięci widzów o Wielkiej Armadzie, jak do ich zainteresowań historią starożytną. Kiedy Królowa w poruszający sposób mówi o tym, iż Kasybelian

Pewny, że złamie groźny miecz Cezara,
Radości pełny, w Lud, swojej stolicy,
Zapalić kazał ognie triumfalne
I nowym męstwem natchnął Brytańczyków³⁴,

ona także gra swoją rolę dla galerii epoki Tudorów.

Warto w tym miejscu przypomnieć jeszcze jeden szczegół. Szekspir, zgodnie z kronikami, nazywa swojego Cymbelina „Królem Brytanii”, co zgadza się z epitetem użytym przez rzymskiego historyka Swetoniusza, który pisząc o Kumbelinie, używa tytułu *Rex Britannorum*. Mamy się zatem prawo zapytać, czy Al-

³² W. G. Boswell-Stone, *Shakespeare's Holinshed: the Chronicle and the Historical Plays Compared*, Londyn 1896, s. 7.

³³ W. Szekspir, *Cymbelin* (akt III, sc. 1), tłum. L. Ulrich, [w:] tenże, *Dzieła*, Warszawa 1964, s. 720.

³⁴ *Ibid.*, s. 721.

bion – podobnie jak Éire – nie posiadał tradycji arcykrólów, którym składali hołd wszyscy inni plemienni wodzowie. Dalszej wskazówki dostarcza etymologia wyrazu *Caswallawn*; mogło to być nie imię własne, lecz celtycki tytuł oznaczający „Władcę Ligi”. Tasciowan wybił nawet monetę z napisem TASCIO RIGON; *rigon* jest brytyjskim słowem określającym „arcykróla”. Sam Holinshed nie miał wątpliwości co do istnienia pradawnych brytyjskich władców sprawujących najwyższą władzę nad całą wyspą. Podaje nawet imię swojego kandydata na „pierwszego króla Brytanii, którego ukoronowano koroną ze złota” i który miał wstąpić na tron w roku odpowiadającym dacie 447 r. p.n.e.

Mulmucius rozpoczął panowanie nad całą monarchią Brytanii w roku świata 3529, licząc od założenia Rzymu w roku 314, zaś od wyzwolenia Izraelitów z niewoli – w roku 97, a około roku 26 panowania Dariusza Artakserksesa Longimanusa, piątego władcy Persów³⁵.

Brak oczywiście ostatecznych dowodów. Ale jeśli tradycja arcykrólów istniała w Éire, a w późniejszym okresie także w Szkocji, to w takiej lub w innej formie mogła także istnieć w Albionie.

Dowody numizmatyczne nie przynoszą rozwiązania tego problemu. Natomiast ich wkład w całą naszą wiedzę o ostatnim przedrzymskim okresie jest wręcz bezcenny. Numizmaty dostarczają rzetelnych informacji – często o konkretnych datach, miejscach i władcach. Monety celtyckie rozpoczęły swoją karierę w IV wieku p.n.e. jako wybijane na kontynencie kopie greckich oryginałów. Wiele takich monet dotarło na Wyspy razem z monetami greckimi i rzymskimi. Natomiast monety brytyjskie rozpoczęły karierę na początku I wieku p.n.e. jako wybijane w Cantium kopie monet z brązu, których używało galijskie plemię Ambianów. Najwcześniejszy znany egzemplarz – na którym nie ma daty ani żadnego napisu – ukazuje wspaniały profil *dlugowłosego wojownika na rydwaniu*. Konie były zresztą ulubionym motywem. Albion wkraczał w epokę gospodarki opartej na pieniądzu, a w każdym razie – przyjmował system, który taką gospodarce bardzo przypominał. Sześć plemion zamieszkujących tereny na południu wyspy uruchomiło własne mennice. W okresie galijskich wojen Cezara obieg pieniądzy gwałtownie się nasilił. Jednostronnym brązowym monetom Ambianów – zaklasyfikowanym do kategorii „galo-belgijskie E” – przypisywano rolę „machin wojennych”. W wielkiej liczbie dotarły do Albionu, zapewne jako zapłata za pomoc, jakiej – ku niezadowoleniu Cezara, który się na to skarżał – plemiona brytyjskie udzielały swoim galijskim krewniakom. Z czasem monety z brązu straciły na wadze i na jakości. Pojawiły się monety ze srebra³⁶.

Po roku 51 p.n.e. niezależne mennice galijskie zastąpiono rzymskimi. Mennice brytyjskie były zdane na własne siły. Przez kilkadziesiąt lat zadowalano się

³⁵ Boswell-Stone, *op. cit.*, s. 14.

³⁶ D. F. Allen, *An Introduction to Celtic Coins*, Londyn 1978. Por. też J. P. C. Kent, *The Origins of Britain*, [w:] B. Cunliffe (red.), *Coinage and society in Britain and Gaul*, Council for British Archaeology Research Report 38, Londyn 1981, s. 40-42.

dawnymi wzorami. Ale w roku 10 p.n.e. (albo około tego roku) wódz Katuwelaunów Tasciowan dokonał przełomu, wybijając monetę, na której widniało jego własne imię. W roku 10 n.e. – po zakończonym okresie *interregnum* – mennica w Camulodunum wybijała już wspaniałe złote monety z pełnym napisem CUNOBELINUS. Jedną z najpiękniejszych monet pochodzących z tej mennicy jest złoty *aureus* z wizerunkiem głowy cesarza Augusta i z napisem AUGUSTUS DIVUS – „boski August”. Był to wyraźny znak, że Katuwelaunowie przyjęli w tym okresie zwierzchnictwo Rzymu. Na monetach z wczesnego okresu panowania Cunobelina na awersie umieszczano wizerunek głowy Augusta lub Tyberiusza, na rewersie zaś – litery CUN lub CAM. Natomiast pod koniec panowania Cunobelin kazał wybijać monety, na których – oprócz jego własnego popiersia, ukazanego w manierze rzymskiej – widniał napis *CUNOBELLINUS REX* lub *CUN. i TASCIO F* – „Król Cunobelin, syn Tasciowana”. Był to dowód, że nadszedł czas, w którym starzejący się Cunobelin zapragnął związać swoje królewskie prerogatywy już nie z rzymskim władcą, lecz z własnym brytyjskim rodowodem królewskim.

Brytyjskie monety z tego okresu dostarczają wielu wiadomości, których nie dałoby się uzyskać z innych źródeł. Okazały się na przykład bezcenne przy ustalaniu sukcesji dynastii plemiennych. Kilku spośród mniej znanych wodzów pomniejszych plemion – na przykład wódz Koritanów Wolisios czy dowódca Dobunnów Bodvoc – pozostałoby bezimiennych, gdyby nie ich pieniądze. W badaniach dziejów społeczności, które nie znają pisma, jeszcze większe znaczenie ma jednak ikonografia. Ponad tysiąc emisji, pochodzących z ponad półtora stulecia, pozwala poznać całe bogactwo plemiennych symboli, postaci mitologicznych, elementów zdobniczych. Można wśród nich znaleźć Dzika Icenów, Orła Kantów, Smoka Atrebatów, Liść Winorośli Werików oraz całe mnóstwo wariacji na temat wojowników, konnych jeźdźców i woźniców bojowych rydwanów. Wśród elementów zdobniczych są dalej i słoneczniki, rozgwiazdy i trójzęby, sfinksy, spirale, a nawet ludzkie oko. Sam tylko Cunobelin kazał bić monety z wizerunkami pszenicznego kłosa, maciory, lwa, szarżującego byka, dwugłowego boga Janusa, siedzącego przy swoim warsztacie grawera oraz – oczywiście – własnej postaci. Z każdym z tych pełnych życia obrazów wiązała się jakaś symbolika religijna lub polityczna, z pewnością dobrze rozumiała dla wszystkich, którzy tych pieniędzy używali. Często monety stanowią świadectwo najwyższego artyzmu. Niegdyś o monetach celtyckich mawiano pogardliwie, że są surowe i prymitywne. Dziś znawcy podziwiają zarówno sprawność techniczną Celtów, jak i ich twórcze talenty. Transformacja pełnej elegancji klasycznej głowy Apollina w abstrakcyjną kompozycję wijących się splotów i zredukowanych do czystej esencji rysów twarzy dorównuje najwyższym osiągnięciom modernizmu. Coraz dalej idącej stylizacji wizerunku stającego dęba konia – od realistycznego obrazu zwierzęcia, przez uproszczony rysunek sylwetki rumaka, aż po czysty ruch wyrażony wydłużoną kreską – z pewnością nie powstydziliby się Picasso. „Ci celtyccy artyści doskonale wiedzieli, co robią”. Każda emisja przyczynia się do odkrycia osobowości ludzi, któ-

rych była dziełem. Nawet te z pozoru przyziemne i odarte z twórczej wyobraźni mają do przekazania jakieś przesłanie. Oto co pewien wybitny numizmatyk pisał o szczególnie mało interesujących monetach plemienia Korytanów:

Monety Korytanów nie sposób pomylić z niczym innym; już na pierwszy rzut oka można ją odróżnić od pozostałych. Te monety mówią o ludziach (...) pozbawionych pełnego wyobraźni celtyckiego talentu, odrzucających wszelką pokusę flirtu z Rzymem, ale jednocześnie w pełni dysponujących technicznymi możliwościami własnego miejsca i własnego czasu, świadomie dbających o własne konserwatywne interesy³⁷.

O ileż uboższa jest nasza wiedza o tych plemionach, które – jak *Parisii* czy *Brygantowie* – nigdy nie wybiły własnej monety!

Cywilizacja starożytnych Celtów – podobnie jak języki, którymi mówili – wykazuje ogromną różnorodność w ogólnych ramach wspólnej tradycji. Niby członkowie jednej rodziny, ludy celtyckie były do siebie w widoczny sposób podobne, a jednocześnie każdy miał własną indywidualną tożsamość. Ich kultura wydaje się tym atrakcyjniejsza, że otacza ją atmosfera tajemnicy, czegoś, co nie zostało utrwalone w żadnych zapisach.

Na przykład, religia dawnych Celtów była podporządkowana wierze w świat pełen nadprzyrodzonych mocy, magicznych zaklęć i klątw, zaludniony całym nieprzebranym bogactwem bóstw i plemiennych herosów. Zakładała istnienie sił niematerialnych – zarówno złych, jak i dobrych – a cel jej skomplikowanych obrzędów i rytuałów stanowiło „ograniczanie potęgi magii do czynienia dobra”. Była pozbawiona teologii w konwencjonalnym znaczeniu tego słowa, nie miała także etyki – jeśli nie liczyć domeny skutecznego przebłagiwania bogów; z całą pewnością nie miała świętych pism. Zawierała się w micie i w legendzie. Miała więcej wspólnego z indoeuropejskimi systemami wierzeń starożytnych Indii niż z religiami współczesnych sobie Grecji i Rzymu.

Mało trafne porównania ze światem klasycznym są chyba zresztą głównym powodem nieporozumień. Kiedy Rzymianie zetknęli się z Celtami – i kiedy ich podbili – uznali, że tłum celtyckich bóstw jest zorganizowany według zasad przypominających ich własne. Współcześni badacze, obciążeni balastem klasycznego wykształcenia, skłonni są postępować tak samo, oświadczając bez większego przekonania, że model klasyczny „może się okazać przydatny”. Otóż nie może. Wszelkie próby porównywania *Lugha* z *Merkurym*, *Maponusa* z *Apollem* czy *Brigit* z *Minerwą* są zupełnie chybione. Celtowie uznawali swego rodzaju panteon, ale miał on z pewnością niewiele wspólnego ze swoim olimpijskim odpowiednikiem. Istnieją poważne wątpliwości co do istnienia „Ojca Bogów” sprawującego najwyż-

³⁷ D. F. Allen, *Sylloge of Coins of the British Isles: The Coins of the Coritani*, Londyn 1963, s. 38.

szą władzę. Nie istniał też żaden centralny celtycki „olympos”, i tylko nielicznym bóstwom przypisywano takie czy inne funkcje. Albowiem celtyckie pojęcie bóstwa zawierało w sobie potęgę magii, która pozwalała boskim istotom na ciągłą zmianę natury swych działań. Wydaje się, że kierowały nimi cztery podstawowe zasady.

Po pierwsze, dzięki zdolności przeobrażania się, czyli zmiany postaci – jak *Fintan*, który zmieniał się w łososia – zależnie od potrzeby chwili wszystkie bóstwa potrafiły przyjmować postać zwierząt. Po drugie, hołdowały one zasadzie „troistości”, czyli „magicznej sile trójki”: miały po trzy imiona, objawiały się w trzech różnych postaciach, wchodziły w skład trzyosobowych drużyn. Po trzecie, zdobywały lub traciły pozycję w boskiej lidze w zależności od sukcesów lub niepowodzeń swoich popleczników. Po czwarte, występowały często w męsko-damskich parach. Ogólnie rzecz biorąc, cały ten układ sprawiał wrażenie niezwykle skomplikowanej mozaiki, nieustannie zmieniającej się, niczym w kalejdoskopie. Mówiąc o religii wyspiarskich Celtów, pewien historyk nazwał ją „płodnym chaosem”³⁸.

Głównych bogów celtyckich można było spotkać we wszystkich zakątkach celtyckiego świata. *Dagda*, „Wszechwiedzący”, „Pan Wiedzy”, był potężnym siłaczem, który nosił ze sobą ogromną maczugę. Czasem utożsamia się go z wymienianym przez Cezara galijskim *Dispaterem*, kiedy indziej zaś – z *Cernunnusem*, czyli „Rogatym”. *Cernunnusa* przedstawiano zazwyczaj siedzącego w pozycji przypominającej pozycję *Buddy*; on także nosił ze sobą maczugę. *Lugh* o Długim Ramieniu, „Ten, który oświeca”, był bogiem wszystkich sztuk i rzemiosł. W Galii nosił imię *Lugus*, w Walii – *Lleu*; pozostawił swój ślad w licznych rzymskich i współczesnych nazwach miejscowości: od *Lyonu* (*Lugdunum*) i *Laon*, przez *Luguvallium* (*Carlisle*) i *Léon* w Hiszpanii, po holenderską *Leidę* i polską *Legnicę*. Był patronem obchodzonego latem święta żniw – znanego do dziś jako irlandzkie *Lhugnasadh* („Święto *Lugha*”) i angielskie *Lammas*. *Epona*, „Boska Klacz”, zdobyła sobie popularność wśród stacjonujących w Galii żołnierzy rzymskiej jazdy, którzy przenieśli jej kult do Rzymu. Łączyło ją pokrewieństwo z różnymi innymi bóstwami związanymi z kultem koni. Była także „Królowa Kruków”, która szerzyła spustoszenie na polach bitew. W *Éire* jej odpowiedniczką była trójbogini *Morrigan*, która funkcjonowała wymiennie z boginiami *Machą*, *Badb* i *Nemain*. Jedno ze swych imion zostawiła miejscowości *Ard Macha* (*Armagh*), gdzie odkryto miejsce prehistorycznego osadnictwa należące do najstarszych na Wyspach.

Istniały jednak także bóstwa, dla których nie udało się odnaleźć kontynentalnych odpowiedników. Należał do nich wielkoduszny *Lud*, znany także jako „Nud Srebrnoręki”, który być może zdobył sobie w Albionie status jednego z najwyższych bogów. Według późniejszej legendy, świątynia *Luda* miała się znajdować

³⁸ Na temat religii celtyckiej zob. M. J. Green, *The Gods and the Supernatural*, [w:] Green (red.), *op. cit.*, IX 26; *ibid.*, *Celtic goddesses, warriors, virgins and mothers*; G. A. Wait, *Ritual and Religion in Iron Age Britain*, Oksford 1986.

na miejscu, na którym dziś wznosi się w Londynie katedra św. Pawła; być może miasto zawdzięcza mu swoją nazwę (London, czyli „Gród Luda”). Bardziej przekonująco wygląda jednak etymologia londyńskiej Ludgate – „Bramy Luda”. Lud znany był później w Walii – gdzie należał, obok Mordafa i Rhyddercha, do członków boskiej triady – jako Llund Llaw Ereint; w Éire znano go pod imieniem Nuadu (Nuadha) i uważano za przywódcę trzeciej inwazji na „Zieloną Wyspę”, której miał dokonać, stojąc na czele swojego ludu, Tuatha Dé Danann. Rzymscy żołnierze stacjonujący w Brytanii dokooptowali go do listy swoich bóstw jako Nodensa i wybudowali mu świątynię³⁹.

Obrzędy i rytuały miały na celu utrzymanie w ryzach tajemnych mocy świata nadprzyrodzonego. Rok celtycki składał się z dni pomyślnych i niepomyślnych oraz ze stałych świąt. O tym, jak wyglądał w Galii, wiemy ze słynnego Kalendarza z Coligny⁴⁰, jaki zaś był na Wyspach – z praktyk, czasem jeszcze do dziś uprawianych w Irlandii. Święto Samhain, które obchodzono 1 listopada, przetrwało jako anglosaskie Hallowe'en i jako późniejszy chrześcijański dzień Wszystkich Świętych. Stanowiło inspirację dla dorocznych zgromadzeń plemiennych. Powodem celebracji był moment krytyczny w cyklu życia społeczności pasterskich: czas, w którym przed zimą zabijano zwierzęta. W Tarze arcykról przyjmował na siebie rolę Dagdy i publicznie odbywał akt kopulacji z dziewczyną, która uosabiała boginię rzeki Boann (lub Boand, „Bogini rzeki Boyne”) – miało to dać gwarancję, że nasiona przetrwają do następnego sezonu. Obchodzone 1 lutego święto Imbolc wyznaczało początek wiosny – był to początek laktacji u owiec. Święto to wiąże się z sanskryckim kultem bogini Brhati, „Wywyższonej”, z kultem córki Dagdy, Brigid, i – oczywiście – z dniem św. Brygidy. Święto Beltane, obchodzone 1 maja, składało się ze związanych z ogniem obrzędów, którym towarzyszyło okadzanie bydła; świętowane 1 sierpnia Lhugnasadh wyznaczało początek żniw. Komentatorzy zwracają uwagę na różnicę w stosunku do chrześcijańskich świąt płonów: chrześcijanie dziękowali Bogu za doznane wcześniej dobrodziejstwa, podczas gdy w rytuałach pogańskich należało przebłagać bogów z góry – przed mającymi nastąpić wydarzeniami.

Przybysze ze świata klasycznego odnosili się do celtyckich praktyk religijnych z mieszanymi uczuciami. Święte gaje, wotywnie dary wrzucane w fale jeziora, ofiary i przepowiednie – wszystko to dobrze znali. Takie rzeczy można przecież było oglądać i w Rzymie. Natomiast dwa spośród celtyckich obyczajów nieodmiennie wywoływały komentarze: kult głowy i uparcie utrzymywany rytuał ofiar z ludzi.

Celtowie wierzyli, że miejscem, w którym tkwi esencja istoty ludzkiej, jest jej głowa. Wobec tego w swoich rzeźbach szczególnie podkreślali kształty głów, a częstym motywem dekoracyjnym była ludzka czaszka. Celtyccy wojownicy

³⁹ W Lydney w hrabstwie Gloucester.

⁴⁰ Ułożony przez druidów i wykuty w płycie z brązu kalendarz z wykazem szczęśliwych i nieszczęśliwych dni roku, odnaleziony na terenie francuskiej winnicy (przyp. tłum.).

obcinali głowy pokonanym przeciwnikom i przywiązywali je sobie do siodła. Według tradycji celtyckiej, niektóre bóstwa można było przebłagać, tylko dokonując określonych aktów rytualnego mordu – przez utopienie, powieszenie czy spalenie. Świadcstwo tym obyczajom dają liczne i odpowiednio przerażające wykopaliska ludzkich szczątków. Nie wiadomo natomiast, dlaczego za tak bardzo odstręczający uważali ten obyczaj właśnie Rzymianie, którzy sami przez całe stulecia z upodobaniem uczestniczyli w publicznych pokazach masowych morderstw. Tak czy inaczej, w świecie celtyckim jedynie w niewielkim stopniu zastępowano ofiary z ludzi ofiarami ze zwierząt. Rytualna śmierć nie omijała nawet arcykrólów i wodzów plemion. Inicjacja młodego władcy odbywała się przez seksualny akt złączenia się z dojrzałą do miłości młodą kobietą, chorego czy starzejącego się króla czekała gwałtowna śmierć w towarzystwie odrażającej staruchy. Celtowie dawali w ten sposób wyraz swojej więzi z naturalnymi cyklami śmierci i odnowy życia, czasu jałowego i pory płodów.

Wszystkim owym wydarzeniom przydawał korpus druidów. Druidzi – zarówno mężczyźni, jak i kobiety – tworzyli hierarchiczną kastę, która w społeczności celtyckiej cieszyła się najwyższym autorytetem. Ich nazwę wywodzi się od celtyckich wyrazów oznaczających „dąb” i „łaskę” lub „wiedzę”. Byli strażnikami tradycji swojego plemienia, której ich zresztą systematycznie uczono przez długie dziesięciolecia, ale łączyli w sobie także urząd kapłanów, sędziów, czarowników, szamanów i uzdrowicieli, bardów, wróżbiarzy i dyplomatów. Podejmowane przez nich decyzje miały fundamentalne znaczenie i były egzekwowane za pomocą zaklęć i klątw. Sprawowali władzę nad świętymi gajami, wydawali rozkazy królom i wojownikom i zostawili po sobie najpotężniejsze ze wszystkich, zromantyzowane dziedzictwo. Cezar twierdził, że Wyspy były największym ośrodkiem ich nauki. W obrębie samych Wysp najświętsze ze świętych gajów można było znaleźć na wyspie Mona. Natomiast największy z druidów przeszedł do historii jako Myrddin lub Merlin. Według legendy, zanim w Albionie pojawili się pierwsi ludzie, ziemię tę znano jako Clas Myrddin, czyli „Gaj Merlina”.

Spółeczność celtycka oglądana oczyma Rzymian była przedziwną hierarchiczną mieszaniną *nobiles* (którzy niezupełnie przypominali klasę posiadaczy ziemskich w rzymskim stylu) oraz szarych ludzi, których „pozycja równała się niemal pozycji niewolników”. Najwyraźniej panował w niej jakiś porządek oparty na zróżnicowaniu warstw społecznych. Natomiast porządkiem tym kierowało nie formalne prawo, lecz przyjęty obyczaj, który w dodatku nie odpowiadał strukturom świata klasycznego. Podstawowe grupy społeczne tworzyły *túath*, czyli zamieszkujące określony obszar plemię, oraz *fine*, czyli klan. Na szczycie społecznej hierarchii stała potężna kasta wyspecjalizowanych w swym rzemiośle wojowników, spośród których wybierano najwyższych druidów i królów. Środek tworzyła warstwa wolnego ludu, z rolnikami i rzemieślnikami reprezentującymi rzemiosła o szczególnym znaczeniu – takie jak kowalstwo czy odlewnictwo. Badacze wysuwają hipotezę, że na samym dole tej drabiny społecznej znajdowała się

warstwa „siły roboczej”, zorganizowana nie tyle w formie stałego układu klas społecznych, ile kształtowana w ramach systemu grup wiekowych, które pracowicie wypełniały społeczne zadania, odpowiednie dla ich sił i wieku. Jeśli tak było istotnie, to można przypuszczać, że młodzi chłopcy zaczynali pracę jako pastuchowie, parobkowie i stajenni, młodzi mężczyźni polowali i przysposabiali się do wojennego rzemiosła, natomiast starsi – hodowali konie albo pracowali na polach i w kopalniach. Dziewczęta i kobiety najpierw opiekowały się dziećmi, doily krowy i pomagały w kuchni, potem przechodziły do prac bardziej „dorosłych”: wychowywania dzieci i uprawiania roślin, a w wieku podeszłym pracowały w kuchniach lub dożywały swoich dni jako dostojne matrony. Jeśli wziąć pod uwagę dbałość Celtów o zachowywanie plemiennej tożsamości, wydaje się rzeczą wielce prawdopodobną, że wymogi życia zbiorowego dominowały nad życiem jednostek. W czasie żniw wszyscy wychodzili na pola. W czasie wojny wszyscy stawali do dyspozycji wodza.

Jedną z instytucji społecznych świata starożytnych Celtów, która zwróciła uwagę licznych obserwatorów, był celtycki *corps d'élite* złożony z „rycerzy”, czyli „wolnych *nobiles*”. Już w II wieku p.n.e. grecki historyk Polibiusz opisał lud, który niesłusznie uznał za odrębne plemię i nazwał *Gaesetae* („Włócznikami”); w roku 225 p.n.e. w bitwie pod Telamon lud ten nie walczył razem z innymi celtyckimi wojownikami i najwyraźniej był silnie motywowany względami religijnymi. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, jest to pierwszy odnotowany w dziejach przypadek pojawienia się tego rodzaju grup wojowników, które miały pozostać na scenie wydarzeń aż do średniowiecza. Świetnie wyszkoleni, silnie zindoktrynowani przez druidów, odizolowani od reszty plemienia, składali przysięgę, że będą walczyć do ostatniej kropli krwi w obronie swoich towarzyszy i swojego wodza. Spośród nich właśnie wywodzili się wspaniali wojownicy – i wojowniczkę – których unieśmiertelniały legendy. W Galii ich męstwo i waleczność zauważył Cezar. W Éire występowali jako *Fianna* lub fenianie⁴¹ – gwardia przyboczna arcykróla, założona ponoć około 300 r. p.n.e. przez *Rid Fiachadha*. Ich waleczne dokonania i śmiałe wyczyny ich bohatera, Fionna MacCumhailla („Finna, syna Coola”), dały początek najstarszemu z cykli celtyckiej literatury epickiej. Stały się też prototypami opowieści o Królu Arthurze i jego Rycerzach Okrągłego Stołu, którzy dopiero wiele stuleci później zdobywali rycerską sławę.

Sztuka starożytnych Celtów przetrwała głównie w postaci wzorów i ornamentów zachowanych na trwałych wytworach ludzkich rąk. Nie istniała sztuka figuratywna, chętniej wybierano wzory abstrakcyjne, a kształt postaci podlegał daleko idącej stylizacji, tak aby mógł harmonizować z całością artystycznego obrazu. Główne elementy zdobnicze wyprowadzano z kilku podstawowych form:

⁴¹ Fenianie – *fianna Fionna* – formacje specjalnie przeszkolonych młodych mężczyzn, służące królowi podczas wojennych kampanii, pełniące straż na granicach i pilnujące porządku w kraju (przyp. tłum.).

spirali, plecionki, kraty i swastyki, które łączono w skomplikowane wzory poplątanych ze sobą linii. Delikatność kreski i nieskończona różnorodność wariantów dawały zadziwiające efekty. Podstawowe style są jedyne w swoim rodzaju, niepowtarzalne. Niegdyś uważano, że są tylko pochodną wyższej formy wzornictwa klasycznego, ale dziś uznaje się ich prawo do wielkości i oryginalności. Inspiracja płynęła w tej samej mierze ze sztuki orientalnej – być może scytyjskiej – co z twórczości artystów z rejonu Morza Śródziemnego. Jak pisał jeden z najwybitniejszych znawców sztuki celtyckiej, jest to „sztuka nie mająca wiele wspólnego z prymitywizmem i prostotą; jest wyrafinowana zarówno w pomyśle, jak i w technice; kunsztowna i świadcząca o wielkiej sprawności; pełna paradoksów, niespokojna, zadziwiająco ambitna, racjonalna i irracjonalna zarazem, mroczna i niepojęta – niepodobna zgoła do miłego dla oka humanizmu i przejrzystości sztuki greckiej”. Jest to jednocześnie najprawdziwszy styl, „pierwszy wielki wkład barbarzyńców w sztukę europejską”. Wypada go uznać za antytezę i zarazem pełnoprawnego partnera sztuki klasycznej – za pierwszy etap na drodze do gotyku, do romantyzmu, do modernizmu⁴².

Z tego, co nam wiadomo, muzyka zajmowała w świadomości Celtów miejsce równie ważne jak sztuka i poezja. „Komnaty Tary pełne były dźwięków pieśni i harf”. Celtycka harfa, zwana *telen*, istnieje do dziś. Ale dźwięki muzyki dawno zostały rozwiane przez wiatry odległych stuleci.

Trzeba w tym miejscu podkreślić, że błędem byłoby przedstawiać Celtów jako całkowitych analfabetów. Przetrwało wiele napisów, z których wynika, że Celtowie znali systemy pisma swoich sąsiadów. Druidzi z Europy Środkowej znali litery greckie. Druidom Galii i Iberii nie były obce litery łacińskie, a w północnej Italii znano pismo etruskie. W okresie, który nastąpił po rzymskich podbojach poszczególnych prowincji, nie należały do rzadkości dwujęzyczne napisy na grobach i obiektach religijnych. Natomiast w dwóch miejscach Celtowie stworzyli własne systemy zapisu. Na krańcach Italii i Galii odkryto przykłady tak zwanego pisma lepontyńskiego⁴³. Poczynając od końca pierwszego tysiąclecia p.n.e., w Éire używano alfabetu zwanego *ogham* (pismo ogamiczne)⁴⁴. Jednak z jakiegoś powodu Celtowie nigdy nie wykorzystali znajomości liter do zapisania swojej literatury.

Literatura starożytnych Celtów jest jednym z cudów cywilizacji. Prawdę mówiąc, powinna już dawno zginąć i popaść w całkowite zapomnienie. Ale nie zginęła i nie została zapomniana. Tkwi korzeniami głęboko w pogańskiej prehistorii, w czasach starożytnych nigdy nie zapisana. Podobnie jak jej homerycka rówieśniczka ze starożytnej Grecji, zrodziła się z odwiecznej ustnej tradycji, w któ-

⁴² Na temat sztuki celtyckiej zob. I. Finlay, *Celtic Art: an Introduction*, Londyn 1973; M. R. Megaw, *Celtic Art: from its Beginnings to the Book of Kells*, Nowy Jork 1991; M. Jope, *The Social Implications of Celtic Art, 600 BC–AD 600*, [w:] Green (red.), *op. cit.*, nr 22.

⁴³ Por. P. B. Ellis, *Celt and Roman: the Celts of Italy*, Londyn 1998.

⁴⁴ Por. N. Pennick, *Runestaves and Oghams*, Cambridge 1987.

rej mieszały się ze sobą mity i bogowie, władcy i bohaterowie, opowieści i poetyckie pieśni. W Galii żołnierze Cezara słuchali pieśni *fili*, czyli galijskich bardów, których oficjalnie uznawano dopiero wtedy, kiedy nauczyli się na pamięć dwustu eposów. Cezar uważał, że druidzi zabraniali ich zapisywania, aby je zachować w tajemnicy. W Galii literatura celtycka zmarła przedwczesną śmiercią z powodu całkowitej okupacji rzymskiej – podobnie jak w rzymskiej Brytanii. Przetrwiała natomiast w Éire, gdzie Rzymianie nigdy nie dotarli i gdzie ostatnie prace wykończeniowe wykonali chrześcijańscy mnisi, którzy we wczesnym średniowieczu wreszcie ją utrwaliли na piśmie. Dane jej też było przetrwać, z wielkim trudem, w Walii, która – jako rzymska strefa wojskowa – została tylko z lekka oszlifowana przez kulturę łacińską. Wielce stosowną główną patronką poezji celtyckiej była Birgit, bogini ogniska domowego, a później – jako św. Brygida – patronka chrześcijańskiej Irlandii.

Powszechnie przyjmuje się, że największy i najstarszy segment korpusu starożytnej literatury celtyckiej tworzą cztery wielkie cykle literackie powstałe w Éire. Zawierają one elementy świadczące o powiązaniach z najstarszymi plemionami celtyckimi z kontynentu, elementy przejęte przez Celtów od plemion, które wcześniej zamieszkiwały Wyspy, oraz elementy pochodzące z okresu po pojawieniu się Celtów na Wyspach. Tak zwany cykl mitologiczny zawiera dwa dzieła: *Dissenchus* (lub *Dinnschenchas*), czyli „Historię miejscowości”, i *Leabhar Gabhála Éireann* (lub *Lebor Gabala Éire*), czyli „Księgę o zdobyciu Irlandii”. Cykl ulsterski opowiada o czynach, jakich dokonali *Ulaidh*, czyli Ulsterczycy, zwani też „Wojownikami Czerwonego Znak”, pod wodzą swojego króla, Conchobara Mac Nessa, i swojego największego bohatera, Cú Chulainna. Cykl feniański, jak już wspomnieliśmy, mówi o czynach *fianna*, czyli fenian. W odróżnieniu od cyklu ulsterskiego, którego teksty recytowano podczas uroczystości na dworze królewskim, był to ponoć cykl ulubiony przez prostych ludzi. Głównymi bohaterami czwartego cyklu, królewskiego, są Conn Cétchathach (Chetchathaig), czyli „Conn Zwycięzca Stu Bitew”, i Cormac Mac Airt. Obaj podejmują wyprawy do podziemnego świata. Cykl królewski jest najmłodszy i opowiada przede wszystkim o wydarzeniach z początków epoki chrześcijańskiej⁴⁵.

Nie znaczy to, że łatwo jest ustalić dokładną chronologię. Każdy z czterech cykli zawiera epizody dotyczące bardzo odległych od siebie okresów, każdy też powstawał w ciągu wielu stuleci – jeśli nie tysiącleci. Mimo to wiele z opisywanych zdarzeń – od wojen plemiennych po przechwytywanie bydła i kradzież koni – stanowi niemal ponadczasowe elementy życia. Czasem wcale nie musi się wiedzieć, czy naukowcy umieścili daną bitwę lub bohaterką postać w trzecim wieku przed naszą erą czy w naszej erze. „Epoka Herosów” nie ma ani wyraźnego po-

⁴⁵ Na temat literatury staroceltyckiej zob. P. MacCana, *Mythology and the Oral Tradition*, [w:] Green (red.), *op. cit.*, nr 39; R. Thurneysen, *An Old Irish Reader*, Dublin 1949; P. Mallony, [w:] B. Scott i in., *Studies in Early Ireland*, Belfast 1981.

czątku, ani wyraźnego końca. Można by dowodzić, że tradycje, których najwcześniejszym uosobieniem był Cú Chulainn, żyły nieprzerwanie aż do ostatniego tragicznego aktu oporu, podjętego przez klany walczące pod Culloden w 1746 roku (por. Rozdz. IX). W formie zinstytucjonalizowanej z pewnością przetrwały one w Irlandii aż do czasu, gdy Cromwell zlikwidował szkoły bardów (por. Rozdz. VIII).

Tak przedstawia się kontekst, w którym rozwija się akcja opowieści *Táin Bó Cúailnge*, czyli „Wyprawy po byka Cúailnge”. Niektórzy twierdzą, że jest to bezwzględnie najstarszy pomnik literatury zachodnioeuropejskiej. Grabież bywała była rzeczą powszechną wśród pasterskich plemion północy. Stwarzała szansę przeżycia kilku podniecających dni lub tygodni, przerywając pasmo monotonicznych miesięcy spędzanych samotnie na wypasaniu zwierząt; stawała się okazją zarówno do czynów odważnych i honorowych, jak i do zdrady. W tym konkretnym przypadku grabieżczą wyprawę zorganizowali wojownicy z leżącego na zachodzie Connaughtu, którym przewodzili król Ailill (*Allill*) i jego wojownicza żona, królowa Medb. Celem było schwytanie wspaniałego Byka z Cúailnge, jednej z prowincji dawnego Ulsteru. Wszystko zaczęło się od sporu królewskiej pary z Connaughtu o to, które z nich ma większy majątek:

Pewnego razu zdarzyło się, że Ailill i Medb, przebywający w swej sypialnej komnacie na zamku Cruachan, rozpoczęli spór.

– Prawdę powiadają – oświadczył Ailill – że małżonka człowieka bogatego może się radować życiem pełnym wygód. Myślałem sobie właśnie, o ileż lepiej ty masz się teraz, aniżeli w dniu, kiedy cię poślubił...

– Ależ nie, doprawdy wcale tak nie było – odparła Medb. – Moim ojcem był Eochaid, król Irlandii, i spośród wszystkich jego sześciu córek (...) ja właśnie byłam najbieglejsza w walce, i najbardziej szczodra. Wypłacałam żołd piętnastu setkom żołnierzy (...). Ojciec podarował mi własną prowincję, abym mogła w niej sprawować rządy (...). Nie brakowało mi też zalotników; starało się o mnie [pięciu królów] (...). Kiedy cię wybrałam, obsypałam cię darami (...). Podarowałam ci wspaniały wóz bojowy z siedmioma służebnicami i tyle czerwonego złota, że mógłbyś sobie nim pokryć całe oblicze (...). Nie jesteś niczym innym, jak tylko ubogim utrzymankiem.

– To kłamstwo. Ja także jestem synem króla, i królami są dwaj moi bracia.

– Wszystko to nie zmienia faktu, że moje bogactwa o wiele przewyższają twoje – odpowiedziała Medb.

– Nigdy! – zakrzyknął Ailill. – Nikt nie ma skarbów większych niż ja.

– Świetnie – odparła Medb. – Wystawmy zatem rzecz całą na próbę⁴⁶.

Gdy policzono wszystkie sztuki bydła i wszystkie klejnoty króla i królowej, okazało się, że jest ich dokładnie tyle samo, z jednym jedynym wyjątkiem. Brakowało wielkiego byka, który był własnością królowej. Wobec tego, aby wyrównać porachunki z małżonkiem, Medb postanawia ukraść Ulsterczykom Byka z Cúailnge.

Jest pewna powodzenia. Za pomocą klątwy obezwładnia Ulsterczyków. Żywi przekonanie, że nie będą stawiać oporu. Ale gdy szykuje się, aby wyruszyć na grabieżczą wyprawę, spotyka wieszczkę, która jej przepowiada klęskę:

⁴⁶ Wg *The Plot to Steal the Bull*, [w:] I. Zaczek, *Chronicles of the Celts*, Londyn 1996, s. 32–33.

Młoda kobieta siedziała na dyszlu rydwanu, bacznie się jej przyglądając. Miała złote włosy i okryta była wielobarwnym płaszczem (...). Skóra jej była biała jak śnieg, który leży na ziemi zaledwie przez jedną noc, oczy miały potrójne źrenice, a głos brzmiał jak łagodnie trącane struny harfy. W ręce trzymała miecz z lśniącego brązu i poruszała nim, jakby tkąła pajęczynę (...).

– Jak ci na imię, dziewczyno?

– Jestem Fedelm, Wieszcza Connaughtu.

– Skąd przybywasz? – zapytała Medb.

– Przybywam [zza północnych wód], gdzie uczyłam się odczytywania znaków (...).

– Spójrz zatem w przyszłość i powiedz mi, jakie będą losy mojego ludu.

Dziewczyna posłuchała prośby i rzekła:

– Widzę na nich barwę szkarłatu. Widzę czerwień.

– To niemożliwe – odparła Medb – albowiem Conchabar leży zwalony z nóg w Emain Macha. (...) Nie mamy się czego obawiać od Ulsterczyków (...).

– Widzę na nich barwę szkarłatu. Widzę czerwień – powtórzyła dziewczyna.

– Niemożliwe – rzekła znów Medb. – Popatrz raz jeszcze, dziewczyno.

– Widzę na nich barwę szkarłatu. Widzę czerwień – powtórzyła dziewczyna po raz ostatni. – Widzę męża niewielkiej postury, który dokonuje wielkich czynów oręża. Widzę wiele ran na jego gładkiej skórze, ale widzę też zwycięstwo na jego skroniach. Jest piękny i młody, skromny wobec niewiast, a waleczny niczym smok. Nie znam go (...), ale on własną krwią poczerwieni twoich wojowników. Śmierć legnie na ziemi grubym dywanem, on zaś uniesie z pola wiele głów⁴⁷.

Ów piękny i młody mąż to oczywiście Cú Chulainn, który samotnie stawia czoło armii królowej Medb, dopóki z jego towarzyszy nie spadnie rzucona przez nią kłątwa. I tak dalej, i tak dalej – przez tysiące linijek epickiego poematu. Irlandzki mnich, który spisał całą tę opowieść, zapewne w IX wieku, na końcu dodał od siebie łacińską głoseń:

Ja, który przepisywałem tę historię, lub raczej fantazję, nie wierzę w szczegóły owej historii czy fantazji. Niektóre z tych rzeczy są diabelskimi kłamstwami, inne zmyśleniami poetów, jeszcze inne powstały chyba na uciechę idiotów⁴⁸.

Ostatni akt dziejów niepodległego Albionu zakończył się w ostatnim roku panowania Cunobelina (zm. 42 r. n.e.) i w drugim roku panowania cesarza rzymskiego Klaudiusza (pan. 41–54 r. n.e.). Bogate i potężne plemiona z południowego wschodu – na przykład Katuwelaunowie – burzyły się przeciwko formalnemu przymierzu z Rzymem. Jednocześnie zaś ćwiczyły sprawność własnych mięśni na sąsiadach. Wygnani brytyjscy wodzowie znów pojawili się na dworze cesarza, prosząc o pomoc stacjonujących w Galii rzymskich legionów. Silne poczucie krzywdy żywili zwłaszcza Kentianie, a to oni kontrolowali plaże, na których trzeba by łą-

⁴⁷ *Ibid.*, s. 37–38.

⁴⁸ Lipoński, *op. cit.*, s. 68. Cyt. za: E. Bryll, M. Goraj, *Táin, czyli uprowadzenie stad z Cúailnge*, Warszawa 1983, s. 283.

dować. Wiadomo było, że zażarty spór w Camulodunum poróżnił synów Cunobellina, który sam leżał na łożu śmierci. Umierając, stary król pozostawił królestwo dwom młodszym synom, Caractasusowi i Togodannosowi. Najstarszy syn, Adminius, zbiegł do Galii.

W odróżnieniu od Cezara, Klaudiusz nie uważał zamętu w Albionie za zagrożenie własnego bezpieczeństwa. Ale był żądny chwały i chętnie słuchał pochlebstw gorliwych dworzan. Wobec tego wydał legionom brzemienne w skutki rozkaz wyruszenia w drogę. Celtowie z Éire nie znaleźli się w jego polu widzenia. Jeszcze przez tysiąc lat mieli pozostać panami własnego losu. Ale większość Brytów z Albionu utraciła wolność na zawsze.